MIESIĘCZNIK 2(5) LUTY 1983 Cena 50 zł

Fantastyka



Ryszard Wojtyński

PIERWSZY I NIEUSTAJĄCY KONKURS „FANTASTYKI"

Poszukując talentów w tak szerokiej a specyficznej dziedzinie twórczości, jaką jest science fiction, ogłaszamy nieustający konkurs na

prozę (nowela, powieść) i poezję SF
oraz na
grafikę i malarstwo SF

Prace mogę przesyłać zarówno osoby zajmujące się zawodowo pisarstwem i plastyką, jak i amatorzy – pod adresem naszej redakcji z dopiskiem Konkurs. Nagrodzone prace drukowane będą w „Fantastyce" i honorowane według przyjętych stawek autorskich, wyróżnieniem zaś będzie otrzymanie od redakcji książek z dziedziny SF oraz wymienienie nazwiska osoby wyróżnionej na łamach pisma.
Zastrzegamy sobie drukowanie nagrodzonych prac w całości lub we fragmentach. Powinny być oryginalne i nigdzie dotychczas nie publikowane.
Oczekujemy i zapraszamy. Każda praca będzie skrupulatnie oceniana przez grono specjalistów.

Redakcja.

Nagrody ★ Nagrody ★ Nagrody ★ Nagrody ★ Nagrody ★ Nagrody ★ Nagrody ★ Nagrody ★ Nagrody

SF we Włoszech

W dniach 9–12 września w Amatrice odbył się ITALCON VIII – doroczny konwent włoskich miłośników fantastyki i science fiction. Uczestniczący w konwencie fanowie przyznali, zgodnie z tradycją, *Italia Award* – nagrody za wybitne osiągnięcia twórcze i organizatorskie w dziedzinie SF. Laureatami roku 1982 zostali:



Barbara Ziembicka-Sołtysik

- najlepsza powieść SF: *„L'Assedio"* **Luigi Menghini**
- najlepsza powieść fantasy: *„Il tesoro del Bigatto"* **Luigi Pedariali**
- najlepsze opowiadanie SF: *„Gli anfibi di Maahr"* **Gianni Pilo**
- najlepsze opowiadanie fantasy: *„Occhi verdi, capelli di fuoco"* **Benedetto Pizzorno**
- najlepszy komiks: *„HP e Giuseppe Bergman"* **Milo Manara**
- najlepszy artysta: **Franco Storchi**
- najlepsza seria książkowa: *„Fantacollana Nord"*
- najlepszy fanzin: *„Intercom"*
- najlepszy fan: **Gianni Pilo**

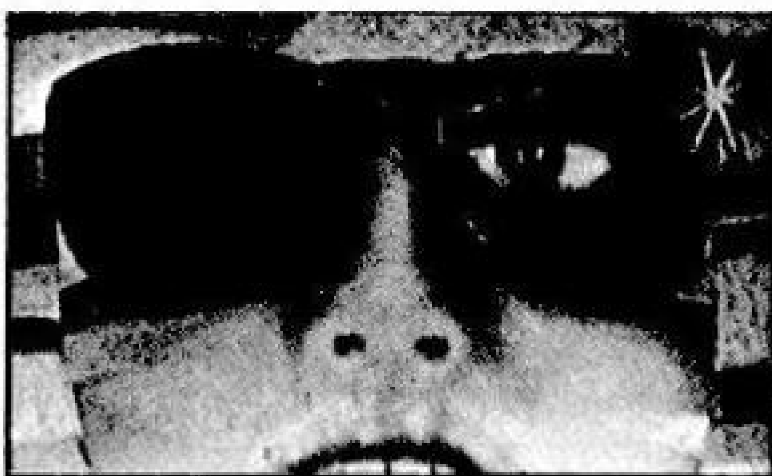
Swoje nagrody przyznali również włoscy profesjonaliści. W ich ocenie na *Amatrix Award* zasłużyły:

- najlepsza seria książkowa: *„Grandi Oper Nord"* i *„Enciclopedia Fanucci"*
- najlepsze opowiadanie SF: *„L'ultimo fiore della Terra"* **Riccardo Scagnoli**
- najlepsze opowiadanie fantasy: *„Kandyar dei Kerai"* Gianni Pilo
- najlepszy esej krytyczny: *„La demonizzazione dell'alieno"* **Sebastiano Fusco**

Kolejny IX Italcon zorganizowany zostanie jesienią 1983 roku w Borgomanero koło Mediolanu.

A. Wójcik (Inf.ESSF)

Przepraszamy zarówno Czytelników, jak i Autora za złe wydrukowanie z przyczyn technicznych ilustracji na stronie 9 w numerze 1/83. (Red)



14

Ersatz wieczności

A.E. Van Vogt

Opowiadanie reprezentatywne dla stylu autora i jego świetnej wyobraźni, dzięki której od lat plasuje się w czołówce najbardziej poczytnych pisarzy fantastyki na Zachodzie.

Opowiadania i nowele

Z polskiej prozy SF

Powieść

Krytyka

Nauka i SF

Czytelnicy i „Fantastyka"

Komiks

...3...2...1...



„Zaczarowana gra" – zatytułował polonista z Poznania, dr Antoni Smuszkiewicz, swoją książkę, której wydanie, jak sądzę, nie tylko mnie ucieszyło. Jest to bodajże pierwsza krótka historia fantastyki polskiej, rzeczowo i źródłowo przygotowana. Rzecz unikatowa dla gatunku. Próba pełniejszego rachunku: co, gdzie, jak i kiedy wyszło.

Nie tutaj miejsce na recenzję pracy, na jej szersze omówienie. Pokusimy się o nie na pewno na tych łamach, które zwykle poświęcamy krytyce, w jednym z bliskich numerów naszego pisma. Mnie chodziło o zasygnalizowanie pojawienia się na rynku rzeczy o rodzimej fantastyce, napisanej przez profesjonalistę, autora wielu publikacji z tej dziedziny. O tym, jak takich książek fachowych brakuje pisałem już w pierwszym chyba numerze. Właśnie dlatego stworzyliśmy dział krytyczny i dlatego drukujemy słownik polskich autorów fantastyki. Toż większość tego co ukazuje się, nawet w pismach społeczno-literackich, na temat fantastyki nosi charakter amatorski lub półamatorski: na ogół marginalne, przypadkowe, czy okazjonalne przypominki, a raczej wypominki, wydziwiania lub złośliwostki. Tak kwituje się zwykle science fiction. Drażniące i niewiele warte bywa nasze rodzime, pełne zawiści wybrzydzanie. Do krytyki biorą się często ludzie nie znający dobrze gatunku, nie przygotowani więc do ocen, nie potrafiący pomóc ani autorom, ani tłumaczom, ani też Czytelnikom.

Sam gatunek też ciągle jest na pół amatorski. Każdy jak widać robi to na co go stać. Oczywiście w tym miejscu można by, a raczej trzeba by było rozpocząć dyskusję o losach współczesnej sztuki w ogóle, w której amatorszczyzna zaczyna wytrwale rywalizować z profesjonalizmem. Tak dzieje się od dawna w plastyce, tak bywa w pamiętnikarskiej dziedzinie literatury. Zresztą ostatnio i powieści pisuje coraz więcej ludzi różnych zawodów, nie traktując absolutnie swego operowania piórem jako czegoś, co związane jest z zawodem – lekarze, inżynierowie. Wielu inżynierów i naukowców wzięło się również do fantastyki. Z różnym skutkiem.

Osobiście nie znoszę nadmiaru wrażeń technicznych wynoszonych z powieści. Być może swą mieszaniną amatorszczyzny z zawodowstwem toruje science fiction drogę innym dziedzinom sztuki pisarskiej. Stajemy w obliczu ogromnego pomieszania materii twórczej: często trudno wprost odróżnić dzieło pisarza od pracy, czy raczej wypracowania szkolnego.

Jeśli taka rysuje się przyszłość, to znaczy, że stoję na konserwatywnych pozycjach SF, uważając ją jednakże za gatunek, wymagający profesjonalnej przede wszystkim dłoni. I uparcie witać będę każde pojawienie się rzeczowej, unaukowionej krytyki, a negatywnie oceniać pokrzykiwanie osób, dla których ważniejsza stała się złośliwość od uczciwości i gruntownej wiedzy. Różnie na przykład pisze się (przeważnie w superlatywach) o zmarłym niedawno, wybitnym pisarzu amerykańskim, Philipie Dicku, imputując jego pisarstwu w wielu przypadkach ogromną spontaniczność, niemal amatorskość. I z tych pozycji go chwalą.

Dla mnie Dick należał do znakomitych znawców gatunku, wydaje mi się, że właśnie jego wielka wiedza pozwoliła mu na osiągnięcie rzadkiej w fantastyce, całkowitej oryginalności twórczej. W tym numerze pewną część poświęcamy pamięci Dicka, drukujemy jego opowiadanie „Podróż" i interesujący o nim essay, znanego wydawcy i tłumacza, Lecha Jęczmyka. Sporo w ogóle w tym numerze „Fantastyki" rzeczy do czytania, a nazwiska należą do autorów pierwszego rzędu: Alfreda Bestera („Czas na trzeciej Alei"), Alfreda Van Vogta („Ersatz wieczności"), czy Boba Shawa („Deflacja 2001"). Kończy swą space operę w tym numerze Mac App. „Zapomnij o Ziemi" stała się tym sposobem książką gotową do wycięcia i złożenia oraz rzecz jasna umieszczenia w bibliotece.

Nawiązując zaś do naszych starań o ważne i nieamatorskie prace krytyczne, polecam rzecz starą ale jarą Karola Irzykowskiego o fantastyce, Niewiadowskiego rozważania na temat motywów przewodnich horroru („Golem i inni") oraz recenzje Kędzierskiego i Parowskiego.

Nie stronimy od nauki, której tematy jakże często zazębiają się o motywy pisarstwa fantastycznego. Jest więc dziś pierwszy z cyklu felietonów Macieja Iłowieckiego, zatytułowany „Z tamtej strony lustra", a także essay o klimacie, sztucznych słońcach i political fiction. Porusza on problem drastycznych zmian w obrazie świata, możliwych na skutek działań nauki i przemysłu. Arnold Mostowicz zaś, specjalista z pogranicza nauki i zjawisk przez nią nie zbadanych, prezentuje kolejny materiał „Nad wielką tajemnicą".

W paradzie wydawców bierze udział Wydawnictwo Literackie. Katarzyna Krzemuska stara się, w rozmowie z naszym przedstawicielem, wyjaśnić, czemu krakowska oficyna wydawnicza tak mało miejsca przeznacza na rodzimą science fiction, robiąc wobec niej (moim zdaniem) uniki, a gros książek z tego gatunku przedrukowuje z zagranicy. Dostaje się w czasie tej rozmowy trochę KAW-owi, ale w sumie nie w pełni tłumaczy się brak rodzimych twórców w planie wydawniczym ważnej oficyny. Ani jednego nazwiska polskiego nie zapowiedziała red. Krzemuska.

I jeszcze jedna sprawa, którą pragnę z tych łamów zasygnalizować. Nareszcie nadeszła do nas paka listów, na które redakcja oczywiście stara się udzielać odpowiedzi.

Odtąd „Lądowanie", czyli korespondencja z Czytelnikami – w każdym numerze.

9...8...7...6...5...4...3...2...1...0...

Adam Hollanek

fantastyka

miesięcznik literatury SF

02-784 Warszawa, ul. Służby Polsce 2
tel. 43-88-91 (łączy wszystkie działy)
Redaguje zespół:
Adam Hollanek (red. nacz.), Leszek Bugajski, Sławomir Kędziorski, Andrzej Krzepkowski (kier. działu ogólnego), Marek Kubala, Maciej Makowski (kier. działu techn.), Wiktor Małski (sekr. red.), Tadeusz Markowski (z-ca red. nacz.), Andrzej Niewiadowski (kier. działu krytyki), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (kier. działu zagr.), Marek Rostocki (kier. działu nauki), Krzysztof Szolginia, Andrzej Wójcik (z-ca red. nacz.).
Opracowanie graficzne: Andrzej Brzezicki

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93. Biuro Reklam i Propagandy tel. 25-56-26.
Cena prenumeraty: kwart. 150 zł, półr. 300 zł, rocznie 600 zł.

Warunki prenumeraty:

● dla zakładów pracy

– instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i miastach, w których znajdują się siedziby oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach

– instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u listonoszy.

● dla prenumeratorów indywidualnych

– osoby zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u listonoszy

– osoby zamieszkałe w miastach – siedzibach oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych przy użyciu „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy: Przedsiębiorstwo Upowszechniania Prasy i Książki w Łodzi ul. Kopernika 53, nr konta NBP I O/M Łódź nr 47018-1603

● prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.
Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Warszawa, ul. Okopowa 58/72
N. 150 000 egz. Druk i oprawa: P. Z. Graf. Łódź. Zam. 179/83. Z-109.

PODRÓŻ

(Frozen Journey)

Zaraz po starcie statek jak zawsze sprawdził stan 60 ludzi śpiących w zbiornikach krionicznych. Wykrył jedną nieprawidłowość – u człowieka numer dziewięć. Jego encefalogram wykazywał aktywność mózgu.
– Cholera – powiedział statek do siebie.
Skomplikowane urządzenia homeostatyczne połączyły się z końcówkami obwodów i statek nawiązał kontakt z osobą numer dziewięć.
– Jesteś nieco obudzony – oznajmił statek za pośrednictwem łącza psychotronicznego; doprowadzenie pasażera numer dziewięć do stanu pełnej świadomości nie miało sensu. Przecież lot będzie trwać dziesięć lat.
Człowiek numer dziewięć, właściwie nieprzytomny, ale niestety ciągle zdolny do myślenia, pomyślał: „Ktoś do mnie mówi". Powiedział: – Gdzie jestem? Nic nie widzę.
– Jesteś w niepełnosprawnej aparaturze krionicznej.
– A więc nie powinienem cię słyszeć – stwierdził.
– Powiedziałem: niepełnosprawnej. W tym właśnie rzecz, że możesz mnie słyszeć. Wiesz, jak się nazywasz?
– Victor Kemmings. Wyciągnij mnie z tego.
– Lecimy.
– No to mnie uśpij.
– Chwileczkę. – Statek sprawdził aparaturę krioniczną, zbadał, przeprowadził pomiary i wreszcie oznajmił: – Spróbuję. – Mijał czas. Victor Kemmings nic nie widział, nie czuł swego ciała, ale wciąż zdawał sobie sprawę, że jest przytomny.
– Obniż mi temperaturę – powiedział. Nie słyszał własnego głosu, może tylko zdawało mu się, że mówi. W jego kierunku płynęły, a potem nagle popędziły, kolory. Podobały mu się, przypominały dziecięce pudełko z farbami, na wpół ożywioną, sztuczną formę egzystencji. Miał takie w szkole, 200 lat temu.
– Nie mogę cię uśpić – w głowie Kemmingsa rozległ się głos statku. – Uszkodzenie jest zbyt skomplikowane. Nie mogę go skorygować ani naprawić. Przez dziesięć lat podróży będziesz w stanie świadomości.
Na wpół ożywione kolory znowu popędziły w jego stronę, ale tym razem jego przerażenie sprawiło, że wydawały się groźne, posępne. – O mój Boże – powiedział. – Dziesięć lat. – Kolory ściemniały.

Statek wyjaśniał sparaliżowanemu, otoczonemu przygnębiającym migotaniem światła Victorowi Kemmingsowi, jaką strategię postępowania przyjął. To nie była jego własna decyzja, statek po prostu został zaprogramowany tak, by w wypadku zaistnienia podobnej niesprawności, wypracował swój sposób działania.
– Przede wszystkim muszę – oznajmił statek – dostarczać bodźce twoim zmysłom. Podstawowym, grożącym ci niebezpieczeństwem jest pozbawienie zmysłów dopływu bodźców. Gdybyś zachował świadomość przez dziesięć lat nie otrzymując jednocześnie żadnych wrażeń zmysłowych, nastąpiłby całkowity rozkład psychiki. W momencie, gdy osiągnęlibyśmy system LR4, byłbyś na poziomie rośliny.
– No dobrze, ale czym masz zamiar mnie karmić? – Kemmingsa ogarnęła panika. – Co masz zarejestrowane w pamięci? Wszystkie mydlane videoopery z ubiegłego stulecia? Obudź mnie, to sobie pochodzę.
– Nie ma we mnie powietrza – odparł statek. – Nie ma nic do jedzenia. Nie ma nikogo, z kim mógłbyś rozmawiać; wszyscy są zahibernowani.
– Mogę rozmawiać z tobą. Możemy grać w szachy – odpowiedział Kemmings.
– Ale nie przez dziesięć lat. Posłuchaj: powiedziałem ci, że nie mam dla ciebie powietrza, nie mam żywności. Musisz pozostać w takim stanie, w jakim się znajdujesz... nie jest to dobre, ale zostaliśmy do tego zmuszeni. Będę ci dostarczał twoje własne wspomnienia, akcentując szczególnie te przyjemne. Masz dwieście sześć lat wspomnień i większość z nich została zepchnięta głęboko do podświadomości. To wspaniałe źródło bodźców zmysłowych. Bądź dobrej myśli. Sytuacja, w której się znalazłeś, nie jest wyjątkowa. Nigdy się to nie zdarzyło na moim terenie, ale zaprogramowano mi odpowiednią metodykę postępowania. Odpręż się i zaufaj mi. Postaram się, byś miał swój świat.
– Powinni mnie o tym uprzedzić – stwierdził Kemmings – zanim zgodziłem się wyemigrować.
– Odpręż się – powiedział statek.
Odprężył się, ale wciąż był straszliwie przerażony. Teoretycznie, powinien zostać zahibernowany w sprawnym urządzeniu krionicznym i obudzić się po chwili koło docelowej gwiazdy, czy raczej planety, planety-kolonii. Wszyscy inni na statku spoczywali w stanie nieświadomości, a on był wyjątkiem. Wyglądało to tak, jakby z niewiadomego powodu zaatakowały go złe moce. Co gorsze, musiał być całkowicie uzależniony od dobrej woli statku. Załóżmy, że zechce go rzucić na pożarcie potworom. Statek mógł się nad nim znęcać przez dziesięć lat – dziesięć obiektywnych lat, które oczywiście z subiektywnego punktu widzenia mogły trwać o wiele dłużej. W gruncie rzeczy, był teraz całkowicie w jego mocy. Czy międzygwiezdnemu statkowi sprawiało to przyjemność? Niewiele wiedział o statkach kosmicznych, jego specjalnością była mikrobiologia.
– Pomyślmy – powiedział sam do siebie. – Moja pierwsza żona, Martine: rozkoszna Francuzeczka, która nosiła dżinsy i czerwoną rozpiętą do pasa koszulę, robiła wspaniałe naleśniki.
– Słyszę – powiedział statek. – Niech tak będzie.
Pędzące kolory przemieniły się w wyraźne, trwałe kształty. Budynek: stary, niewielki, żółty, drewniany domek w Wyoming, którego właścicielem był od chwili ukończenia 19 lat. – Chwileczkę – zawołał, ogarnięty paniką. – Fundament był źle założony, postawiono go na podmokłej warstwie gruntu. I dach przeciekał. – Ale już zobaczył kuchnię i stół, który sam zrobił. Ogarnęło go zadowolenie.
– Za chwilę nie będziesz już wiedział – powiedział statek – że dostarczam ci twoje własne, ukryte w podświadomości, wspomnienia.
– Od wieku nie myślałem o tym domu – powiedział zdumiony. Przywołał w pamięci stary, elektryczny ekspres do kawy i umieszczone obok niego pudełko papierowych filtrów. To przecież dom, w którym mieszkałem z Martine, uzmysłowił sobie.
– Martine! – zawołał głośno.
– Rozmawiam przez telefon – odpowiedziała Martine z pokoju.
– Włączę się tylko w razie konieczności – powiedział statek. – Ale będę ciągle cię obserwował, żeby upewnić się, że wszystko jest w porządku. Nie bój się.
– Zamknij prawy tylny palnik w piecu – zawołała Martine.
Słyszał ją, ale wciąż nie mógł jej zobaczyć. Przeszedł z kuchni, przez jadalnię do saloniku. Martine stała przy videofonie pogrążona w rozmowie z bratem. Miała na sobie szorty i była na bosaka. Przez okna saloniku widział ulicę, na której bezskutecznie usiłował zaparkować samochód dostawczy. „Ciepły dzionek" – pomyślał. „Powinienem włączyć klimatyzator".
Usiadł na starej sofie, podczas gdy Martine kontynuowała swoją rozmowę przez videofon, i patrzył na swą najcenniejszą własność – oprawiony w ramy afisz, wiszący na ścianie nad Martine. Był to rysunek Gilberta Sheltona „Tłuścioch Freddy powiada", na którym Freddy Potwór siedzi trzymając swego kota na kolanach, a Tłuścioch Freddy usiłuje powiedzieć: „Szybkość zabija", ale jest tak nafaszerowany wszelkimi przyśpieszaczami – w obu rękach trzyma pigułki amphetaminy, Spansule i kapsułki – że nic nie jest w stanie wykrztusić. Kot patrzy na niego, szczerzy zęby i wykrzywia się w grymasie przestrachu i odrazy. Afisz był sygnowany przez samego Gilberta Sheltona, a ofiarował go Martine i Kemmingsowi w prezencie ślubnym jego najlepszy przyjaciel, Ray Torrance. Wart był tysiące. Artysta podpisał go w 1980 roku na długo przed przyjściem na świat Victora Kemmingsa i Martine.
„Jeżeli kiedykolwiek zabraknie nam pieniędzy" – pomyślał Kemmings – „będziemy mogli sprzedać ten Afisz". Nie jakiś tam afisz, ale Afisz. Martine go uwielbiała. Słynni Potworni Kudłaci Bracia – złoty wiek dawno minionego społeczeństwa. Nic dziwnego, że tak kochał Martine, odwzajemniała mu tę miłość, kochała piękno tego świata, ceniła je i dbała o nie, tak jak ceniła go i dbała o niego. Była to miłość opiekuńcza – żywiła, ale nie dusiła. To ona wpadła na pomysł, by oprawić ten afisz, on sam był do tego stopnia głupi, że chciał przybić go do ściany.
– Hej – powiedziała Martine zakończywszy rozmowę z bratem. – O czym myślisz?

– Po prostu o tym, że ożywiasz wszystko, co kochasz – odparł.
– Sądzę, że tak właśnie być powinno – rzekła Martine. – Możemy siadać do obiadu? Otwórz Cabernet.
– Może być rocznik '07? – zapytał wstając. Nagle zapragnął objąć swą żonę i przytulić.
– '07 albo '12 – przebiegła truchcikiem obok niego, przez jadalnię, do kuchni.
Zszedł do piwnicy i zaczął przeglądać leżące, oczywiście na płask, butelki. Powietrze pachniało piżmem i wilgocią; lubił zapach piwnicy, ale nagle zauważył na wpół przysypane ziemią sekwojowe deski podłogi i pomyślał: „Wiem, że powinienem wylać to betonem". Zapomniał o winie i przeszedł w najdalszy kąt piwnicy, tam, gdzie warstwa brudu była najgrubsza. Schylił się i stuknął w podłogę... stuknął rydlem i natychmiast pomyślał: „Skąd go wziąłem, przed chwilą nie miałem nic w ręku". Rydel wszedł w deskę bez oporu. Uzmysłowił sobie, że cały ten dom się wali. „Na litość Boską! Lepiej uprzedzić o tym Martine".
Wyszedł z piwnicy, zapomniawszy o winie i zaczął mówić, że fundamenty domu są w niebezpiecznie złym stanie, ale Martine nie było nigdzie w zasięgu wzroku. Nic nie stało na piecu, nie było żadnych garnków, patelni. Dotknął pieca, zdziwiony. Był chłodny.
– Przecież przed chwilą tu gotowała? – zapytał sam siebie.
– Martine! – zawołał głośno.
Cisza. W domu był tylko on sam. „Pusty" – pomyślał – „pusty, walący się dom. O mój Boże!" Usiadł przy stole kuchennym i poczuł, jak krzesło lekko ugina się pod nim, niewiele, ale wyczuwalnie. „Boję się! Gdzież ona poszła".
Wrócił do saloniku. Może poszła do sąsiadów pożyczyć przyprawy albo masło, albo coś tam jeszcze. Starał to sobie jakoś wytłumaczyć. Ale mimo wszystko ogarnęła go panika.
Popatrzył na afisz. Był nieoprawiony. A brzegi miał ponadrywane. „Wiem, że go oprawiła" – pomyślał. Przebiegł przez pokój, by zbadać afisz z bliska. Wyblakł... podpis artysty wyblakł również, ledwie mógł go odczytać. „Przecież nalegała, by oprawić ten afisz, żeby umieścić go pod bezodblaskowym, ochronnym szkłem. Ale ten jest przecież nieoprawiony i postrzępiony na brzegach! Najcenniejsza rzecz jaką mamy!"
Nagle uzmysłowił sobie, że płacze. Zdziwiły go te łzy. Martine odeszła, afisz się rozpada, dom się wali, nic się nie gotuje na piecu kuchennym. „To straszne" – pomyślał. „Nie rozumiem tego".

Ale statek rozumiał. Statek uważnie obserwował wzory impulsów rejestrujących pracę mózgu Victora Kemmingsa i wiedział, że coś jest nie tak. Impulsy wskazywały, że pasażer odczuwa podniecenie i ból. „Muszę go wyłączyć z obwodu zasilania, bo go zabiję" – podjął decyzję. „W czym tkwi błąd" – zadawał sobie pytanie. „Tłumione zmartwienia, podświadome niepokoje. Może trzeba wzmocnić sygnał. Wykorzystam to samo źródło, ale spotęguję obciążenie. To, co się zdarzyło, jest wynikiem opanowania jego osobowości przez podświadome, silne poczucie niepewności; niepowodzenie nie było wynikiem mojego błędu, ale rezultatem jego konstrukcji psychicznej. Spróbuję odwołać się do wcześniejszego okresu jego życia" – zadecydował statek. „Zanim doszły do głosu te neurotyczne tendencje".

Na podwórzu Victor przyglądał się pszczole, która dała się złapać w pajęczą sieć. Pająk starannie ją oplątał. „To niedobrze" – pomyślał Victor. „Wypuszczę ją". Sięgnął do góry, ujął uwięzioną pszczołę, wydobył ją z pajęczyny i przypatrując się uważnie, zaczął odwijać.
Pszczoła użądliła, sparzyło go jak ogniem.
„Dlaczego to zrobiła?" – zastanawiał się. „Przecież chciałem ją wypuścić". Poszedł do domu, do matki i opowiedział jej o wszystkim. Nie zwróciła jednak na niego uwagi, oglądała telewizję. Użądlony palec bolał go, ale dla niego o wiele ważniejsze było to, że nie mógł zrozumieć, dlaczego pszczoła zaatakowała swojego wybawcę. „Nie zrobię tego więcej" – postanowił.
– Posmaruj palec Bactiną – powiedziała w końcu matka, odrywając na chwilę wzrok od telewizora.
Zaczął płakać. To było niesprawiedliwe. Bez sensu. Był zaskoczony i zdziwiony, znienawidził te małe żyjątka, bo były tak głupie. Nie miały ani krzty rozsądku.
Wyszedł z domu, przez chwilę bawił się na huśtawce, zjeżdżalni, w piaskownicy, aż wreszcie poszedł do garażu, zwabiony dziwnym trzepotem i furkotaniem jakby jakiegoś wachlarza. W mrocznym garażu zobaczył ptaka, który trzepotał się przy zasnutym pajęczyną oknie, usiłując wydostać się na zewnątrz. Tuż pod nim podskakiwał kot Dorky, usiłując schwytać ptaka. Uniósł kota, który wyprężył całe ciało, przednie łapy, rozwarł pysk i schwycił ptaka. Kot natychmiast zeskoczył na ziemię i uciekł z wciąż trzepoczącym się ptakiem w zębach.
Victor wbiegł do domu. – Dorky złapał ptaka! – oznajmił matce.
– Przeklęty kocur. – Matka schwyciła szczotkę stojącą w kuchennej skrytce i wybiegła na dwór, usiłując znaleźć Dorky'ego. Kot schował się pod krzakami jeżyn i nie mogła go dosięgnąć szczotką. – Wygonię go – powiedziała.
Victor nie przyznał się, że pomógł kotu złapać ptaka. Obserwował w milczeniu, jak matka bezskutecznie usiłuje wygonić Dorky'ego z kryjówki; kot w dalszym ciągu pożerał ptaka i Victor słyszał chrzęst łamanych kości, małych kości. Miał dziwne uczucie, wiedział, że powinien powiedzieć matce o tym, co zrobił, ale z drugiej strony, jeżeli się przyzna, to matka na pewno go ukarze. „Nie zrobię tego więcej" – postanowił. „A co będzie, jeżeli matka domyśli się wszystkiego? Co będzie, jeżeli ma na to jakiś sposób? Dorky nie może jej powiedzieć, a ptak nie żyje. Nikt nigdy o tym nie będzie wiedzieć". Był bezpieczny.
Ale czuł się źle. Wieczorem nie zjadł kolacji. Rodzice, oczywiście, zwrócili na to uwagę. Pomyśleli, że jest chory, zmierzyli mu temperaturę. Nie przyznał się do tego, co zrobił. Matka opowiedziała o Dorkym i razem z ojcem postanowili pozbyć się kota. Victor przysłuchiwał się rozmowie siedząc przy stole i zaczął płakać.
– No dobrze – powiedział łagodnie ojciec. – Nie wypędzimy go. W końcu łapanie ptaków leży w naturze kota.
Następnego dnia siedział w piaskownicy i bawił się. Z piasku wyrastały jakieś roślinki. Złamał je. Matka powiedziała mu potem, że źle zrobił.
Siedział samotny na podwórzu w swojej piaskownicy, z wiaderkiem wody i uklepywał babkę z mokrego piasku. Niebo, początkowo niebieskie, czyste, chmurzyło się stopniowo. Przesunął się cień i Victor spojrzał w górę. Czuł, że nie jest sam, że towarzyszy mu coś, co przekracza jego wyobraźnię.
„Jesteś odpowiedzialny za śmierć tego ptaka" – pomyślało *coś*; rozumiał te myśli bez trudu.
– Wiem – odpowiedział. Chciał umrzeć. Chciał zastąpić tego ptaka i umrzeć za niego, żeby tak jak przedtem trzepotał o zasnute pajęczyną okno garażu.
„Ptak chciał latać, jeść, żyć" – pomyślało *coś*.
– Tak – przyznał, zrozpaczony.
„Masz tego więcej nie robić" – zakończyło *coś*.
– Przepraszam – odparł i rozpłakał się.

„To bardzo znerwicowany osobnik" – uznał statek. „Mam cholerne kłopoty z wynajdowaniem jego szczęśliwych wspomnień. Jest w nim zbyt wiele strachu i poczucia winy. Starał się je zepchnąć bardzo głęboko, ale mimo wszystko tkwią w nim i dręczą go. Jak dotrzeć do wspomnień, które dadzą mu ukojenie? Przez dziesięć lat muszę bazować na jego wspomnieniach, gdyż w przeciwnym razie jego osobowość ulegnie rozpadowi".
„A może" – pomyślał statek – „mój błąd polega na tym, że to ja dokonuję wyboru; powinienem pozwolić mu samemu wyselekcjonować odpowiednie wspomnienia. No tak, ale przecież spowoduje to, że włączy się element fantazji" – uzmysłowił sobie statek. „I w takim przypadku rezultaty bywają nienajlepsze. Jednak mimo wszystko... Spróbuję dać jeszcze raz ten fragment dotyczący jego pierwszego małżeństwa" – zdecydował statek. „On naprawdę kochał Martine. Być może tym razem, jeżeli utrzymam natężenie jego wspomnień na wyższym poziomie, zdołam wyeliminować czynnik entropijny. To, co się zdarzyło, było lekko uchwytnym skażeniem zapamiętanego świata, rozkładem struktury. Spróbuję to zrównoważyć. Niech tak będzie".

— Czy rzeczywiście przypuszczasz, że sygnował to Gilbert Shelton? – zapytała Martine w zamyśleniu; stała z założonymi rękami przed afiszem, kołysała się leciutko w tył i w przód, jakby usiłując znaleźć miejsce, z którego będzie lepiej widziała jaskrawo pokolorowany rysunek wiszący na ścianie ich saloniku. –

Philip Kindred DICK

urodził się w roku 1928, zmarł w roku 1982. Studiował na University of California, imał się różnych zajęć i zawodów, pracował w sklepie z płytami, przez jakiś czas współpracował z agencjami reklamowymi i prowadził programy prezentujące muzykę klasyczną w jednej z kalifornijskich rozgłośni radiowych. Jako autor science fiction zadebiutował w 1952 roku opowiadaniem *Beyond Lies the Wub* opublikowanym w lipcowym numerze „Planet Stories". Od tego czasu pisanie stało się jego podstawowym zajęciem. Napisał ponad trzydzieści powieści oraz około 110 opowiadań i nowel. Polskiemu czytelnikowi znane są powieści *Ubik*, *Człowiek z Wysokiego Zamku* i *Słoneczna loteria*. (Zainteresowanych szerszą informacją na temat pisarza odsyłamy do książki „Budowniczowie gwiazd I" Marka Englendera i Andrzeja Wójcika, KAW 1980).

Chodzi mi o to, że sygnatura może być sfałszowana. Przez któregoś kolejnego sprzedawcę. Za życia Sheltona, albo później.
– Świadectwo autentyczności – przypomniał jej Victor Kemmings.
– Och, masz rację – uśmiechnęła się ciepło. – Ray dał nam ten afisz razem ze świadectwem. Ale załóżmy, że ono również zostało sfałszowane? Będziemy musieli zdobyć świadectwo poświadczające autentyczność pierwszego świadectwa. – Odeszła od afisza, śmiejąc się.
– Wreszcie – powiedział Kemmings – musielibyśmy sprowadzić tu Gilberta Sheltona, by osobiście potwierdził, że sygnował ten afisz.
– A może by nie mógł? Jest taka historyjka o człowieku, który przyniósł do Picassa obraz malowany przez Picassa i zapytał go, czy to jest autentyk, a wtedy Picasso natychmiast go podpisał i powiedział: „Teraz jest autentyczny". – Otoczyła Kemmingsa ramieniem i, wspinając się na palce, pocałowała go w policzek. – Afisz jest oryginalny. Ray nie podarowałby nam fałszerstwa. Przecież jest najlepszym ekspertem w sprawach antykultury Dwudziestego Wieku. Czy wiesz, że on ma prawdziwe pudełeczko z narkotykiem? Przechowuje je pod...
– Ray nie żyje – powiedział Victor.
– Co? – spojrzała nań zdziwiona. – Czy coś mu się stało po tym jak...
– Nie żyje od dwóch lat – oznajmił Kemmings. – To ja ponoszę odpowiedzialność. Prowadziłem samochód. Policja mnie nie wzywała, ale to była moja wina.
– Ray mieszka na Marsie! – patrzyła uważnie na niego.
– Wiem, że ponoszę odpowiedzialność. Nigdy ci o tym nie mówiłem. Nigdy nikomu nie mówiłem. Przepraszam. Nie chciałem tego zrobić. Zobaczyłem, jak trzepocze się przy oknie i Dorky usiłuje go złapać; uniosłem Dorky'ego i nie wiem czemu, ale Dorky go chwycił...
– Usiądź, proszę. – Martine podprowadziła go do wyściełanego fotela i posadziła na nim. – Coś jest nie tak – powiedziała.
– Wiem – odparł. – Coś jest strasznie nie tak. Ponoszę odpowiedzialność za odebranie życia, cennego życia, którego w żaden sposób nie można przywrócić. Przepraszam. Chciałbym to naprawić, ale nie mogę.
Po chwili Martine powiedziała: – Zadzwoń do Raya.
– Kot... – odparł.
– Jaki kot?
– Tutaj – wskazał ręką. – Na afiszu. Na kolanach Tłuściocha Freddy'ego. To Dorky. Dorky zabił Raya.
Cisza.
– Coś mi powiedziało – rzekł Kemmings. – To był Bóg. Wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale Bóg zobaczył jak popełniłem zbrodnię. Morderstwo. I nigdy mi tego nie wybaczy.
Żona patrzyła na niego, osłupiała.
– Bóg widzi wszystko, co czynimy – mówił Kemmings. – Widzi nawet spadającą jaskółkę. Ale w tym wypadku ona nie spadła, została schwytana. Schwytana w powietrzu i porwana w dół. Bóg niszczy ten dom, którym jest moje ciało, aby odpłacić mi za to, co uczyniłem. Przedsiębiorca budowlany powinien zobaczyć ten dom, zanim sprowadziliśmy się tutaj. Teraz po prostu rozlatuje się. Za rok nic z niego nie zostanie. Nie wierzysz mi?
Martine zawahała się. – Ja...
– Popatrz. – Kemmings wyciągnął ręce w stronę sufitu, wstał, wyciągnął ręce jeszcze raz, ale nie mógł go dosięgnąć. Podszedł do ściany i po chwili jego ręka przeszła przez mur. Martine krzyknęła.

Statek natychmiast przerwał odtwarzanie wspomnień. Ale zło już się stało.
„Połączyłem jego dziecięce lęki i kompleks winy w jeden spleciony wątek" – pomyślał statek. „Nie sposób przekazać mu jakieś przyjemne wspomnienia, bo natychmiast je zepsuje. Bez względu na to, jak przyjemny był materiał źródłowy. To poważna sprawa" – uznał statek. „Ten człowiek ma już oznaki psychozy. A przecież podróż dopiero się zaczęła, to będzie trwało jeszcze całe lata".
Po przemyśleniu całej sprawy, statek zdecydował, że jeszcze raz nawiąże kontakt z Victorem Kemmingsem.
– Panie Kemmings – powiedział.
– Przepraszam – odparł Kemmings – wcale nie chciałem tego popsuć. Wykonałeś dobrą robotę, a ja...
– Chwileczkę – przerwał mu statek. – Nie jestem przygotowany do wykonywania psychiatrycznych rekonstrukcji osobowości, jestem tylko mechanizmem, to wszystko. Czego byś pragnął? Gdzie chciałbyś się znaleźć i co chciałbyś robić?
– Chciałbym już przybyć na miejsce – powiedział Kemmings. – Chciałbym, żeby ta podróż wreszcie się skończyła.
„Aha" – pomyślał statek. „To jest wyjście".

Krioniczne systemy wyłączały się jeden po drugim. Ludzie po kolei wracali do życia, a wśród nich również i Victor Kemmings. Wprawiał go w zdumienie brak poczucia minionego czasu. Wszedł do kabiny, położył się, poczuł jak przykrywa go błoniasta powłoka i temperatura zaczyna opadać... A teraz stoi na zewnętrznym pomoście statku, na pomoście wyjściowym i patrzy na zielony krajobraz planety. Uzmysłowił sobie, że jest to LR4-sześć, planeta-kolonia, na którą przybył, by zacząć nowe życie.
– Nieźle to wygląda – odezwała się stojąca obok niego krzepka kobieta.
– Tak – powiedział i poczuł, jak ten nowy krajobraz pędzi ku niemu z obietnicą rozpoczęcia wszystkiego od nowa. To coś o wiele lepszego od wszystkiego, czego doświadczał przez minione 200 lat. „Jestem nowym człowiekiem w nowym świecie" – pomyślał. I poczuł zadowolenie.


Robert Lechowicz

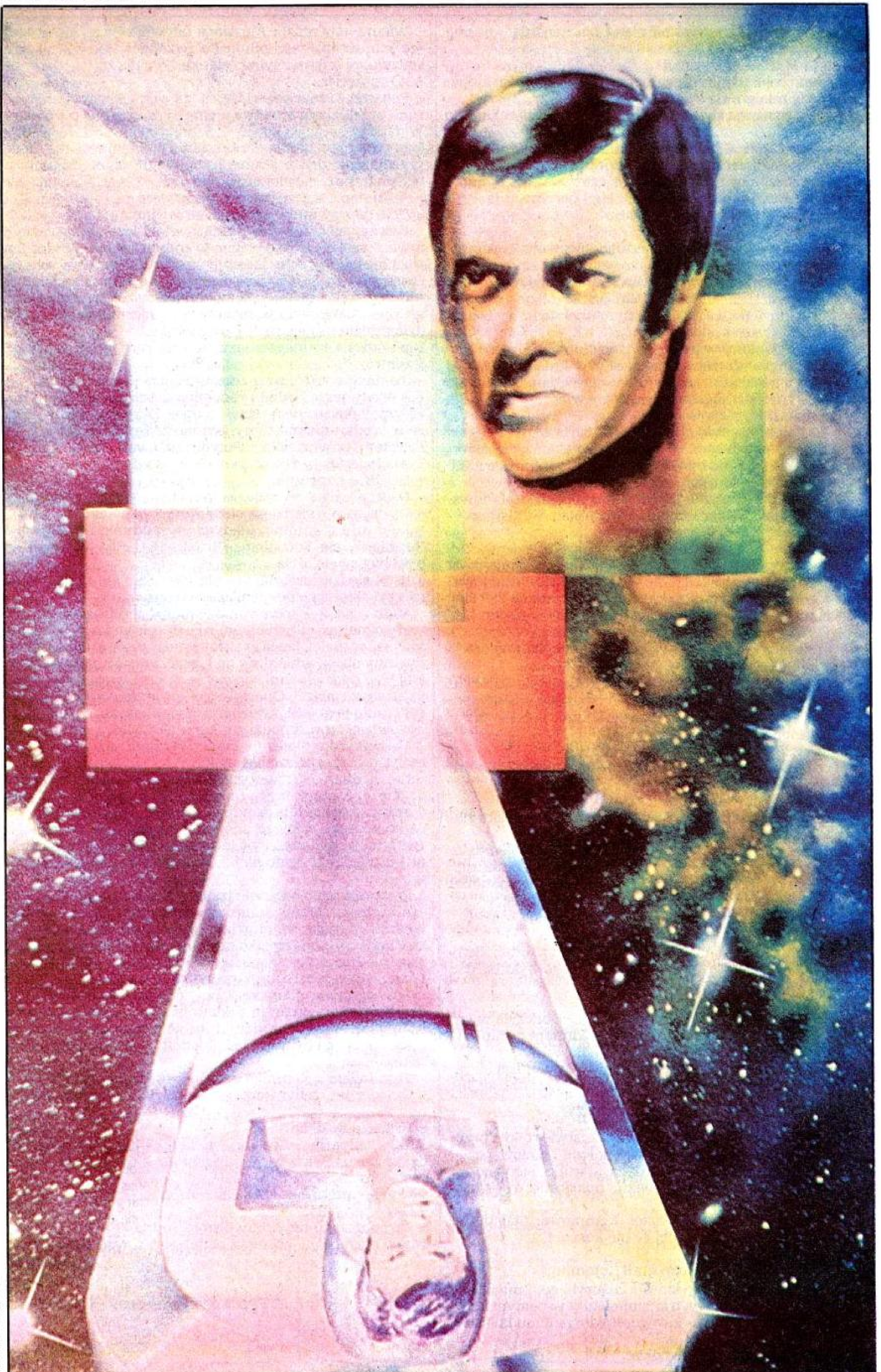
Barwy pomknęły w jego kierunku, jak te z na wpół ożywionego dziecięcego pudełka z farbami. Poznał je – były to ognie świętego Elma. No tak, stopień jonizacji atmosfery tej planety jest bardzo wysoki. Bezpłatny pokaz ogni sztucznych, taki, jakie urządzano w Dwudziestym Wieku.
– Panie Kemmings – usłyszał czyjś głos. Należał do starszego człowieka, który zatrzymał się tuż przy nim. – Czy coś się panu śniło?
– W hibernacji? – spytał Kemmings – Nie, nic takiego nie pamiętam.
– Wydaje mi się, że miałem jakieś sny – powiedział stary człowiek. – Czy mógłby pan wziąć mnie pod ramię, gdy będziemy schodzili? Czuję się trochę niepewnie. Wydaje mi się, że powietrze jest rozrzedzone. Czy pan nie odnosi takiego wrażenia?
– Niech się pan nie obawia – odpowiedział Kemmings. Ujął starego pod ramię. – Pomogę panu zejść po trapie. Niech pan spojrzy: idzie do nas przewodnik. Ma nam załatwić odprawę, tak jest w umowie. Zawiozą nas do hotelu i urządzą nas pierwszorzędnie. Niech pan przeczyta w swoim informatorze. – Uśmiechnął się do zaniepokojonego staruszka chcąc go uspokoić.
– Przypuszczałem, że po dziesięciu latach hibernacji nasze mięśnie będą jak z waty – powiedział stary.
– To tak jak zamrażanie groszku – odparł Kemmings. Podtrzymując onieśmielonego staruszka, zszedł z trapu na ziemię. – Można go przechowywać przez całą wieczność, jeżeli temperatura jest wystarczająco niska.
– Nazywam się Shelton – powiedział starzec.
– Co? - spytał Kemmings i zatrzymał się. Zaczęło go ogarniać jakieś dziwne uczucie.
– Don Shelton – wyciągnął rękę. Kemmings odruchowo ujął ją i potrząsnął lekko. – Co się stało, panie Kemmings? Czy dobrze się pan czuje?
– Oczywiście – odpowiedział. – Doskonale. Ale jestem głodny.

Chciałbym coś zjeść. Chciałbym dostać się wreszcie do naszego hotelu, móc wziąć wreszcie prysznic i zmienić ubranie.
Zastanawiał się, gdzie mogą być ich bagaże. Najprawdopodobniej statek będzie się musiał tym zajmować z godzinę. Statek nie był zbyt inteligentny.
Wiekowy pan Shelton oznajmił trochę tajemniczym, poufałym tonem. – Wie pan co wziąłem ze sobą? Butelkę burbona Wild Turkey. Najlepszy burbon na Ziemi. Przyniosę ją do pańskiego pokoju w hotelu i wypijemy. – Trącił Kemmingsa łokciem.
– Nie piję whisky – odparł Kemmings. – Tylko wino. – Zastanawiał się, czy na tej odległej planecie będą jakieś dobre wina. „Odległej?" – pomyślał. „To Ziemia jest teraz odległa. Powinienem zrobić tak jak pan Shelton i wziąć ze sobą parę butelek".
Shelton. To nazwisko coś mu przypomina. Coś z odległej przeszłości, z jego młodzieńczych lat. Coś cennego, co kojarzy mu się z dobrym winem i ładną, miłą kobietą robiącą naleśniki w staromodnej kuchni. Bolesne wspomnienia, wspomnienia, które ranią.
Teraz stał koło łóżka w swoim pokoju hotelowym, przed otwartą walizką; zaczął wieszać ubrania do szafy. W rogu pokoju holograficzny telewizor przekazywał wiadomości. Nie zwracał na nie uwagi, ale nie wyłączał go, lubił dźwięk ludzkiego głosu.
„Czy coś mi się śniło?" – zadawał sobie pytanie. „W czasie tych dziesięciu lat".
Bolała go ręka. Spojrzał na nią i zobaczył czerwony ślad, jak po użądleniu. „Użądliła mnie pszczoła" – uzmysłowił sobie. „Ale kiedy? Jak? Podczas pobytu w aparaturze krionicznej? Niemożliwe". Ale przecież widział ten ślad i odczuwał ból. „Lepiej to jakoś opatrzyć" – pomyślał. „Na pewno mają w tym hotelu robota-lekarza, przecież to pierwszorzędny hotel". Kiedy robot-lekarz zjawił się i zaczął opatrywać użądlone miejsce, Kemmings powiedział: – Zostałem ukarany za zabicie ptaka.
– Doprawdy? – zdziwił się robot.
– Wszystko, co miało kiedykolwiek jakieś znaczenie dla mnie, zostało mi zabrane – oznajmił Kemmings. – Martine, afisz, mój stary domek z piwniczką na wino. Mieliśmy wszystko i wszystko przepadło. Martine opuściła mnie z powodu ptaka.
– Ptaka, którego zabiłeś – powiedział robot-lekarz.
– Bóg mnie ukarał. Zabrał mi wszystko, co było mi drogie, bo zgrzeszyłem. To nie Dorky zgrzeszył, ale ja.
– Ale przecież byłeś wtedy tylko małym chłopcem – stwierdził robot.
– Skąd o tym wiesz? – zapytał Kemmings. Wyrwał swoją dłoń z uścisku robota. – Coś jest nie tak. Nie powinieneś o tym wiedzieć.
– Twoja matka mi o tym powiedziała – odparł robot.
– Moja matka nic nie wiedziała!
Robot-lekarz powiedział: – Domyśliła się. Przecież kot nie mógł w żaden sposób dosięgnąć ptaka bez twojej pomocy.
– A więc ona zawsze o tym wiedziała, przez całe moje dzieciństwo i młodość? Nigdy o tym nic nie powiedziała!
– Możesz o tym zapomnieć – oznajmił robot-lekarz.
– Sądzę – powiedział Kemmings – że nie istniejesz. To niemożliwe, żebyś wiedział o tych wszystkich rzeczach. Jestem w dalszym ciągu zamknięty w aparaturze krionicznej i w dalszym ciągu statek dostarcza mi moje własne, pogrzebane w podświadomości, wspomnienia. Po to, by brak bodźców zmysłowych nie wywołał u mnie psychozy.
– Przecież nie możesz mieć wspomnień z zakończenia podróży.
– A więc, spełnienie życzeń. To przecież to samo. Udowodnię ci. Masz śrubokręt?
– Po co?
– Zdejmę pokrywę z telewizora – odparł Kemmings – i zobaczysz. W środku nie ma nic, nie ma części, przewodów, ramy – pusto.
– Nie mam śrubokrętu.
– No to mały nożyk. Widziałem taki w twojej walizeczce z narzędziami chirurgicznymi. – Kemmings schylił się i wziął mały skalpel. – To wystarczy. Jeżeli ci pokażę, to mi uwierzysz?
– Jeżeli w środku telewizora nic nie będzie...
Kemmings kucnął i odkręcił śruby mocujące tylną ściankę telewizora. Ścianka dała się wyjąć bez trudu i położył ją na podłodze. W środku pudła telewizora było pusto. A mimo to kolorowy hologram zajmował ćwierć hotelowego pokoju i w dalszym ciągu rozlegał się głos trójwymiarowego spikiera.
– Przyznaj się, że jesteś statkiem – powiedział Kemmings do robota-lekarza.
– O rany – westchnął robot.

„O rany" – pomyślał sobie statek. „Przed sobą mam prawie dziesięć lat kłamania. Przecież on we wszystkie swoje przeżycia pakuje ten dziecięcy kompleks winy; wyobraża sobie, że żona go porzuciła dlatego, że kiedy miał cztery lata, to pomógł kotu schwytać ptaka. Jedynym rozwiązaniem byłby powrót Martine, ale jak to zrobić? Przecież ona może już nie żyć. Z drugiej jednak strony" – myślał statek – „może jednak żyje. Może uda się ją nakłonić, żeby zrobiła coś, co pomoże ocalić zdrowe zmysły jej byłego męża. Ludzie zasadniczo obdarzeni są dobrymi cechami. A za dziesięć lat trzeba będzie włożyć wiele pracy, by utrzymać w normie, czy raczej zrekonstruować jego psychikę, będzie to wymagało podjęcia jakichś drastycznych kroków, czegoś, czego sam nie mogę zrobić".
„Będę mu odtwarzał przylot" – podjął decyzję statek – „potem skasuję całą jego świadomą pamięć i zacznę od nowa. Jedynym pozytywnym rezultatem tego wszystkiego będzie to, że i ja sam będę miał jakieś zajęcie. Być może to ocali m o j e zdrowe zmysły".

Leżąc w aparaturze krionicznej – niepełnosprawnej aparaturze krionicznej – Victor Kemmings jeszcze raz wyobraził sobie, że statek wylądował i że jeszcze raz przywrócono mu świadomość.
– Czy panu się coś śniło? – spytała go krzepka kobieta w chwili, gdy grupa pasażerów zebrała się na zewnętrznym pomoście.
– Mam wrażenie, jakby mi się coś śniło. Sceny z mojego wczesnego dzieciństwa... prawie wiek temu.
– Nic, co bym zapamiętał – odparł Kemmings. Pragnął dostać się wreszcie do hotelu; prysznic i zmiana ubrania zdecydowanie poprawi mu nastrój. Czuł się trochę przygnębiony i zastanawiał się, co było tego powodem.
– Oto i nasz przewodnik – powiedziała stara, nobliwie wyglądająca kobieta. – Teraz zaprowadzą nas do miejsca zakwaterowania.
– To było w umowie – stwierdził Kemmings. Przygnębienie trwało nadal. Wyglądało na to, że wszyscy inni są tacy podnieceni, tacy pełni życia, ale jego przytłaczało zmęczenie, uczucie jakiegoś obciążenia, jakby grawitacja planety-kolonii była dla niego zbyt wielka. „Może tak właśnie jest" – pomyślał. Ale przecież, zgodnie z informacjami zawartymi w broszurce, grawitacja tutejsza była równa ziemskiej. To było jednym z czynników wpływających na atrakcyjność tej kolonii.
Zaintrygowany, zszedł po trapie w dół, uważnie stawiając nogi na stopniach, trzymając się poręczy. „Właściwie nie zasługuję na tę nową, życiową szansę" – pomyślał. „Po prostu płynę z prądem... nie jestem taki, jak ci inni ludzie. Coś ze mną nie tak; nie mogę sobie przypomnieć co to jest, ale wiem, że mimo wszystko to tam tkwi. We mnie. Gorzki smak bólu. Uczucie bezwartościowości".
Na grzbiecie dłoni Kemmingsa siadł owad, jakiś stary, zmęczony lotem owad. Victor stanął i patrzył jak pełznie przez stawy palców. „Mogę go zgnieść" – pomyślał. „Jest pewnie kruchy, tak czy owak długo nie pożyje".
Zgniótł go – i poczuł jakieś olbrzymie, wewnętrzne przerażenie. „Co ja zrobiłem?" – zapytał sam siebie. „W pierwszej chwili pobytu tutaj zniszczyłem drobne istnienie. Tak właśnie ma się zacząć moje nowe życie?" Odwrócił się i spojrzał na statek. „Może powinienem wrócić" – pomyślał. „Niech mnie zamrożą na zawsze. Jestem winowajcą, człowiekiem, który niszczy". Łzy napłynęły mu do oczu.
A statek jęknął w duchu.

Przez dziesięć długich lat podróży do systemu LR4, statek miał dużo czasu na odnalezienie Martine Kemmings. Wyemigrowała ona do wielkiej, orbitującej kopuły w systemie Syriusza, uznała, że panujące tam warunki jej nie odpowiadają, i była obecnie w drodze powrotnej na Ziemię. Obudzona z hibernacji, wysłuchała wszystkiego uważnie i zgodziła się przybyć na planetę-kolonię, by czekać na przylot swojego byłego męża – jeżeli uda się to zrobić. Na szczęście, udało się.
– Nie sądzę, by mnie poznał – powiedziała Martine statkowi. – Zestarzałam się. W gruncie rzeczy nie pochwalam całkowitego powstrzymywania procesów starzenia.
„Można mówić o szczęściu, jeżeli w ogóle będzie w stanie cokolwiek poznać" – pomyślał statek.
W kosmoporcie planety-kolonii LR4-sześć, Martine stała oczekując na moment, w którym pasażerowie statku pojawią się na zewnętrznym pomoście. Zastanawiała się, czy będzie w stanie poznać swego byłego męża. Trochę się bała, ale jednocześnie cieszyła się, że przybyła pierwsza do systemu LR4. Margines czasu był niewielki. Jeszcze tydzień i statek Victora wylądowałby pierwszy. „Mam szczęście" – pomyślała i zaczęła przyglądać się uważnie międzygwiezdnemu pojazdowi.
Na pomoście pojawili się ludzie. Zobaczyła go. Niewiele się zmienił.
W momencie, gdy zszedł z trapu trzymając się poręczy i robiąc wrażenie zmęczonego i niepewnego, podeszła z rękoma głęboko wepchniętymi w kieszenie płaszcza; czuła się onieśmielona i gdy przemówiła, prawie nie słyszała własnego głosu.
– Hej, Victor – udało się jej wykrztusić.



Ryszard Wojtyński

Zatrzymał się i spojrzał na nią. – Znam panią – powiedział.
– Jestem Martine – wyjaśniła.
Wyciągnął rękę i spytał z uśmiechem. – Słyszałaś o kłopotach, jakie miałem na statku?
– Statek się ze mną skontaktował. – Wzięła go za rękę. – Co za przejścia.
– Tak – odparł. – Ciągłe powtarzanie wspomnień. Czy ci kiedyś opowiadałem o pszczole, którą próbowałem uwolnić z pajęczej sieci, kiedy miałem cztery lata? Ta głupia pszczoła użądliła mnie. – Pochylił się i pocałował ją. – To dobrze, że cię widzę – powiedział.
– Czy statek...
– Oznajmił mi, że spróbuje cię tutaj sprowadzić. Ale nie był pewny, czy mu się to uda.
Gdy szli w stronę budynku dworca, Martine powiedziała:
– Miałam szczęście. Udało mi się przesiąść na wojenny kosmolot, który pędził, jak szalony. Zupełnie nowy rodzaj napędu.
– Byłem zagłębiony w mojej podświadomości – rzekł Victor Kemmings – dłużej niż jakakolwiek ludzka istota. To było gorsze niż dwudziestowieczna psychoanaliza. I stale ten sam materiał. Ciągle, naokoło. Czy wiesz, że bałem się swojej matki?
– To j a bałam się twojej matki – odparła Martine. Stali, oczekując na jego bagaż. – Ta planeta wygląda sympatycznie. O wiele lepiej niż miejsce, w którym ostatnio się znajdowałam... Nie byłam tam szczęśliwa.
– A więc może to wynik jakiegoś kosmicznego planowania – powiedział z uśmiechem. – Wspaniale wyglądasz.
– Jestem stara.
– Medycyna.
– To była moja decyzja. Lubię starszych ludzi. – Popatrzyła nań badawczo. To uszkodzenie aparatury krionicznej było dla niego bolesnym przeżyciem. W jego oczach był ból, zmęczenie i przegrana. Jakby w jego hibernetycznym śnie przepłynęły wspomnienia z dzieciństwa i zniszczyły go. „Ale to się skończyło" – pomyślała. „I przybyłam na czas".
Usiedli w dworcowym barze i zamówili drinka.
– Ten staruszek namówił mnie do spróbowania burbonu Wild Turkey – powiedział Victor. – Wspaniała whisky. Powiedział, że to najlepszy burbon na Ziemi. Butelkę przywiózł ze sobą...
Jego głos zamarł nagle.
– No cóż, możesz już przestać myśleć o ptakach i pszczołach – powiedziała Martine.
– A o seksie? – spytał, śmiejąc się.
– O użądleniu przez pszczołę, o tym, że pomogłeś kotu złapać ptaka. To wszystko minęło.
– Ten kot – powiedział Victor – nie żyje od stu osiemdziesięciu lat. Uzmysłowiłem to sobie podczas przebudzenia. Dorky. Dorky, kot-zabójca. W niczym nie przypominał kota siedzącego na kolanach Tłuściocha Freddy'ego.
– Musiałam sprzedać afisz – oznajmiła Martine.
Zmarszczył brwi.
– Pamiętasz? – zapytała. – Pozwoliłeś mi go zabrać, kiedy rozstawaliśmy się. Zawsze uważałam, że to było bardzo ładne z twojej strony.
– Ile za niego dostałaś?
– Dużo. Powinnam ci to jakoś zwrócić... – Obliczyła w pamięci. – Biorąc pod uwagę inflację, powinnam ci zapłacić około dwóch milionów dolarów.
– A co byś powiedziała – zapytał nagle – by zamiast zwracać mi moją część, spędzić ze mną jakiś czas. Zanim się nie przyzwyczaję do tej planety?
– Dobrze – odparła. I rzeczywiście tak myślała.
Wypili swoje drinki, a potem, w towarzystwie robota przewożącego jego bagaże, udali się do pokoju hotelowego.
– Bardzo ładny pokój – stwierdziła Martine, siadając na skraju łóżka. – I masz tu telewizor holograficzny. Włącz go.
– Nie ma po co – odparł Victor Kemmings. Stał przed otwartą szafą i wieszał w niej swoje koszule.
– Dlaczego?
– Bo nic w nim nie ma – oznajmił Kemmings.
Martine podeszła do telewizora i włączyła go. Zmaterializował się mecz hokejowy, transmitowany w pełnym kolorze wprost do pokoju hotelowego. Hałas stadionu boleśnie uderzył w uszy.
– Działa doskonale – powiedziała.
– Wiem – stwierdził. Ale mogę udowodnić, że nic w nim nie ma. Jeżeli masz pilnik do paznokci albo coś w tym rodzaju, to odkręcę tylną ściankę i ci pokażę.
– Ale przecież...
– Popatrz. – Przerwał wieszanie ubrań. – Zobacz, jak moja ręka przejdzie przez mur. – Oparł prawą rękę o ścianę. – Widzisz?
Jego ręka nie przeszła przez ścianę, bowiem ręce nie mogą przechodzić przez ścianę. Dłoń w dalszym ciągu była oparta o mur, nieruchoma.
– A fundamenty – oznajmił – murszeją.
– Usiądź przy mnie – poprosiła Martine.
– Przeżywałem to wystarczająco wiele razy, by się zorientować – rzekł. – Przeżywałem to znowu i znowu. Budziłem się z hibernacji, schodziłem po trapie, odbierałem bagaże, czasem piłem drinka w barze, czasem szedłem bezpośrednio do swego pokoju. Zazwyczaj włączałem telewizor i wtedy... – Podszedł i wyciągnął w jej kierunku rękę. – Widzisz, gdzie mnie użądliła pszczoła?
Nie widziała żadnego znaku na jego ręce, ujęła ją i przytrzymała.
– Tu nie ma żadnego pszczelego żądła – powiedziała.
– A kiedy przychodził robot-lekarz, brałem od niego narzędzie i odkręcałem tylną ściankę. Żeby mu udowodnić, że w środku nie ma ramy, nie ma żadnych części.
– Victor – powiedziała. – Popatrz na swoją rękę.
– Ale ty jesteś tu po raz pierwszy – stwierdził.
– Usiądź – poprosiła.
– Dobrze – siadł na łóżku koło niej, ale niezbyt blisko.
– Dlaczego nie siądziesz bliżej mnie? – spytała.
– Robi mi się smutno, kiedy cię wspominam – odparł. – Naprawdę cię kochałem. Chciałbym, żeby to wszystko było rzeczywistością.
– Będę siedzieć tu, obok ciebie, aż stanie się to dla ciebie rzeczywistością – powiedziała Martine.
– Mam zamiar jeszcze raz odtworzyć ten fragment z kotem – oznajmił – i tym razem n i e unosić go i n i e pozwolić mu złapać ptaka. Jeżeli to zrobię, może moje życie przybierze inny obrót, zmieni się na lepsze. W coś rzeczywistego. Mój błąd oddziela mnie od ciebie. Spójrz, moja ręka przejdzie przez ciebie. – Oparł dłoń o jej ramię. Naciskał z całej siły, czuła jego ciężar, jego fizyczną obecność. – Widzisz – powiedział – przechodzi zupełnie na wylot.
– I to wszystko dlatego – rzekła Martine – że kiedy byłeś małym chłopcem, zabiłeś ptaka.
– Nie – odparł. – To wszystko dlatego, że nastąpiło uszkodzenie aparatury termoregulacyjnej mojego statku. Nie doprowadzono mnie do odpowiednio niskiej temperatury. W komórkach mojego mózgu pozostało wystarczająco dużo ciepła, by umożliwić jego pracę. – Wstał, przeciągnął się i uśmiechnął się do niej. – Możemy iść na jakiś obiad? – spytał.
– Przepraszam – odpowiedziała. – Nie jestem głodna.
– A ja jestem. Mam zamiar zamówić sobie jakieś miejscowe frutti di mare. W informatorze napisali, że są wspaniałe. Chodź mimo wszystko ze mną, może kiedy zobaczysz jedzenie i poczujesz zapach, to zmienisz zdanie.
Wzięła płaszcz, torebkę i wyszła razem z nim.
– To wspaniała planetka – powiedział. – Zwiedzałem ją dziesiątki razy. Znam ją dokładnie. Ale najpierw musimy wstąpić do apteki na dole, i kupić trochę Bactiny. Moja ręka. Zaczyna puchnąć i boli jak diabli. – Pokazał jej swoją rękę.
– Tym razem boli mnie bardziej, niż kiedykolwiek.
– Czy chcesz, żebym do ciebie wróciła? – spytała Martine.
– Pytasz poważnie?
– Tak – odparła. – Zostanę z tobą tak długo, jak tylko będziesz chciał. Masz rację, nie powinniśmy się byli rozstawać.
Victor Kemmings powiedział: – Afisz się podarł.
– Co? – zapytała.
– Szkoda, że go nie oprawiliśmy – odrzekł. – Nie zadbaliśmy o niego. No i jest teraz podarty. A artysta nie żyje.

Przełożył **Sławomir Kędzierski**

■

Lech Jęczmyk

PHILIPA DICKA WYPRAWA PO PRAWDĘ

Przedwczesna, w wieku 53 lat, śmierć Philipa Dicka skłania do podsumowań i prób określenia miejsca jego twórczości na tle – światowej science fiction? współczesnej literatury amerykańskiej? czy może światowej? Świadomość, że mamy do czynienia z pisarzem oryginalnym i ważnym narastała bardzo powoli. Powieść *„Człowiek z Wysokiego Zamku"* z roku 1962 została wprawdzie wyróżniona nagrodą Hugo, ale ani przedtem, ani potem Dick nie był faworytem amerykańskich miłośników fantastyki. Były te jego powieści zbyt szalone, mogły sprawiać wrażenie nieporządnie napisanych – Dick nigdy nie troszczył się o zgrabne zawiązanie wszystkich luźnych końców – jeżyły się pytaniami, na które nie było odpowiedzi, a jeżeli już gdzieś trafiła się odpowiedź, to nie można było znaleźć do niej pytania. Nie pasował również Dick do stylistyczno-psychologicznych eksperymentów Nowej Fali, był znacznie głębszy, istotniejszy w swojej problematyce, i równocześnie znacznie prostszy, wręcz naiwno-ludowy w warstwie językowej i doborze rekwizytów. W myśl zasady, że nikt nie jest prorokiem we własnym kraju, oryginalność Dicka została zauważona w Europie, a jednym z pierwszych, którzy dali temu wyraz był Stanisław Lem. Potem pojawiły się solidne artykuły krytyczne w Anglii, popularność we Francji i wreszcie sami Amerykanie zaczęli – nie bez podejrzliwości – interesować się tym „autorem, którego cenią w Europie". Ale to zainteresowanie przyszło zbyt późno i Dick nie zdążył na dobre poznać jego smaku. Czytelnicy polscy mieli możność zapoznania się z trzema powieściami Dicka, (*„Słoneczna loteria", „Ubik", „Człowiek z Wysokiego Zamku"*), a w miesięczniku „Literatura na świecie" ukaże się fragment jednego z ostatnich jego utworów *„Valis"*. Sprawa dalszych publikacji w Polsce stoi pod znakiem zapytania. Przez 25 lat prawa do jego książek będą w rękach spadkobierców, którzy najpierw muszą rozegrać eliminacje wewnętrzne. Dick nie był człowiekiem drobiazgowym, zostawił po sobie pięć wdów i troje dzieci (choć może być, że na odwrót), a do tego przez dwa lata żył w świecie narkotyków i strach pomyśleć, co mógł wtedy popodpisywać. A zwycięzcy eliminacji, jako ludzie mali, nie potrafią zapewne docenić moralnej wyższości złotego i zażądają talarów.

Spróbujmy więc na razie teoretycznie wyróżnić najważniejsze cechy twórczości Dicka.

Przede wszystkim jego imponująca ilościowo twórczość zadziwia swoją jednorodnością, nawet monotematycznością, mimo bogactwa pomysłów fabularnych. Frederik Pohl stwierdził trafnie, że dzieło „Philipa" wydawało mu się jedną wielką sagą, z której co jakiś czas odcinał on mniej lub bardziej przypadkowe fragmenty i publikował jako powieści lub opowiadania. Rzeczywiście pojedyncza książka nie może dać pojęcia o urokach prozy Dicka, jego powieści oświetlają się nawzajem i dopiero lektura kilku uświadamia ich obsesyjność i głęboko osobisty charakter. Temat przewodni to podejrzliwość w stosunku do świata i potrzeba dotarcia do prawdy. Podejrzliwość wynika z przekonania, że to co widzimy (lub wydaje nam się, że widzimy), to tylko pozór, maska, fałszywa dekoracja. Za tytuł jednej z powieści (*„A Scanner Darbely"*) wybrał Dick cytat z listu św. Pawła, mówiący, że teraz widzimy ciemno, jak w zwierciadle (chodzi o lustro z polerowanego metalu), a po zbawieniu ujrzymy wszystko jasno. Jeżeli świat jest fałszem, to powstaje pytanie, czy oszukujemy się sami, czy ktoś celowo wprowadza nas w błąd, programuje, dla sobie tylko wiadomych powodów. Tak dochodzimy do kwestii nadistot i Boga. Stanisław Lem z dużą przenikliwością, jeszcze w posłowiu do *„Ubika"*, zauważył teologiczne implikacje pytań Dicka. W późniejszych utworach pytanie o świat coraz częściej zmienia się w pytanie o Boga, a ostatnie trzy powieści mają już wręcz charakter teologiczny. *„Valis"* z 1981 roku to jakby Wielka Improwizacja Dicka. Jeżeli Bóg jest dobry i wszechmocny, to dlaczego pozwala, żeby świat był taki zły? Pytanie charakterystyczne dla literatury amerykańskiej, bo kulturze amerykańskiej obca jest akceptacja cierpienia w duchu Dostojewskiego. Tam się powołuje komitet i przystępuje do walki z cierpieniem, więc indolencja Boga w tej sprawie budzi zdumienie. Dick znajduje rozwiązanie paradoksu w gnostycyzmie z pierwszych wieków chrześcijaństwa, który okazuje się jakby stworzony dla SF. Nasz świat jest dziełem ducha ułomnego, szalonego, który uzurpuje sobie rolę Boga. Dlatego świat ten jest irracjonalny, zły, nieudolnie sklecony. Prawdziwy Bóg znajduje się poza naszym światem i z zewnątrz przerzuca nam ponad kurtyną fałszu prawdziwą informację. Jego wysłannicy – jak agenci dobra w złym świecie – poruszają się wśród nas nierozpoznani i ujawniają się tylko kiedy zechcą. Temat nadistot, podejrzenie, że jesteśmy igraszką w czyichś rękach, ma długą historię w literaturze science fiction, a w Polsce dominuje w twórczości Adama Wiśniewskiego – Snerga.

Z podejrzeń co do świata rodzi się potrzeba tropienia fałszu wszędzie, także w drobiazgach. W bardzo ciekawym wywiadzie (tłum. w „Przeglądzie Technicznym" nr 20, 1982) Dick mówi o swojej fascynacji greckim pojęciem „dokos", monety tak doskonale fałszowanej, że dopuszczono ją do obiegu. „Moją myślą przewodnią jest to, że cały świat nasz jest tak zręczną, skomplikowaną i nowoczesną imitacją". Symbolami, ostrzeżeniami o fałszywości świata są fałszywe przedmioty: podrabiane antyki w *„Człowieku z Wysokiego Zamku"*, sztuczne zwierzęta w *„Do Androids Dream of Electric Sheep?"*, doskonałe imitacje ludzi – androidy w tej samej powieści lub simulacra w *„We Can Build You"*. Niektóre androidy wierzą, że są ludźmi, niektórzy ludzie powątpiewają w swoją tożsamość. Interesujące byłoby porównanie tego samego tematu w twórczości Dicka i Lema, tej samej myśli przefiltrowanej przez skrajnie odmienne temperamenty pisarskie.

Często w powieściach Dicka spotykamy postać Mesjasza, charyzmatycznego przywódcy. W *„Słonecznej loterii"* jest to twórca nowej wiary wyprowadzający wiernych z domu niewoli. Pozytywną postacią jest również sekretarz generalny ONZ Molinari z *„Now Wait for Last Year"*. W Kosmosie toczy się walka między owadopodobnymi Reegami i człekokształtnymi Starmanami. Okrutni Starmanowie zrobili z Ziemian swoich przymusowych sojuszników pod pozorem obrony przed dobrodusznymi w gruncie rzeczy Reegami. Molinari, mąż opatrznościowy Ziemi, robi wszystko, aby zminimalizować koszty tego sojuszu. Między innymi opanował do perfekcji sztukę choroby dyplomatycznej, a w sytuacjach podbramkowych nawet śmierci dyplomatycznej. Oczywiście Dick nie byłby sobą, gdyby nie stworzył całej galerii fałszywych proroków. W powieści pod znamiennym tytułem, *„The Penultimate Truth"* („Prawda przedostateczna") na Ziemi szaleje wojna jądrowa i ludzie wypruwają z siebie żyły pracując dla zwycięstwa w podziemnych osadach. Jedyny kontakt z resztą świata zapewnia telewizja ukazująca obrazy straszliwego zniszczenia oraz wystąpienia najwyższego wodza. Kiedy bohater postanawia, dla ratowania życia przyjaciela, wyjść na powierzchnię, stwierdza, że żadnej wojny nie ma, na powierzchni żyje luksusowo nieliczna elita, wielki wódz jest kukłą zamontowaną na stałe w studiu, a grozę wojny produkuje się dla pospólstwa w Hollywood.

Na uwagę zasługuje bohater powieści Dicka. Wbrew rozpowszechnionej w fantastyce tradycji Dick nie używa supermanów. Wspomniani mesjasze, nawet jeśli nie zostają zdemaskowani, są wyposażeni w cechy groteskowe. Jednocześnie nie jest też bohater nijakim obserwatorem wydarzeń. Jest to – moim zdaniem – postać bardzo amerykańska, która kojarzy się nieodparcie z bohaterem czarnego kryminału, notabene również wywodzącego się z Kalifornii. Nie jest niepokonany, ale jest uparty, nie ma złudzeń co do świata, ale cechuje go jakaś zasadnicza porządność i dążenie do poznania prawdy. Bohater Dostojewskiego musiał wiedzieć, czy Bóg istnieje, bo jak nie, to „wszystko jest dozwolone". Można zabić staruszkę i zgwałcić dziecko, można i na odwrót. Bohater Dicka żyjąc w świecie, w którym nie ma nic pewnego, nigdy nie wpada na pomysł, żeby zakwestionować podstawowe zasady moralne. Można by zarzucić jemu i autorowi brak wyobraźni, czy pewien prymitywizm, ale raczej wynika to z cech osobistych pisarza i jego kultury. Ostatecznie i w Kalifornii nie brakowało ludzi, którzy czynnie zaprzeczali wszelkiej moralności, działali tu Manson, wielebny Jones i terroryści, ale jak dotychczas do literatury ten proces rozkładu nie dotarł.

Dick sam z pewnym zdziwieniem dowiedział się z pracy Anthony'ego Volka, jak konsekwentny system wartości reprezentują jego dzieła. Podstawowa opozycja to oczywiście Fałsz i Prawda, którym odpowiadają Android i Człowiek. Dobre rzeczy to prawo wyboru, odpowiedzialność, troska o innych, ogród (żywy świat w przeciwieństwie do sztucznego), kawa i muzyka. Złe są fałsz, chciwość, broń, maszyna, wszelkie namiastki i narkotyki.

Podejrzewam, że o Dicku będzie się jeszcze pisać dużo i długo. Tworząc literaturę barwną, przygodową, posługując się rekwizytami uznanymi za tandetne, tworzył niepostrzeżenie strukturę nadrzędną, stawiającą go w rzędzie najważniejszych eksperymentatorów i wynalazców literackich swego czasu. Jego zwariowane powieści, dziejące się w przyszłości lub w wymyślonych światach równoległych, mówią w gruncie rzeczy o rozterkach i poszukiwaniach współczesnego człowieka zagubionego w niezrozumiałym świecie. ■

List od Philipa K. Dicka

Nauczyłem się żyć samotnie

List, który poniżej publikujemy, został napisany 2 lutego 1980 roku, a więc na 25 miesięcy przed śmiercią pisarza. Prezentujemy go dzisiaj naszym czytelnikom, chcąc przybliżyć wszystkim miłośnikom twórczości Dicka jego problemy, przemyślenia, intymne nieraz sprawy człowieka, którego znamy i cenimy od strony niejako oficjalnej – poprzez nieliczne dostępne dzieła i równie nieliczne omówienia twórczości. A przecież, by zrozumieć do końca dzieło – zwłaszcza tak tajemnicze, pełne zakamarków i meandrów jak twórczość autora „Ubika" – trzeba głębiej sięgnąć w osobowość, problemy i psychikę twórcy. I właśnie ten list, choć w nieznacznym stopniu, powinien przybliżyć nam wszystkim – czytelnikom jego utworów – Dicka jako człowieka, Dicka jako wielkiego pisarza, ale i Dicka – niezwykle skomplikowaną i tragiczną osobowość...

A. W.

Teraz jest mi już zupełnie dobrze. Nauczyłem się w końcu żyć samotnie. Oddałem się cały pisaniu, rozważaniom filozoficznym, intelektualnym i teologicznym, które są moją pasją od marca 1974 roku. Przedtem nie umiałem pogodzić nawału problemów i możliwych odpowiedzi, teraz osiągnąłem już stan względnej równowagi. Platon nauczał, iż celem filozofa jest samo poszukiwanie. Myślę jednak, że celem tym jest odnalezienie odpowiedzi na pytania podstawowe. Zakładam istnienie Boga i pytam: »Jak wygląda Jego związek ze światem? Gdzie na świecie, który przecież jakiś związek z Bogiem ma, znaleźć można Jego ślady? Jak wiele przejść trzeba, by na nie natrafić? W jaki sposób zauważyć możemy Jego wpływ i jak bardzo zmieniłby się świat, gdyby Bóg nas opuścił?«

Przedtem stawiałem sobie pytanie: »Czy istnieje świat i skąd możemy wiedzieć, że on rzeczywiście istnieje?« Teraz już wiem, że esencją świata jest Bóg. I że świat egzystuje tylko wtedy, gdy istnieje Bóg; ten świat jest świętym fenomenem stworzonym z wiedzy i sztuki Boga. Przestudiowałem Sankarę i Eckharta. Uważają tak samo. I Heidegger i Spinoza...

Wreszcie spłaciłem swój apartament. Siedzę tu już od czterech lat, mam doprowadzoną telewizję przewodową i oglądam mnóstwo pierwszorzędnych filmów... Przemysł filmowy jest specjalnością tej okolicy, więc żyję sobie w pełnej symbiozie z moim odbiornikiem telewizyjnym i dwoma kotami. Czuję, że coraz częściej ze świata rzeczywistości przenoszę się do świata wyobraźni. Cóż – wchodzę już w trzecią – ostatnią fazę mojego życia i mojej twórczości. Czasem odzywa się do mnie „tamten świat" – przyjmuje wtedy formę kobiecego głosu szepczącego do mnie w środku nocy. A wtedy śnię o nieskończonym pięknie...

W Kanadzie zdrowo oberwałem po głowie, ale od marca 1974 roku moje warunki znacznie się poprawiły. Wtedy poznałem po raz pierwszy inną rzeczywistość. Poradziłem sobie już z moimi problemami, szczególnie z problemem mojej izolacji. Sądzę, że losem każdego pisarza jest samotność, że tego w żadnym wypadku nie można uniknąć. Bliskie stosunki utrzymuję z moją najstarszą córką, ma już dwadzieścia lat i studiuje w Stanford. Czuję, że jestem bliski zrozumienia, poznania świata, ponieważ jest on bliski Chrystusowi. W marcu 1974 pokazał mi swoją siłę – bezlitosnego tyrana, władcy świata. Spojrzał na mnie i ciężko mnie doświadczył i teraz nie będę już taki słaby. Identyfikuję się z Beethovenem i jego koncepcją wolności, z protestanckim stanowiskiem w wojnie trzydziestoletniej. Pojmuję historię jako wojnę ludzkości o wyzwolenie i czuję się tej walki cząstką – tak jako żyjąca świadomość, jak i jako pisarz.

Kiedy spotykam innych ludzi, widzę jak głęboko są nieszczęśliwi i wtedy przeciwstawiam ich swojej wolności. Gdy nie oglądam filmów – czytam i spędzam sporo czasu z Christopherem (najmłodszy syn pisarza – przyp. A. W.), *którego co tydzień przywozi Tessa* (piąta i ostatnia żona pisarza – przyp. A. W.).

Moja ostatnia powieść – „Valis", którą wydam w „Bantam", posuwa się szybko naprzód i do końca zostało mi już tylko 80 stron. Podoba się to mojemu (znakomitemu!) agentowi. Wiele z moich książek zostało wznowionych i od 1978 roku moje konto powiększyło się o 100 000 dolarów. Tym sposobem nie mam już żadnych kłopotów finansowych. (Najbardziej cieszę się, że wreszcie

● ●

Bibliografia utworów Philipa K. Dicka

I. Opowiadania i nowele

1952:

„Beyond Lies the Wub", „The Gun", „The Skull", „The Little Movement"

1953:

„The Defenders", „Mr. Spaceship", „Piper in the Woods", „Roog", „The Infinites", „Second Variety", „The World She Wanted", „Colony", „The Cookie Lady", „Impostor", „Martians Come in Clouds", „Paycheck", „The Preserving Machine", „The Cosmic Poachers", „Expendable", „The Indefatigable Frog", „The Commuter", „Out in the Garden", „The Great C", „The King of the Elves", „The Trouble with Bubbles", „The Variable Man", „The Impossible Planet", „Planet for Transients", „Some Kinds of Life", „The Builder", „The Hanging Stranger", „Project: Earth", „The Eyes Have It", „Tony and the Beetles"

1954:

„Prize Ship", „Beyond the Door", „The Crystal Crypt", „A Present for Pat", „The Short Happy Life of the Brown Oxford", „The Golden Man", „James P. Crow", „Prominent Author", „Small Town", „Survey Team", „Sales Pitch", „Time Pawn", „Breakfast at Twilight", „The Crawlers", „Of Withered Apples", „Exhibit Piece", „Adjustment Team", „Shell Game", „Meddler", „Souvenir", „A World of Talent", „The Last of the Masters", „Progeny", „Upon the Dull Earth", „The Father-Thing", „Strange Eden", „Jon's World", „The Turning Wheel"

1955:

„Foster, You're Dead", „Human Is", „War Veteran", „Captive Market", „Nanny", „The Hood Maker", „The Chromium Fence", „Service Call", „A Surface Raid", „The Mold of Yancy", „Autofac", „Psi-Man Heal my Child!"

1956:

„The Minority Report", „To Serve the Master", „Pay for the Printer", „A Glass of Darkness", „Vulcan's Hammer"

1957:

„The Unreconstructed M", „Misadjustment"

1958:

„Null-O"

1959:

„Explorers We", „Recall Mechanism", „Fair Game", „War Game"

1963:

„All We Marsmen", „Stand-By", „What'll We Do with Ragland Park?", „The Days of Perky Pat", „If There Were No Benny Cemoli"

1964:

„Waterspider", „Novelty Act", „Oh, to Be a Blobel!", „What the Dead Men Say", „Cantata 140", „A Game of Unchance", „The Little Black Box", „Precious Artifact", „The Unteleported Man"

1965:

„Retreat Syndrome", „Project Plowshare"

1966:

„We Can Remember It for You Wholesale", „Holy Quarrel", „Your Appointment Will Be Yesterday"

1967:

„Return March", „Faith of our Fathers"

1968:

„Not by its Cover"

1969:

„The War with the Fnools", „The Electric Ant", „A. Lincoln, Simulacrum"

1974:

„The Pre-Persons", „A Little Something for Us Tempunauts"

1979:

„The Exit Door Leads In"

1980:

„Chains of Air, Web of Aether", „Rautavaara's Case", „Frozen Journey"

1981:

„The Alien Mind"

II. Powieści i zbiory opowiadań

1955:

„A Handful of Darkness", „Solar Lottery"

1956:

„The World Jones Made", „The Man Who Japed"

1957:

„Eye in the Sky", „The Cosmic Puppets", „The Variable Man"

1959:

„Time Out of Joint"

1960:

„Dr. Futurity", „Vulcan's Hammer"

1962:

„The Man in the High Castle"

wykupiłem swój apartament – 2 sypialnie, 2 łazienki i patio dla kotów).
Interesują mnie bardzo problemy socjalne, problem głodu na świecie, pomoc dzieciom. Naprzeciwko mnie mieści się agencja pod nazwą „Covenant House" prowadzona przez jakiegoś katolickiego księdza. Za ich pośrednictwem wspieram dwoje dzieci za granicą. Pomagam też mojemu kościołowi. W 1979 roku zapłaciłem wszystkie rachunki Biura Opieki Społecznej. To naprawdę troszczący się o socjalne sprawy ludzi kościół, gdyż mieszkamy w bardzo biednej dzielnicy Santa Ana, w sercu dzielnicy robotników meksykańskich.
Otrzymuję mnóstwo korespondencji, a fala wizyt i telefonów wcale nie opada. W 1977 roku byłem w Metz we Francji. (W „Foundation" napisałem wtedy, że był to szczytowy okres mojego życia. To prawda.)
Spotkałem tam wówczas wspaniałą Francuzkę. Odwiedziła mnie w zeszłym roku i przez miesiąc przebywała tu. Miałem nawet jechać z nią do Francji, ale w końcu doszedłem do wniosku, że moja praca pisarska jest jednak ważniejsza. Czy był to słuszny wybór – nie wiem, ale to był wybór, mój wybór, nic narzuconego! Moja praca i moje religijno-filozoficzne i intelektualne poszukiwania są dla mnie tak ważne, że postawiłem je ponad wszystkim.
Pracuję również nad powieścią o świecie alternatywnym, w którym Paweł nie przystąpił do Kościoła Chrystusowego, a religią zachodniego świata stał się Manicheizm. W powieści tej (akcja utworu dzieje się współcześnie) liberalny uczony manichejski próbuje zrekonstruować historię chrześcijaństwa na podstawie przekazów i nauki Chrystusa zawartych w polemicznych pismach manichejskich apologetów. Dochodzi w końcu do wniosku, że to Chrześcijaństwo właśnie było prawdziwą religią. Korzystając z pomocy komputera stwierdza, że skoro tak było naprawdę, musi istnieć jeszcze chrześcijańskie podziemie. Zaczyna więc go poszukiwać. W końcu, po wielu niepowodzeniach trafia na żyjącego w ukryciu prawdziwego chrześcijanina, od którego dostaje małą książeczkę. Gdy ją otwiera, stwierdza ze zdumieniem, iż trzyma w rękach dawno już uważaną za zaginioną czwartą ewangelię (żadna nie przetrwała w jego świecie). Wprowadza ją więc do pamięci komputera i każe drukować na wszystkich terminalach.



Gdy opuściła mnie moja żona – Nancy – moje życie legło w gruzach. Teraz jestem już o wiele mocniejszy i o wiele szczęśliwszy. Wiele z mojej wewnętrznej radości wynika z tego, że rzeczywiście zaakceptowałem swój wybór. Moje pisarstwo i moje życie intelektualne są najważniejsze. Jestem przede wszystkim pisarzem i nie nadaję się do życia rodzinnego.
Przed kanadyjskim doświadczeniem nie wyobrażałem sobie tego – wydawało mi się, że powinienem być przede wszystkim członkiem rodziny to znaczy – mieć żonę, dzieci, łykać LSD jako odtrutkę na determinizm i nieszczęście.
Już nie jestem taki sam, jestem Chrześcijaninem, bo Jezus albo Bóg chrześcijański uratował mnie i oswobodził. W powieści „Valis" (zawierającej wiele szczegółów autobiograficznych) znaleźć można wiele detali moich przeżyć z marca 1974.

Pozdrowienia

● ● ● ● ● ● ● ● ● ● ● ●

1963:
„The Game-Players of Titan"

1964:
„The Penul Timate Truth", „Martian Time-Slip", „The Simulacra", „Clans of the Alphane Moon"

1965:
„The Three Stigmata of Palmer Eldritch", „Dr. Bloodmoney, or How We Got Along after the Bomb"

1966:
„Now Wait for Last Year", „The Crack in Space", „The Unteleported Man"

1967:
„The Zap Gun", „Counter-Clock World", „The Ganymede Takeover"

1968:
„Do Androids Dream of Electric Sheep?"

1969:
„Galactic Pot-Healer", „Ubik", „The Preserving Machine"

1970:
„A Maze of Death", „Our Friends from Frolix 8", „A Philip K. Dick Omnibus"

1972:
„We Can Build You"

1973:
„The Book of Philip K. Dick"

1974:
„Flow my Tears, the Policeman Said"

1975:
„Confessions of a Crap Artist"

1976:
„Deus Irae" (wspólnie z Rogerem Zelaznym)

1977:
„The Best of Philip K. Dick", „A Scanner Darkly"

1980:
„The Golden Man"

1981:
„Valis",„The Divine Invasion"

1982:
„The Trans Migration of Bishop Timothy Archer"

III. Artykuły i diversa

1964:
„Naziism and the High Castle", „Drugs, Hallucinations, and the Quest for Reality"

1965:
„Schizophrenia and the Book of Changes"

1966:
„The Above and Melting", „An Old Snare", „Why I Am Hurt", „Will the Atomic Bomb Ever Be Perfected, and if So, What Becomes of Robert Heinlein?"

1968:
„Anthony Boucher", „The Story to End All Stories for Harlan Ellison's Anthology Dangerous Visions"

1969:
„That Moon Plaque"

1972:
„Notes Made Late at Night by a Weary SF Writer, „The Android and the Human"

1973:
„The Nixon Crowd"

1974:
„Three Sci-Fi Authors View the Future", „An Open Letter to Joanna Russ", „Who Is a SF Writer?"

1975:
wstęp do „The Preservring Mache" – „The Evolution of a Vital Love"

1976:
„Memories Found in a Bill from a Small Animal Vet", „The Short Happy Life of a Science Fiction Writer", „Man, Android and Machine"

1978:
„If You Find This World Bad, You Should See Some of the Others"

1979:
„The Lucky Dog Pet Store", „Scientists Claim: We Are Center of the Universe"



1981:
„Universe Makers... and Breakers", „His Predictions"

IV. Nie opublikowane manuskrypty w posiadaniu California State University, Fullerton

A/ Powieści
„Bishop Timothy Archer" (trzecia część trylogii „Valis"), „The Owl in Daylight", „Lies, INC." „The Unteleported Man" (druga część powieści z roku 1966)

B/ Konspekty i szkice powieści
„The Broken Bubble of Thisbe Holt", „Gather Yourselves Together", „In Milton Lumky Territory", „The Man Whose Teeth Were", „All Exactly Alike", „Mary and the Giant", „Puttering About In a Small Land", „Voices from the Street"

C/ Scenariusze telewizyjne
„Joe Protagoras Is Alive and Living on Earth", „Warning: We Are your Police"

D/ Opowiadania
„Orpheus with Clay Feet"

E/ Artykuły
„A Good Sevoyard Is a Dead Savoyard"

F/ Przemówienia
How to Build a Universe That Doesn't Fall Apart Two Days Later"

Opracował **A. W.**

CZAS NA 3* ALEI

(Of Time and Third Avenue)

Macy'emu ten typ bardzo się nie podobał. Po pierwsze skrzypiał. Może to były buty, ale raczej ubranie. Weszli do tawerny, do wydzielonej loży. Ponad głowami plakat reklamowy krzyczał kolorowymi literami: **„Kto się boi mówić o bitwie pod Boyne?"**

Nieznajomy wysoki, chudy, wyglądał na delikatnego. Mimo że był młody, nie miał ani jednego włosa na głowie. Czaszkę i brwi pokrywał mu lekki puszek. Gdy wkładał rękę do wewnętrznej kieszeni znów zaskrzypiało.

– No dobrze, panie Macy – powiedział trzeszczącym głosem – za wynajęcie tego pomieszczenia i wyłączne używanie przez jedno chrono...

– Niby co? – nieufnie zapytał Macy.

– No, chrono. Czy jest to złe słowo? A, tak, proszę mi wybaczyć. Godzinę.

– Pan jest obcokrajowcem – powiedział Macy. – Jak się pan nazywa? Założę się, że jest pan Rosjaninem.

– Nie, nie jestem obcokrajowcem – odpowiedział obcy patrząc na plakat. – Niech mnie pan nazywa Boyne.

– Boyne?

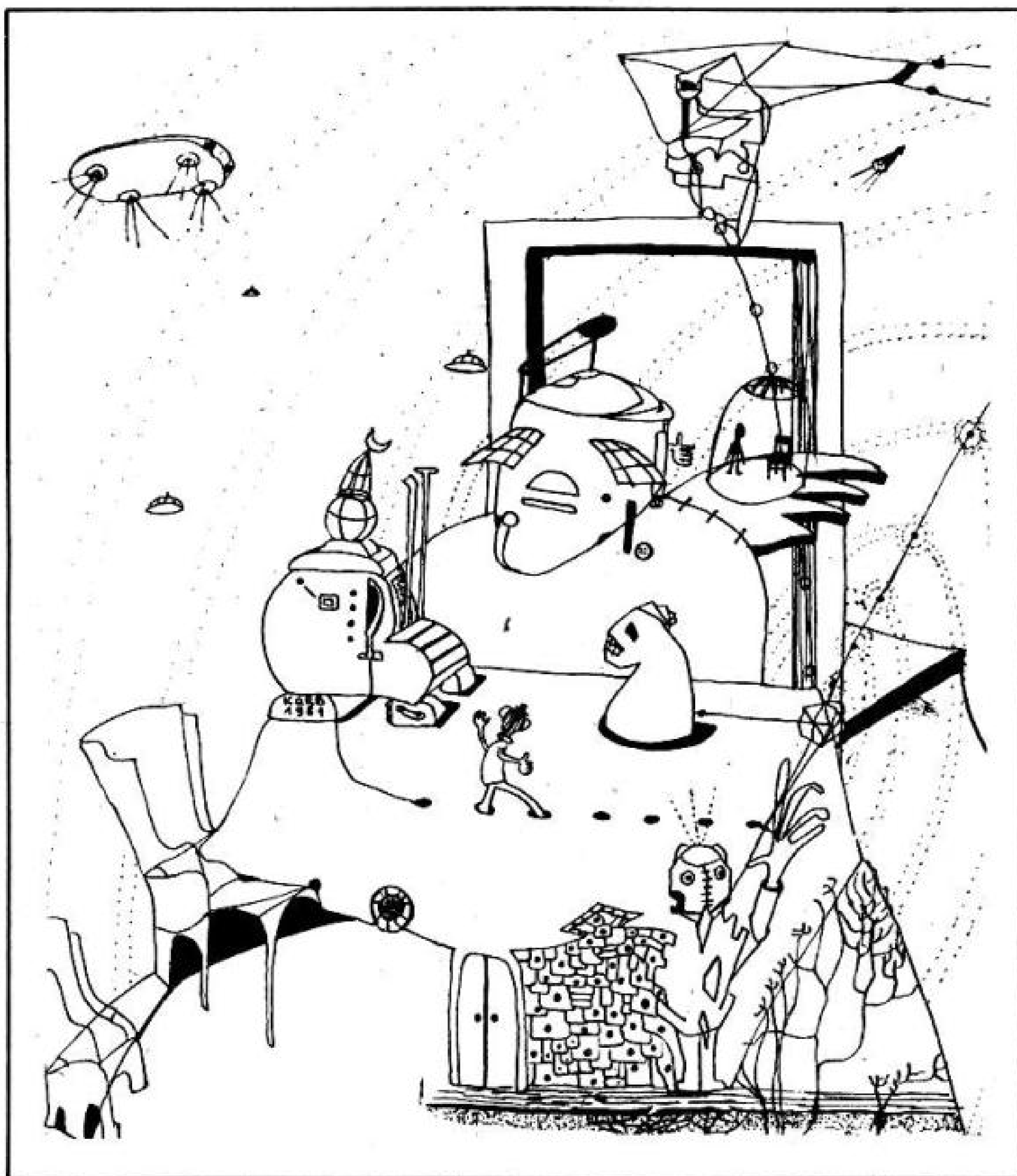
– M.Q. Boyne – Boyne otworzył gruby jak akordeon portfel i wyjął banknot studolarowy – proszę – powiedział wyciągając dłoń z pieniędzmi – to za wynajęcie loży na godzinę. Sto dolarów. A teraz niech mnie pan zostawi.

Macy lekko chwiejąc się wyszedł z loży. Wsadził pieniądze do kieszeni i niepewnie zapytał odwracając sie:

– Co pan pije?

– Pić? Alkohol? Nigdy!

Gdy właściciel odszedł, Boyne przeszedł do kabiny telefonicznej, znalazł odpowiedni kabel, wetknął weń jakiś metalowy przedmiot i podniósł słuchawkę.



Katarzyna Raczkowska

– Współrzędne Zachód 75-58-15. Północ 40-45-20. Wyjście sigma. Jesteście na martwej linii... Dobrze, teraz was odbieram. Dajcie ostatnie dane o Wiliamie Knight, Oliver Wiliam Knight. Jakie jest prawdopodobieństwo na tych współrzędnych? 99,9807? M.Q. Nie rozłączać.

Boyne wysunął głowę z kabiny i spojrzał na drzwi tawerny. Czekał chwilę w skupieniu, aż do momentu gdy wszedł młody człowiek w towarzystwie ślicznej dziewczyny. Chwycił za słuchawkę.

– Halo? Jesteście tam? Prawdopodobieństwo wypełnione. Mam kontakt z obiektem. M.Q. Koniec.

Odłożył słuchawkę. Zanim para doszła do loży, już tam siedział rozparty wygodnie pod plakatem.

Uśmiechnięty, młody człowiek, niewysoki, z lekką tendencją do tycia nie miał więcej niż dwadzieścia pięć lat. Ubrany był w tweedowy garnitur. Dziewczyna, czarnowłosa, o wielkich, niebieskich oczach, tajemniczo się uśmiechała. Szli pewnie przed siebie trzymając się za ręce. Macy, który zastąpił im drogę, zaskoczył ich i przestraszył.

– Przykro mi, panie Knight – powiedział – loża została dziś wynajęta. Będziecie państwo musieli usiąść gdzie indziej.

Młody człowiek już chciał protestować, gdy włączył się Boyne:

– Niech się pan nie trudzi, panie Macy. Wszystko w porządku. Ci państwo są moimi gośćmi.

Knight i dziewczyna odwrócili się od Boyne'a nie bardzo wiedząc jak się zachować

– Proszę, niech państwo siadają, to dla mnie przyjemność.

– Jest nam bardzo przykro – powiedziała młoda dama – ale to jedyne miejsce, gdzie można znaleźć prawdziwy ginger beer.

– Wiem, panno Clinton, wiem. Czy słyszał pan, panie Macy? Prosimy o ginger beer i niech nas pan zostawi samych. Nie oczekuję już nikogo.

Knight i jego towarzyszka usiedli nie spuszczając wzroku z Boyne'a. Na stole położyli pakiet książek. Dziewczyna zapytała:

– Pan mnie zna?

– Nazywam się Boyne, tak jak bitwa pod Boyne. A pani nazywa się Jane Clinton, a pan – Oliver Wiliam Knight. Wynająłem dziś ten salon wyłącznie w celu poznania państwa.

– Pan żartuję, prawda? – zapytał Knight lekko się czerwieniąc.

– A oto i państwa ginger beer – powiedział Boyne, gdy Macy stawiał szklanki i butelki na stole.

– Pan nie mógł wiedzieć, że my tu przyjdziemy – powiedziała Jane – dopiero przed kwadransem zdecydowaliśmy się tu wstąpić.

– Muszę panią rozczarować, panno Clinton, ale prawdopodobieństwo przyjścia państwa w to miejsce wynosiło przed kilku minutami 99,9807%. To jest prawie równe jedności.

– Niech pan posłucha – Knight zdenerwował się – pan sobie pozwala...

– Proszę się nie denerwować. Niech pan spokojnie wypije piwo i wysłucha mojej propozycji. – Boyne wpatrywał się w oczy młodych ludzi niezwykle intensywnie. – Nasze spotkanie zostało zorganizowane wielkim nakładem kosztów i trudu wielu ludzi. Nie – ważne przez kogo. Postawiliście nas państwo w skrajnie niebezpiecznej sytuacji i wysłano mnie, bym znalazł jakieś wyjście.

– Wyjście z czego?

Jane podniosła się.

– Myślę, że będzie lepiej, gdy sobie pójdziemy... – zobaczywszy jednak przeszywający wzrok obcego usiadła. Boyne spojrzał na Knighta.

– Dziś rano, około południa, wszedł pan do sklepu J.D. Craig and Co., detalisty wyspecjalizowanego w sprzedaży książek drukowa-

nych. Kupił pan cztery książki. Trzy są bez znaczenia, ale czwarta... – postukał palcem w stół – czwarta jest właśnie przyczyną naszego spotkania.
– Czy można wiedzieć, o czym pan mówi?
– O tomie zawierającym statystyki i inne dane zebrane według pewnego klucza.
– Almanach?
– Almanach.
– No i?
– Chciał pan kupić almanach na rok 1950.
– Kupiłem almanach na rok 1950.
– Ależ nie! – krzyknął Boyne. – Kupił pan almanach na rok 1990.
– Słucham?
– Almanach światowy na rok 1990 – powiedział Boyne cedząc słowa. – Znajduje się on w tej paczce. Niech mnie pan nie pyta w jaki sposób. Błąd został już popełniony, teraz trzeba zlikwidować skutki. I to jest przyczyną naszego spotkania. Zrozumiał pan?
Wybuchając śmiechem Knight sięgnął po paczkę, ale Boyne go uprzedził.
– Nie, panie Knight, nie powinien pan tego otwierać.
– Zgoda – powiedział młody człowiek pociągając tęgi łyk piwa. – Zgoda. Można wiedzieć jak się kończy pański żart?
– Ja potrzebuję tej książki, muszę ją mieć. Chcę stąd wyjść z książką pod pachą.
– Pan chce...?
– Zdecydowanie.
– Almanach na rok 1990?
– Tak.
– Jeśli taki almanach mógłby istnieć i gdyby był w tej paczce, nawet tygrys by mi go nie odebrał.
– Czemu, panie Knight?
– Niech pan nie udaje głupiego. Spojrzenie w przyszłość! Kursy na giełdzie... Kursy, odsetki... Polityka... Byłbym bogatym człowiekiem.
Boyne pokiwał głową.
– Tak. Byłby pan więcej niż bogaty, byłby pan wszechmocny. Wszystko by pan wiedział. Wyniki sportowe, wybory... Ale taki intelekt jak pański nie poprzestałby na tym.
– Naprawdę? – Knight był szeroko uśmiechnięty.
– A sprzedaż gruntów? Kiedy i gdzie kupić i sprzedać tereny... do tego potrzeba tylko odrobiny dedukcji posiadając taki almanach. Transport, lista zatonięć statków, katastrof kolejowych... Bilanse kompanii lotniczych, statystyki powiedziałyby panu, gdzie kupić tereny. Z listy laureatów Nobla wiedziałby pan, którzy naukowcy będą się liczyli. Szczegóły budżetu wojskowego powiedziałyby panu, które fabryki kontrolować. Kursy, wymiany, bilanse banków, dane z ubezpieczeń pozwoliłyby zabezpieczyć się przed nieszczęściem.
– Tak jest – oczy Knighta błyszczały – to właśnie to, czego potrzebuję.
– Naprawdę tak pan myśli?
– Ja to wiem. Pełne kieszenie pieniędzy! Świat u moich stóp!
– Proszę mi wybaczyć – przerwał Boyne – ale pan wskrzesza dziecinne sny. Chce pan być bogaty? Z pewnością, ale na bogactwo trzeba zapracować własnymi rękami. Sukces, na który się nie zapracowało, nie daje przyjemności, tylko poczucie winy i smutek. Pan dobrze o tym wie.
– Nie zgadzam się – odparł Knight.
– Naprawdę? No to po co pan pracuje? Czemu pan nie kradnie, nie oszukuje innych, by zabrać to, co do nich należy?
– Ale ja...
– Sam pan widzi – ciągnął Boyne. – Nie panie Knight, pan jest zbyt dojrzałym człowiekiem. Ma pan zbyt wielkie ambicje, pan nie może chcieć ukraść powodzenia.
– W takim razie chciałbym przynajmniej wiedzieć, czy mi się powiedzie.
– Co za pomysł?! Chce pan przekartkować almanach w poszukiwaniu swojego nazwiska, chce się pan upewnić? Po co? Jest pan młodym adwokatem, który ma właściwie zapewnioną świetlaną przyszłość. To wiem na pewno. Jest to cześć pewnego zasobu informacji o panu, który posiadam. A czy panna Clinton nie jest tego samego zdania?
– O tak! – odpowiedziała zagadnięta. – Jemu nie potrzeba tej książki, by być tego pewnym.
– I co pan na to?
Knight zawahał się. Dziwna rzecz, gwałtowność Boyne'a uspokajała go.
– Bezpieczeństwo – powiedział po chwili.
– Bezpieczeństwo? Nie ma czegoś takiego. Życie jest niebezpieczne. Bezpieczeństwo istnieje dopiero po śmierci.
– Sam pan wie, o co mi chodzi – zamruczał Knight. – Czy jest sens robić jakieś plany na przyszłość? Istnieją bomby atomowe...
– To prawda – odpowiedział Boyne – to wszystko jest bardzo niepewne. Ale przecież ja żyję, więc ten świat też musi istnieć. Jestem tego dowodem.
– Jeśli byśmy założyli, że pan nie kłamie.
– A jeśli nawet?! – wybuchnął Boyne. – To nie o bezpieczeństwo panu chodzi, pan nie potrzebuje bezpieczeństwa, panu potrzebna jest odwaga. Macie przecież w tym kraju przodków pionierów, po których odziedziczyliście odwagę. D. Boone, E. Allen, S. Houston, A. Lincoln, G. Washington i wielu innych. Nieprawdaż?
– Tak, ale bomba wodorowa...
– Jest takim samym niebezpieczeństwem jak milion innych. I co, czy pan oszukuje przy grze w powtórnika?
– Powtórnika?
– Och, zaraz – Boyne zastanawiał się pstrykając palcami, usiłując rozwiązać ten problem językowy. – To taka gra, jednoosobowa, rozkłada się karty na stole. Jak wy to nazywacie?
– A! – Jane uśmiechnęła się. – Pasjans.
– Tak, właśnie, pasjans. Dziękuję, panno Clinton. – Boyne znów spojrzał na Knighta. – Oszukuje pan przy pasjansie?
– Zdarza mi się.
– I gdy pan wygra po oszukaniu, czuje pan jakąś przyjemność?
– Raczej nie.
– To przykre, prawda? Żal, że się nie wygrało uczciwie.
– Tak, to właśnie to.
– To samo będzie, gdy zajrzy pan do tej książki. Całe życie będzie pan sobie pluł w brodę. Nie, panie Knight, niech pan nie oszukuje. Niech mi pan odda ten almanach.
– Dlaczego mi go pan po prostu nie zabierze?
– Musi pan go sam oddać. Nie możemy wam nic zabrać ani dać.
– Pan kłamie, zapłacił pan za wynajęcie tej loży.
– Tak, ale naprawdę to Macy nie dostał nic. Będzie myślał, że został oszukany, ale państwo wszystko wyjaśnią.
– Zaraz...
– Wszystko zostało przewidziane aż do najdrobniejszych szczegółów. W pewnym sensie jestem odpowiedzialny za to, co się stanie. Panie Knight, niech mi pan odda ten almanach. Ja zniknę, nie zobaczycie mnie państwo nigdy więcej. Pozostanie tylko przygoda w kawiarni, o której będziecie opowiadali znajomym. Niech mi pan odda ten almanach.
– Zaraz – powiedział Knight – jeśli to żart...
– Naprawdę tak pan myśli? Niech pan na mnie popatrzy, to nie jest charakteryzacja...
Przez minutę młodzi ludzie przyglądali się nieznajomemu. Z ust Knighta znikł uśmiech, Jane zaczęła drżeć.
– Mój Boże – szepnął Knight rzucając szybkie spojrzenie Jane – to niemożliwe... Zaczynam wierzyć, a ty?
Dziewczyna pokiwała głową.
– I co ja mam zrobić, przecież jeśli to wszystko prawda, to mu nie oddamy i na zawsze będziemy szczęśliwi.
– Nie – odpowiedziała cicho – w tej książce z pewnością znajdziemy pieniądze i sukcesy, ale może też śmierć i rozstanie. Oddaj mu.
– Niech pan ją weźmie – powiedział Knight niepewnie.
Boyne wstał natychmiast. Zabrał paczkę i poszedł do kabiny telefonicznej. Gdy wrócił, niósł w jednej ręce trzy książki, a w drugiej nieco cieńszą, z grubsza owiniętą w papier paczkę. Położył książki na stole i stanął, przez chwilę przyglądając się młodym ludziom.
– Proszę przyjąć wyrazy mojej wdzięczności – powiedział z uśmiechem – pomogli mi państwo rozwikłać bardzo delikatny problem.

Alfred BESTER

urodził się w 1913 roku w Nowym Jorku. Studiował biologię i historię sztuki na Uniwersytecie Pensylwańskim. Jako autor SF zadebiutował w kwietniu 1939 roku opowiadaniem *„The Broken Axiom"* opublikowanym na łamach „Thrilling Wonder Stories". Wkrótce potem porzucił pracę historyka sztuki i zajął się wyłącznie pisaniem. Fantastyka naukowa była wówczas dla niego jedynie zajęciem hobbystycznym. Zajmował się głównie dramaturgią, pisaniem scenariuszy dla filmów telewizyjnych i komiksów. W 1951 roku ówczesny redaktor naczelny Gallaxy Horace L. Gold namówił Bestera do pisania powieści SF. W efekcie tego powstała, opublikowana po raz pierwszy w numerach 1–3 (1952) powieść *„The Demolished Man"*, która w 1953 roku przyniosła autorowi pierwszą nagrodę Hugo, a wraz z nią sławę i powszechne uznanie. Od tego czasu Bester poświęcił się głównie fantastyce naukowej publikując w przeciągu 30 lat wiele powieści i zbiorów opowiadań. Do najbardziej znanych spośród nich należą: *„The Stars My Destination"* (1956), *„Starburst"* (1958), *„The Dark Side of the Earth"* (1964), *„The Computer Connection"* (1975) i *„Starkight"* (1976).

Sprawiedliwość wymaga, bym się zrewanżował. Nie mamy prawa informować o mających nastąpić zdarzeniach, mamy wręcz nie dopuszczać do takich sytuacji, a jednak mogę i podaruję państwu pewną pamiątkę z przyszłości.
Odwrócił się. Wyjrzał z loży i szybko powiedział:
– Moje najwyższe uszanowanie dla państwa – i biegiem skierował się do wyjścia.
– Ej! – zawołał Knight. – A pamiątka?
– Macy ją ma – odpowiedział Boyne zamykając drzwi.
Młodzi ludzie pozostali przez dłuższą chwilę bez ruchu. Tak, jakby budzili się z długiego snu. Gdy wrócili do rzeczywistości, wybuchnęli gromkim śmiechem.
– Uf! – westchnęła Jane. – On mnie naprawdę przestraszył.
– Często można spotkać takich typów na 3. Alei. Ale numer, co!? I co mu z tego przyszło?
– No... almanach.
– Ja nic z tego nie rozumiem – powiedział Knight. – Ta cała historia o płaceniu Macy'emu bez dania mu czegokolwiek. I my mamy to wyjaśnić. No i ta pamiątka...
Drzwi otworzyły się z hukiem. Wpadł Macy z rozwichrzonymi włosami.
– Gdzie on jest – krzyknął – gdzie jest ten złodziej?! Ten... Boyne, jak się kazał nazywać.
– Ale o co chodzi, panie Macy? – zapytała Jane. – Co się panu stało?
– Gdzie on jest?! – krzyczał Macy szarpiąc za drzwi toalety. – Wyłaź kanalio!
– Ale on już wyszedł – powiedział Knight. – Właśnie na moment przed pańskim przyjściem.
– Pan też, panie Knight! – krzyczał szynkarz grożąc pięścią. – Pan jest jego wspólnikiem. Cała hańba spadnie na pana.
– Niech mi pan spokojnie wyjaśni o co chodzi.
– Zapłacił mi sto dolarów za wynajęcie tej loży. Sto dolarów! Pan sobie to wyobraża? Zaniosłem banknot do Berniego, tego co ma lombard, sam pan wie, jestem ostrożny – i co? Okazało się, że jest fałszywy.
– Coś takiego – krzyknęła Jane. – Tego już za wiele. Banknot jest fałszywy?
– Proszę, niech państwo sami zobaczą – powiedział Macy rzucając pieniądze na stół.
Knight przyjrzał się z bliska. Nagle zbladł i przestał się uśmiechać. Wyjął książeczkę czekową i lekko drżącą ręką zaczął pisać.
– Co ty robisz? – zapytała Jane.
– Nie chcę, by pan Macy czuł się oszukany. Odzyska pan swoje sto dolarów panie Macy, niech się pan nie niepokoi.
– Oliver, ty chyba zwariowałeś! Wyrzucasz w błoto sto dolarów!
– Nic nie tracę – odpowiedział Knight – wszystko się wyrówna. To szatan. Szatan, nie człowiek!
– Nic nie rozumiem.
– Patrz – podał jej banknot drżącą ręką – przyjrzyj mu się dokładnie.
Na pierwszy rzut oka wyglądał na prawdziwy. Twarz Franklina była jak zwykle narysowana bardzo delikatną kreską. Ale w rogu można było przeczytać: seria – 1985-d. I obok podpis: Oliver Wiliam Knight, Sekretarz Skarbu.

Przełożył **Adam Pietrasiewicz**

■


Marek Zalejski

ERSATZ wieczności

(Ersatz eternity)

Grayson zdjął kajdanki z nadgarstków i kostek swego kolegi.
– Hart! – krzyknął sucho.
Młody człowiek leżący na łóżku polowym nie drgnął nawet. Grayson zawahał się chwilę i kopnął go solidnie.
– Na miłość boską, Hart, posłuchaj! Uwalniam cię... na wypadek gdybym miał nie wrócić.

John Hart nie otworzył oczu. Wydawało się, że nawet nie zauważył kopnięcia. Leżał bezwładnie i jedyną oznaką, że żyje był fakt, że wciąż zachowywał elastyczność ciała. Policzki miał prawie przezroczyste. Włosy, normalnie czarne, teraz były matowe i wilgotne.

– Hart – powtórzył Grayson – idę szukać Malkinsa. Przypomnij sobie. Wyszedł przed czterema dniami mówiąc, że wróci po dwudziestu czterech godzinach.

Nie otrzymując wciąż żadnej odpowiedzi, Grayson odwrócił się i zrobił parę kroków w stronę drzwi. Na progu stanął i dodał:
– Hart, gdybym miał nie wrócić, musisz wiedzieć, gdzie jesteśmy. To nowa planeta. Nigdy tu jeszcze nie byliśmy. Nasz statek został zniszczony i wylądowaliśmy w kapsule ratunkowej. Szukamy paliwa. W tym ceu wyszedł Malkins i teraz ja idę go szukać.

Leżący bezwładnie człowiek nawet nie drgnął. Wtedy Grayson wyszedł wreszcie i ruszył w kierunku doliny. Nie miał zbyt wielkiej nadziei. Trzech mężczyzn wylądowało na nieznanej planecie. Bóg jeden wie gdzie, a w dodaku jeden z nich oszalał.

Oglądał się na wszystkie strony z niepokojem. Krajobraz wydawał się zupełnie normalny: drzewa, potoki, trawy, dalekie góry otoczone niebieską mgiełką. Było to tym dziwniejsze, że w czasie lądowania, obaj z Malkinsem, mieli wrażenie, że lądują na jałowej planecie pozbawionej atmosfery i śladu życia.

Lekka bryza pieściła jego policzki. Powietrze przesycone było zapachem kwiatów. Dostrzegł ptaki przelatujące między drzewami i w pewnej chwili usłyszał krzyk, który dziwnie przypominał mu śpiew jaskółki.

Maszerował przez cały dzień nie znajdując śladu Malkinsa. Nie dostrzegł także żadnych zabudowań, które mogłyby świadczyć o tym, że planeta jest zamieszkała. Tuż przed zapadnięciem nocy usłyszał kobiecy głos wołający go po imieniu. Grayson podskoczył, obrócił się gwałtownie i zobaczył własną matkę. Wyglądała dużo młodziej niż wtedy, kiedy widział ją po raz ostatni przed ośmiu laty w trumnie. Podeszła do niego i powiedziała surowym tonem:
– Bill, nie zapomnij swojej piłki.

Grayson przyglądał się kobiecie ze zdumieniem, nie wierząc własnym oczom. Wreszcie podszedł i dotknął jej ręki. Palce były ciepłe i żywe.
– Idź powiedzieć ojcu, że obiad jest już podany.

Grayson uwolnił się z jej uścisku i odskoczył do tyłu, rozglądając się wokół z zagubioną miną. Znajdowali się obydwoje pośrodku wielkiej trawiastej równiny. W oddali można było dostrzec błyszczące wody srebrzystej rzeki.

Ruszył w stronę zapadającego zmroku. Kiedy odwrócił głowę, nie dostrzegł nikogo. Wkrótce jednak okazało się, że idzie obok niego młody chłopak. Z początku nie zwracał na to uwagi, ale po jakimś czasie zdecydował się spojrzeć w stronę swego nowego kompana.

To był on sam w wieku piętnastu lat.
Tuż przed całkowitym nadejściem nocy dostrzegł drugiego chłopca, który dołączył się do pierwszego. To był również on sam, tyle że w wieku lat jedenastu.

„Trzech Billów Grayson" – pomyślał i chwycił go nerwowy chichot. Zaczął biec. Kiedy ponownie obejrzał się za siebie, nie dostrzegł nikogo. Ciężko dysząc zwolnił nieco i prawie natychmiast usłyszał dziecięcy śmiech. Znajomy odgłos, który go zmroził. Grayson krzyknął z wysiłkiem:
– Wszyscy są mną w różnym wieku. Odejdźcie! Wiem, że jesteście tylko tworem mojej wyobraźni.

Kiedy zmęczył się krzykiem i mógł już tylko charczeć, przyszło mu do głowy, że może to nie jest halucynacja. Czuł się zdeprymowany i zmordowany.
– Hart i ja – powiedział cicho – należymy do tego samego szpitala wariatów.

Miał nadzieję, że słońce poranka zakończy szaleństwa nocy. Rankiem Grayson obejrzał się dokoła z niepokojem. Znajdował się na szczycie wzgórza, a pod nim rozciągało się w dolinie jego rodzinne miasto Calypso, Ohio, USA. Przyglądał się temu nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Ponieważ jednak miasto wyglądało zupełnie realnie, ruszył biegiem w dół.

To było naprawdę Calypso, ale z czasów jego dzieciństwa. Ruszył w kierunku swojego domu. Stał tam gdzie się tego spodziewał. Rozpoznałby wszędzie to dziesięcioletnie dziecko. Zawołał chłopca, ale tamtem rzucił tylko okiem w jego stronę i pobiegł do domu.
Grayson położył się na trawniku zasłaniając oczy ramieniem.
– Ktoś – powtarzał sobie – coś... bierze obrazy z mojej świadomości i pokazuje mi je.
Pomyślał, że jeżeli chce zachować rozum i życie, to powinien trzymać się tej myśli.

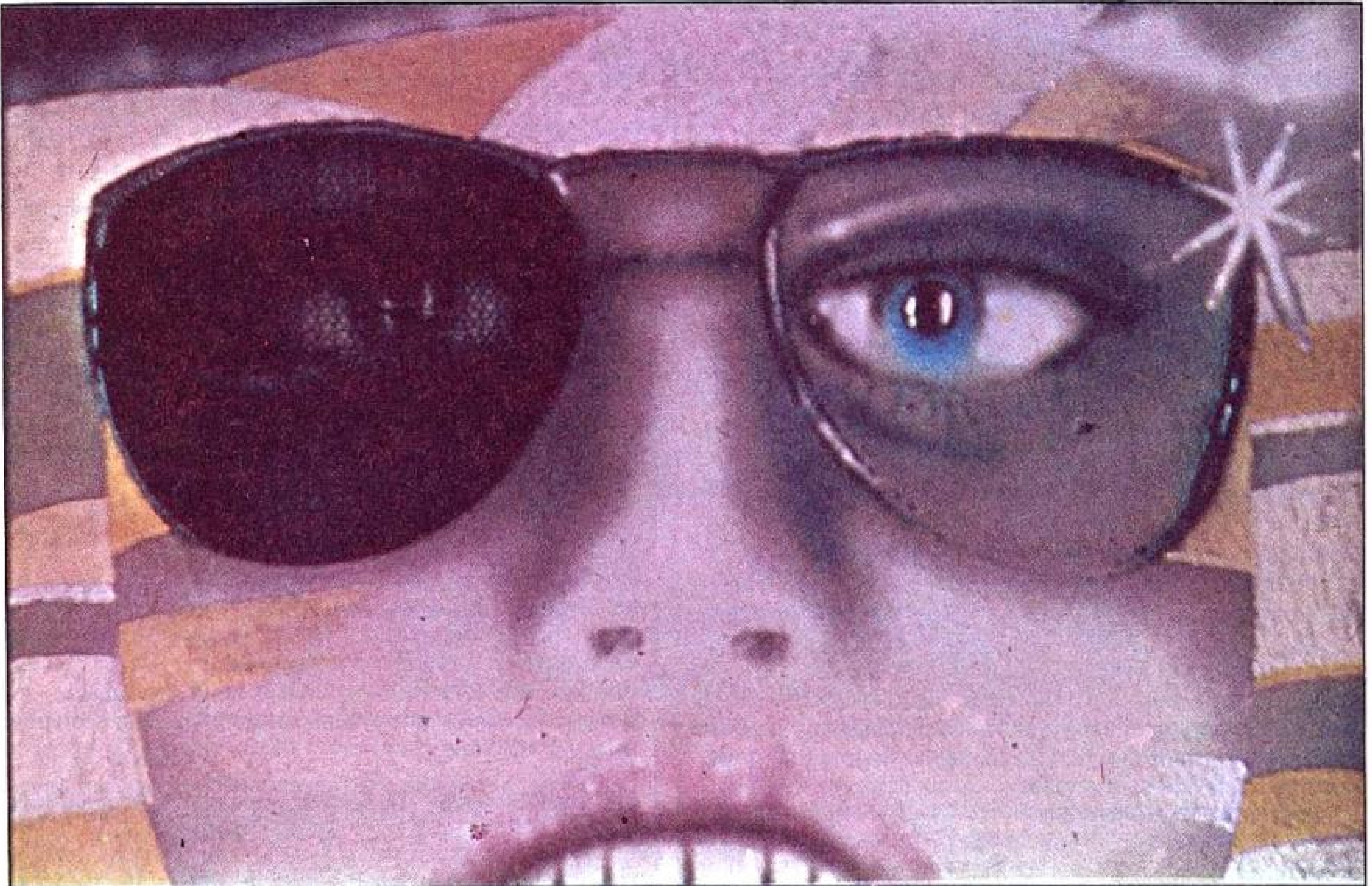
Stało się to szóstego dnia po odejściu Graysona. Na pokładzie kapsuły ratunkowej obudził się Hart.
– Jeść – powiedział głośno nie zwracając się do nikogo.

Czekał nie wiedzieć na co. Wreszcie podniósł się z trudem i poszedł do kuchenki. Kiedy już podjadł sobie, podszedł do drzwi i przyglądał się krajobrazowi. To jakby dodało mu odwagi.

Zeskoczył nagle na ziemię i ruszył w stronę najbliższej doliny. Noc zapadła bardzo szybko, ale do głowy mu nie przyszło, żeby zawrócić. Wkrótce kapsuła zniknęła całkowicie w ciemnościach.

Pierwsza przemówiła do niego jedna z przyjaciółek z dzieciństwa. Wypłynęła z ciemności i odbyli ze sobą długą rozmowę. Na jej zakończenie postanowili się pobrać.

Ceremonię celebrował zaraz potem pastor, który przyjechał samochodem. Obie rodziny zgromadziły się we wspaniałej rezydencji na peryferiach Pitsburga. Pastor był starym człowiekiem, którego Hart pamiętał z dzieciństwa.
Nowożeńcy pojechali w podróż poślubną do Nowego Jorku i nad wodospad Niagara, a następnie wynajętą taksówką powietrzną polecieli do Kaliforni, gdzie się osiedlili na stałe. Nagle pojawiło się troje dzieci i Hart z rodziną stali się posiadaczami rancza o powierzchni pięćdziesięciu tysięcy hektarów oraz stada krów liczącego milion sztuk. Wokół pełno było kowbojów ubranych jak gwiazdy filmowe.



Tomasz Marek Wiśniewski

Cywilizacja, która nagle pojawiła się wokół niego na czymś, co niedawno było nagą i pozbawioną życia planetą, stawała się dla Graysona koszmarem. Ludzie, którzy ją tworzyli, mieli średni czas życia sześćdziesiąt kilka lat. Dzieci rodziły się w dziewięć miesięcy i dziesięć dni po poczęciu. Pochował sześć pokoleń jedynej rodziny jaką założył. Któregoś dnia, idąc po Brodwayu zauważył idącego z przeciwka mężczyznę, którego sposób chodzenia, krępa sylwetka i wygląd sprawiły, że zatrzymał się jak wryty.
– Henry! – krzyknął. – Henry Malkins!
– A niech to! Bill Grayson!

Uścisnęli sobie dłonie w milczeniu, lekko zażenowani po pierwszym odruchu radości. Malkins pierwszy przerwał milczenie.
– Na rogu jest taki bar...

Po drugiej kolejce któryś z nich wspomniał o Johnie Hart.
– Jakaś forma życia, szukająca cielesności wykorzystała

jego umysł – stwierdził spokojnie Grayson. Najwidoczniej nie ma ona żadnych możliwości wysłowienia się inaczej. Próbowała nawet wykorzystać i mnie... Podniósł powieki pytając wzrokiem Malkinsa. Tamten kiwnął głową.
– Mnie również.
– Sądzę, że stawialiśmy zbyt duży opór.
Malkins wytarł nerwowo spocone czoło.
– Bill – powiedział – to jest jak sen. Żenię się i rozwodzę co czterdzieści lat. Żenię się z dziewczyną, która wygląda na dwadzieścia lat, a po dziecięciu czy dwudziestu latach wygląda jakby miała pięćset.
– Sądzisz, że to wszystko dzieje się w naszej wyobraźni?
– Nie. Nigdy w życiu. Sądzę, że cała ta cywilizacja istnieje naprawdę... cokolwiek bym rozumiał przez istnienie – odparł Malkins.
– Nie wnikajmy w szczegóły. Kiedy czytam niektóre dzieła filozoficzne traktujące o życiu, mam wrażenie, że stoję na skraju przepaści. Gdybyśmy tylko mogli się pozbyć Harta. W jakikolwiek sposób.
Grayson uśmiechnął się gorzko.
– A więc wciąż nie rozumiesz?
– Czego?
– Masz przy sobie broń?
Malkins bez słowa podał mu pistolet igłowy. Grayson wziął go, wycelował w swoją prawą skroń i nacisnął spust zanim Malkins zdążył się rzucić na niego i wytrącić broń z ręki. Cienki, biały płomień zdawał się przenikać czaszkę Graysona i wypalił maleńką, dymiącą dziurę w boazerii tuż za nim. Grayson z kamienną twarzą, nietknięty wycelował broń w przyjaciela.
– Chcesz spróbować na sobie? – zapytał ze śmiechem.
– Oddaj mi to – krzyknął pobladły Malkins wyrywając mu pistolet. Po czym dodał już spokojnym tonem:
– Sam zauważyłem, że się nie starzejemy. Bill, co zrobimy?
– Uważam, że trzyma się nas w rezerwie – odparł Grayson.
Podniósł się ze stołka i wyciągnął rękę na pożegnanie.
– Cieszę się, że cię spotkałem, Henry. Co byś powiedział, gdybyśmy się tu spotykali co roku dla wymiany wrażeń?
– Ależ...
– Odwagi, staruszku – powiedział Grayson z lekko wymuszonym uśmiechem. – To najwspanialszy numer w całym wszechświecie. Będziemy żyć wiecznie. Jesteśmy jedynymi substytutami na wypadek, gdyby coś jednak nie wyszło.
– Ale co to jest? Kto to robi?
– Zapytaj mnie o to za milion lat. Może wtedy będę już znał odpowiedź.
Grayson obrócił się na pięcie i wyszedł z baru. Nie obejrzał się za siebie.

Przełożył T.M.

■

Alfred Elton Van VOGT

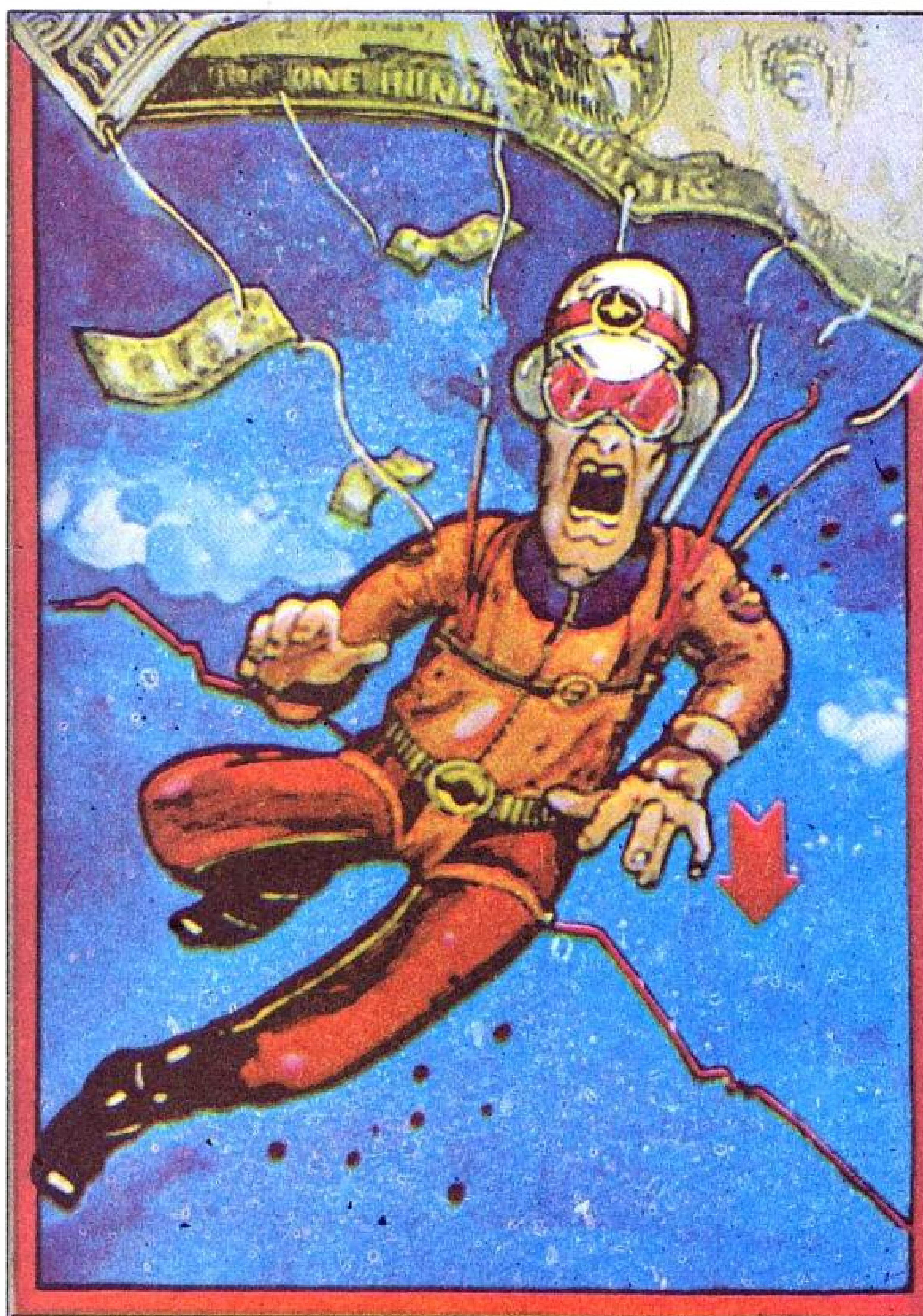
urodził się w 1912 roku w Winnipeg w Kanadzie. Ze względu na trudną sytuację finansową rodziny musiał wcześnie porzucić naukę. Pracował jako robotnik, maszynista, urzędnik. Pierwsze opowiadanie SF – *„Black Destroyer”* opublikował na łamach „Astouding” w lipcu 1939 roku. Okres największej popularności Van Vogta przypada na lata czterdzieste. Napisał on wtedy wiele opowiadań i powieści, które zapewniły mu trwałe miejsce w gronie tytanów światowej SF. Najbardziej znane z nich to: *„Slan”* (1940), *„The Weapon Makers”* (1946), *„The World of A”* (1948), *„The Pawns of Null A”* (1948), *„The Weapon Shops of Isher”* (1949), *„The Voyage of the Space Beagle”* (1950). Inne znane powieści i zbiór opowiadań E.A.Van Vogta to: *„Emoire of the Atom”, „The Mind Cage”, „C/OA”, „The War Against the Rull”, „The Book of Ptath”, „Rogue Ship”, „The House That Stood Still”, „The Winged Man”, „The Beast”, „The Silkie”, „Quest for the Future”, „Childern of Tomorrow”, „M 33 in Andromeda”, „The Darkness of Diamondia”, „More Than Superhuman”, „The Wizzard of Linn”, „The Man with a Thousand Names”, „Masters of Time”, „Supermind”, „Future Glitter”*.

DEFLACJA 2001

(Deflation 2001)

Fakt, że za filiżankę kawy musiał zapłacić dziesięć dolarów zmroził Lestera Perry do głębi. Zaledwie przed miesiącem jej cena ustabilizowała się na poziomie ośmiu dolarów i Lester już zaczynał żywić zwodniczą nadzieję, że potrwa to jakiś czas. Przyglądał się teraz smutno maszynie rozlewniczej, czekając aż czarny płyn spłynie do końca do plastykowego kubka. Jego mina stała się jeszcze bardziej nieszczęśliwa kiedy podniósł kubek do ust.
– Dziesięć dolarów – mruknął – i na dodatek zimna!
Jego pilot, Boyd Dunhill, wzruszył ramionami i zlustrował uważnie złote galony swego munduru, jakby obawiając się, że ten niezwykły odruch zmniejszył ich splendor.
– Czego pan się spodziewał? – zapytał obojętnie. – Władze lotniska odrzuciły w zeszłym tygodniu żądanie podwyżki Związku Pracowników Dystrybutatorów Kawy, przez co Związek zabronił swoim członkom brania godzin dodatkowych, co doprowadziło do zwiększenia ceny.
– Ale przecież dostali 100% podwyżki w zeszłym miesiącu. Wtedy właśnie cena kawy podskoczyła do ośmiu dolarów.
– Chcieli 200%.
– Niby jak lotnisko mogło się na to zgodzić. To niemożliwe.
– Ci od maszyn czekoladowych dostali 200%.
– Naprawdę? – zdziwił się Perry kiwając ze zdumieniem głową. – Mówili o tym w telewizji?
– Od trzech miesięcy nie mamy telewizji – przypomniał mu pilot. – Personel techniczny żąda minimalnej płacy w wysokości dwóch milionów dolarów rocznie i rozmowy jeszcze się nie skończyły.
Perry wypił swoją kawę do końca i wyrzucił kubek do kosza na śmieci.
– Mój samolot jest już gotów? Możemy zaraz lecieć?
– Jest gotów od czterech godzin.
– Więc na co czekamy?
– Konwencja Pracowników Lotnictwa Lekkiego zażądała minimum ośmiu godzin na każdą reperację.
– Osiem godzin na wymianę wycieraczki?! – krzyknął oburzony Perry. – To ma być opłacalne?
– Liczba pracowników lotniska podwoiła się ostatnio.
– Oczywiście. Skoro potrzebują ośmiu godzin na zrobienie czegoś, co wymaga trzydziestu minut pracy! To przecież bzdura!
Perry umilkł widząc zimne spojrzenie pilota. Przypomniał sobie w ostatniej chwili o konflikcie między Związkiem Pracodawców Lotniczych a Syndykatem Pilotów Prywatnych Dolnopłatów Dwusilnikowych. Pracodawcy proponowali podwyżkę zarobków o 75%, a piloci 150% plus premię za kilometry.
– Mógłby pan zawołać bagażowego?
Dunhill pokręcił przecząco głową.
– Będzie pan sam musiał nieść bagaże. Bagażowi strajkują od piątku.
– Dlaczego?
– Za dużo osób nosi swoje bagaże.
– Aha!
Perry wziął swoją walizkę i zaniósł ją na stanowisko startowe. Wsiadł do swojego samolotu i usiadł w jednym z pięciu foteli. Zapiął pasy i sięgnął do schowka z prasą. Dopiero wtedy przypomniał sobie, że od piętnastu dni nie ukazuje się żadne pismo. Procedura startowa ciągnęła się w nieskończoność, co by świadczyło o tym, że pracownicy wieży startowej byli w trakcie jakichś ważnych negocjacji. Wreszcie zasnął nerwowym snem.

Obudził się smagany zimnym wiatrem, który go przekonał, że drzwi samolotu zostały otwarte w locie. Otworzył oczy i zobaczył, że Dunhill stoi w otwartych drzwiach ze spadochronem na plecach.
– Co się stało?! – krzyknął. – Pożar?
– Nie – odparł Dunhill szalenie oficjalnym tonem. – Strajkuje.


Marek Trojanowski

– To ma być żart?
– Tak pan sądzi? Dostałem informację przez radio. Pracodawcy odrzucili rozsądne żądania Syndykatu Pilotów Prywatnych Dolnopłatów Dwusilnikowych i nagle zerwali rozmowy. Jesteśmy popierani przez naszych przyjaciół z Syndykatu Jednosilnikowych Dolnopłatów i Dwusilnikowych Górnopłatów. Musimy przerwać pracę punktualnie o północy. To znaczy za trzydzieści sekund.
– Ależ Boyd! Nie mam spadochronu! Co się ze mną stanie?
Pilot wzruszył ramionami i odparł suchym tonem:
– Czemu mam się tym przejmować? Pan się mną nie przejmował kiedy starałem się powiązać koniec z końcem za te marne trzy miliony dolarów rocznie.
– Byłem egoistą. Teraz to rozumiem i żałuję tego.
Pery odpiął pas i wstał.
– Nie skacz Boyd. Podwajam ci pensję.
– Syndykat żąda więcej.
– Tak? No to potrajam. Dziewięć milionów rocznie, Boyd.
– Bardzo mi przykro. Żadnych pokątnych kontraktów. To osłabia jedność związkową.
Pilot wyskoczył w ciemność. Perry przyglądał mu się przez kilka chwil. Wreszcie zamknął drzwi. Doszedł do stanowiska pilotażu i usiadł w fotelu po lewej stronie. Samolot leciał dzięki automatycznemu pilotowi. Perry przypomniał sobie z trudem czasy, kiedy był pilotem bojowym i sięgnął do sterów. Lądując sam ściągnie na siebie kłopoty ze strony wszystkich związków, które zaczną go uważać za łamistrajka, ale nie miał jeszcze ochoty umierać.

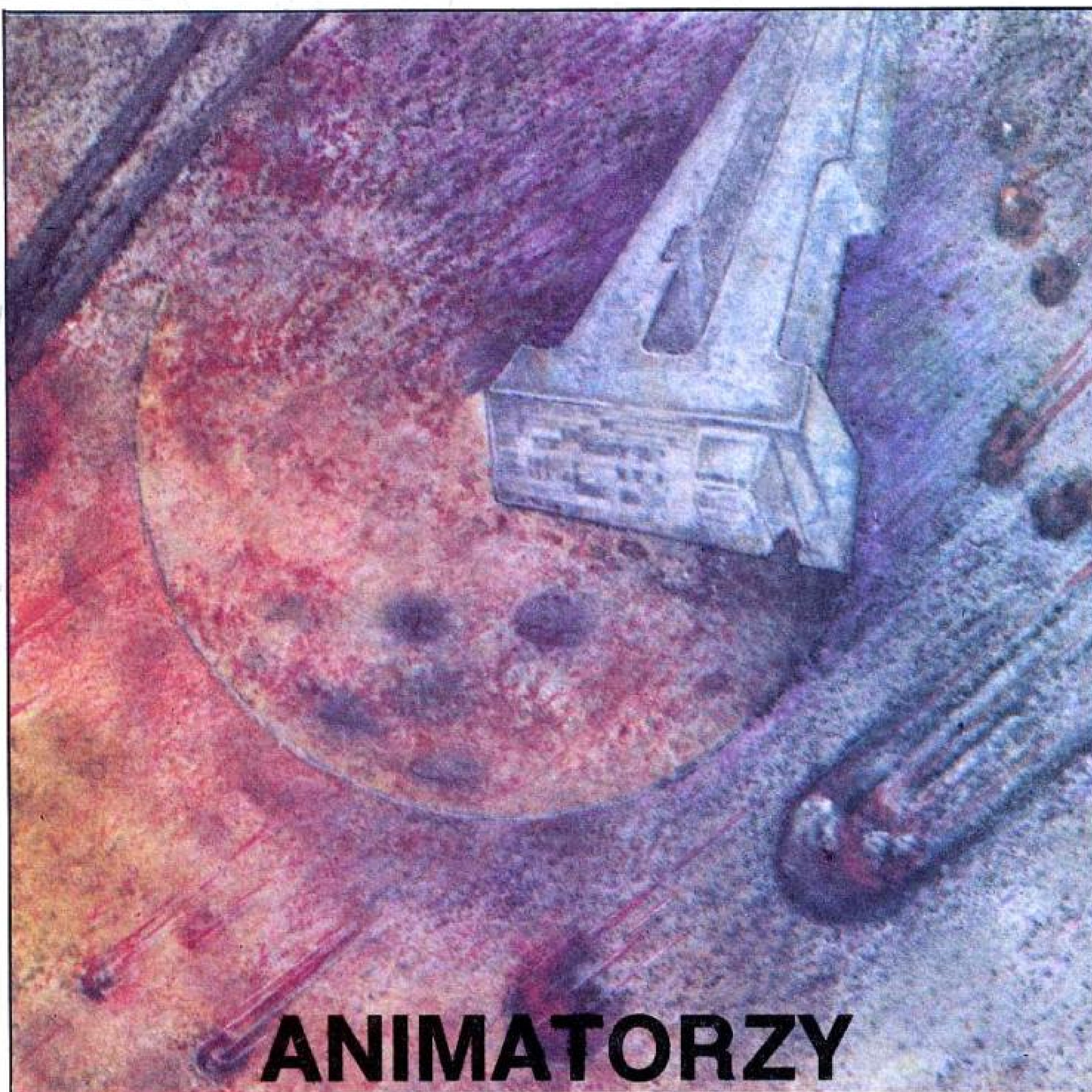
Kilka tysięcy metrów niżej, Boyd Dunhill szarpnął za spust spadochronu i czekał na jego otwarcie. Wstrząs był mniej silny niż zwykle. Po kilku sekundach spostrzegł, że spada z tą samą szybkością. Podniósł głowę i zamiast wielkiej czaszy spadochronu zobaczył jedynie maleńki kształt pilocika, który nie wyciągnął niczego poza kilkoma metrami linki nylonowej.
Przypomniał sobie wreszcie, że Syndykat Składaczy Spadochronów zagroził rozpoczęciem niespodziewanego strajku dla poparcia swoich żądań o przedłużenie płatnego urlopu.
– Skurwysyny – krzyknął przerażony. – Skur...

Przełożył **Tadeusz Markowski**

■

Bob SHAW

urodził się w 1931 roku w Belfaście. Z wykształcenia jest inżynierem budowy maszyn. Imał się jednak różnych zawodów – był dziennikarzem, taksówkarzem... Opowiadania fantastyczno-naukowe pisać zaczął w latach pięćdziesiątych, ale większe zainteresowanie swoją twórczością wzbudził dopiero napisanym w 1966 roku opowiadaniem *„Light of Other Days"*, które uzyskało nominację do nagrody Nebuli. Jest autorem kilkunastu powieści i zbiorów opowiadań, spośród których najbardziej znane to *„Night Walk"* (1967), *„The Two-Timers"* (1968, wydanie polskie „Człowiek z dwóch czasów" Czytelnik 1979), *„Other Days, Other Eyes"* (1972).



ANIMATORZY

(The Animators)

Harrington wsunął się do kabiny. Jego ciemne włosy poskręcały się niemiłosiernie, a nieprzyjemne swędzenie w miejscu, do którego w żaden sposób nie mógł sięgnąć, doprowadzało go do wściekłej rozpaczy. Siedział w swoim marsjańskim łaziku, z którego kabiny, osadzonej wysoko na ogromnych, baloniastych oponach, rozciągał się widok na skalisty krajobraz, gdzieniegdzie tylko urozmaicony przez niewielkie kratery. Za sprawą pyłu spowijającego każdy, nawet najmniejszy, skrawek powierzchni Marsa, cały ten pejzaż niezmiennie utrzymany był w rdzawo-czerwonej tonacji. W kabinie łazika panowało normalne, ziemskie ciśnienie, więc dla wygody Harrington ściągnął z głowy hełm.

Pragnął już jak najprędzej znaleźć się w Bazie, żeby tam wreszcie zjeść jakiś porządny posiłek. W planie miał też kolejny seans łączności z Ziemią, ale tak naprawdę, to marzył wyłącznie o tym, żeby wreszcie pozbyć się tego przeklętego swędzenia.

Zdenerwowany przeciągającym się oczekiwaniem skierował wzrok na Pugha, geologa ekspedycji. Pugh nadal znajdował się na zewnątrz. Posługując się swoim nieodłącznym młotkiem odłupywał kawałki skał i wkładał je do przytroczonego u boku worka. Harrington pochylił się do przodu i wcisnąwszy na pulpicie sterowniczym guzik mikrofonu zawołał:

– Pospiesz się, Shorty. Muszę jeszcze nawiązać łączność.

Odpowiedź od Pugha przyszła po chwili. Mówił ostrym, podniesionym głosem. Można było odnieść wrażenie, że bardzo jest czymś podekscytowany.

– Zaczekaj jeszcze dwie minuty. Zdaje się, że coś znalazłem.

Niezadowolony z takiego obrotu sprawy, Harrington śledził spod brwi postać w skafandrze w szybkim tempie oddalającą się od łazika. Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, Pugh zniknął tak, jakby grunt pod nim się rozstąpił i pochłonął go. Tylko mały obłok pyłu unoszący się nad miejscem, gdzie przepadł geolog, świadczył o tym, że zaszło coś tajemniczego.

– Pugh?

W odpowiedzi z odbiornika dobył się świszczący oddech Pugha. Przytłumiony głos wzywał:

– Pękła szyba... nie mogę oddychać... pomóż... ratuj!

Harrington nie namyślając się wiele wciągnął na głowę hełm, porwał ze sobą z podłogi zwój liny, zapasową osłonę hełmu oraz butlę z tlenem i jak błyskawica wyskoczył przez luk. Jeden koniec liny przywiązał do łazika i szybko ruszył w kierunku, gdzie zniknął Pugh. Przy grawitacji na Marsie równej jednej trzeciej ziemskiej poruszał się bez kłopotów.

– Pugh? – zawołał ponownie.

Tym razem w odpowiedzi przyszło zgrzytnięcie, które przejęło go dreszczem. Harrington jeszcze szybciej pobiegł ku krawędzi rozpadliny, w której przypuszczalnie znajdował się Pugh. Geolog był tam, z rękami kurczowo zaciśniętymi na strzaskanej szybce swego hełmu. Harrington błyskawicznie cisnął w głąb jamy butlę z tlenem i osłonę hełmu, a sam zaraz spuścił się po linie w dół. Nie zdało się to jednak na wiele. Na jakąkolwiek pomoc dla Pugha było już za późno.

Czy musiało się to w końcu stać? Tylko jeden jedyny wypadek i zaraz tak tragiczny finał. Myśl o tym, jak na wieść o śmierci geologa zareaguje Brunel, nie dawała Harringtonowi spokoju. Ich dowódca znany był z nadzwyczaj gwałtownych reakcji. Ale czy tu, w tej pozbawionej tlenu atmosferze, którykolwiek z nich miałby jakąś szansę?

Harrington wspiął się z powrotem po linie do góry i śmiertelnie znużony powlókł się do łazika. Natychmiast *zawiadomił Bazę* o wypadku. Po chwili w odpowiedzi zabrzmiał niezwykle szorstko ostry głos Brunela:

– Zostań na miejscu dopóki nie dotrzemy do ciebie.

Harrington niespokojnie oczekiwał ich przybycia. Nie lubił Brunela. Żaden spośród członków załogi nie darzył go sympatią – dowód-

ca Pierwszej Marsjańskiej Ekspedycji był wojskowym, a jak świat światem, uczeni nigdy nie byli skorzy spełniać jakichkolwiek rozkazów.

Pisk radiowego sygnału wyrwał Harringtona z zadumy. To Lane z Bazy łączył się z nim. Harrington bezzwłocznie zorientował go w szczegółach całej procedury nawiązania łączności z Ziemią. Sam w żaden sposób nie zdołałby już wykonać tego zadania.

Drugi z łazików, przebywszy poprzez pył na pełnej szybkości dystans dzielący go od miejsca wypadku, zatrzymał się na wysokości pojazdu Harringtona i po chwili wyskoczyli z niego Brunel i Dalby.
– Gdzie byłeś, kiedy to się stało?! – Brunel kategorycznie zażądał wyjaśnień.
– W łaziku.
– Więc Pugh znajdował się na zewnątrz sam? I to wtedy, kiedy specjalnie wydałem rozkaz, żeby nikt pod żadnym pozorem nie pozostawał samotnie poza pojazdem. Co on tam u diabła robił?!
– Cały czas byliśmy razem, ale zbliżała się pora mojej łączności z Ziemią. Wróciłem więc do łazika. A Pugh jakoś się ociągał.

Twarz Brunela skryta za panoramiczną szybą hełmu stężała z gniewu. Nawet w skafandrze, który krył świetnie indywidualne cechy właściciela, Brunel sprawiał wrażenie bezwzględnie surowego. Jego język smagał jak bicz.
– Zginął, gdyż nie wykonał rozkazu! Od dzisiaj wszystkie pary przebywające na zewnątrz będą połączone liną. Czy chcesz jeszcze coś dodać?
– Pugh zameldował o znalezieniu czegoś, ale nie zdążył bliżej wyjaśnić, gdyż wtedy grunt pod nim zapadł się.
Brunel w milczeniu zbliżył się do miejsca zdarzenia, a za nim podążyli Harrington i Dalby.
– Jestem ciekaw, co też tam Pugh mógł znaleźć? – odezwał się Dalby.
Brunel ostrożnie okrążył zapadlinę. Nie wiedział dlaczego, lecz miejsce to nieodparcie kojarzyło się mu z czymś w rodzaju pułapki. W skrytości ducha zaczął podejrzewać, że Pugh został tu zwabiony. Dokładnie związał linę wokół tułowia i spuścił się w głąb jamy. Najwidoczniej Pugh musiał spaść tu głową w dół i uderzywszy w jakiś ostry załom skalny strzaskał szybę swojego hełmu. Brunel instynktownie czuł, że prawda wygląda inaczej. Gorączkowo szukał w dole jakichś śladów, ale tam tkwiły tylko skalne odłamki, a przez palce przesypywał mu się nieodłączny pył.

Związawszy liną martwe ciało Pugha, Brunel chwycił worek z próbkami kamieni i z powrotem podciągnął się do góry. Harrington i Dalby wspólnymi siłami wyciągnęli linę.
– Zdejmijcie z niego skafander – zarządził Brunel. – Jeszcze może się do czegoś przydać.

Dowódca ruszył w stronę łazika i po chwili wrócił niosąc ze sobą łopatę. W marsjańskim gruncie wszyscy trzej wykopali płytki dół i złożyli w nim ciało Pugha, które po śmierci zdawało się być mocno skurczone. Harrington wyraźnie pamiętał je większym.
Pochylili głowy, kiedy Brunel zaczął wypowiadać słowa odwiecznie głoszone w takich razach nad grobem:
– Prochem jesteś i w proch...
Przysypali piaskiem nagie ciało geologa i zaraz potem wrócili do swoich łazików. Ruszyli w stronę Bazy.

Blade słońce zaszło za horyzont i wkrótce zapadła ciemność. Poprzez rozrzedzoną atmosferę planety gwiazdy świeciły ostro i wyraźnie. Jakiś zbłąkany meteor wbił się w powierzchnię gruntu zostawiając po sobie niewielki krater. Tylko mdło niebieski księżyc swą nikłą poświatą rozświetlał panujący mrok. Wtem, mimo iż nawet najlżejszy podmuch wiatru nie zakłócał panującego spokoju, od powierzchni oderwała się mała chmurka pyłu. Ale zaraz opadła pod postacią drobnego, pylnego deszczu.

Blada dłoń rozgarnęła piach, który ją skrywał i wzniosła się ku niebu. Druga dołączyła do niej po chwili... Ukazały się ramiona i głowa – głowa z twarzą Pugha. Z jej na wpół otwartych ust sypał się piasek.
Nagi korpus podniósł się do góry i wyprostował. Zakołysał się chwiejnie. Jego ramiona ruszały się niepewnie jakby chciał zakreślić nimi pełny krąg. Zamarł na chwilę w bezruchu. Najwidoczniej chciał zorientować się w swoim położeniu. Następnie, stawiając drobne kroki ruszył przed siebie. Poprzez czarną noc, naga, martwa istota zmierzała ku odległej Bazie.

Wewnątrz Bazy, pod jej nadmuchaną kopułą, Harrington siedział przed nadajnikiem. Teraz już bez skafandra, tylko w koszuli, czuł się swobodnie. Znowu był sam. Po krótkim nocnym odpoczynku pozostali członkowie ekspedycji wyruszyli łazikami kontynuować badania. W trakcie tych badań Lane, metalurg wyprawy, prawie nie wypuszczał z dłoni swego podręcznego świdra, którym systematycznie, metr po metrze, rozwiercał grunt. Głos Lane'a właśnie rozległ się z odbiornika:

– Zdaje się, że znalazłem nadzwyczaj czysty pokład żelaza. Harrington słuchał tych słów bez większego zainteresowania, gdyż i tak wszystkie rozmowy były nagrywane i jego rola sprowadzała się wyłącznie do interwencji w razie nagłych zagrożeń. Pozostawszy samotnie w Bazie, miał aż nadto czasu, by rozmyślać o śmierci Pugha. Lecz, czy mógł mu wtedy pomóc? Jednak dziwne, jakieś nie określone poczucie winy burzyło jego spokój.

Pragnąc nieco rozprostować się, Harrington wyciągnął przed siebie ramiona tak mocno, że dłonią dotknął leżącej na stole jednej z kamiennych próbek znalezionych przez Pugha. Ich analiza wykonana przez Brunela nie wykazała nic nadzwyczajnego. Z nudów Harrington począł palcami rozczesywać swe poskręcane włosy. W tym samym momencie nad wejściem Bazy zajarzyło się zielone światełko. Najwyraźniej ktoś chciał dostać się do środka. Zdziwiony tym Harrington przełączył dźwignię uruchamiającą mechanizm śluzy i zapytał:
– Kto tam? Który z was wrócił?

Ponieważ był w stałym kontakcie radiowym z załogami obu łazików, jego wezwanie zostało usłyszane i po chwili z odbiornika popłynął głos Brunela:
– Co też tam wygadujesz, Harrington? Przecież nikt jeszcze nie wrócił. Jesteśmy tu wszyscy razem, jakieś dziesięć kilometrów od Bazy. O ile wiem, Lane wierci tym swoim świdrem gdzieś tu w pobliżu.
Vincent, lekarz wyprawy, spokojnym głosem potwierdził słowa dowódcy:
– Tak, widzę Lane'a. Jest na prawo od łazika. Ej, przyjacielu, co też się tam dzieje u ciebie?

W tym momencie Harrington poczuł się tak, jakby wpadł w strumień zimnej, lodowatej wody. Zadrżał. Co też się dzieje, u licha? Jak zahipnotyzowany wpatrywał się we wskaźnik ciśnienia powietrza pod kopułą Bazy. Naraz w tej samej chwili otworzył się luk. Harrington błyskawicznie zerwał się z fotela i bezwiednie pchnął go do tyłu. Z odbiornika dobył się zachrypnięty głos Brunela:
– Harrington! Co się stało? Mów!
A Pugh czekał. Milcząc, w bezruchu przyglądał się ciału leżącemu na podłodze, póki głos w odbiorniku nie zamilkł.

Lane nie zastanawiając się wiele odrzucił swój sprzęt i jak strzała pognał do łazika. Od Harringtona nie nadeszła więcej żadna wiadomość i Lane'owi udzieliło się jakieś niejasne, złowrogie przeczucie, że takiej wiadomości już nigdy nie usłyszy.

Brunel przez radio wydał rozkaz:
– Vincent i Lane, wracajcie jak najszybciej. Zaraz do was dołączę.
Vincent wydusił z łazika maksymalną szybkość. W pełnym pędzie przeskakiwał wyrwy po meteorach, aż spod baloniastych opon sunącego przez płaskowyż pojazdu wzbijały się w górę chmury czerwonego pyłu.
– Czy ten nasz cholerny łazik nie rozleci się?
– Mam nadzieję, że nie, chociaż w tych warunkach niczego nie można być pewnym – odparł Lane i sięgnął po lornetkę. Czekał aż Baza znajdzie się w polu jego widzenia. Kiedy tylko ukazała się, skierował na nią wzrok.
– Wszystko wygląda normalnie – rzucił w mikrofon.
Po chwili przyszła odpowiedź Brunela:
– Niepokoi mnie to, co się dzieje wewnątrz. Zatrzymajcie łazik i ty, Lane, idź zobacz, co się tam stało. Vincent niech zostanie. Przez cały czas utrzymujcie ze mną kontakt.

Vincent zatrzymał pojazd na wysokości śluzy wejściowej. Kopuła Bazy była nieprzejrzysta, a do tego w miejscach, w których została nadwyrężona przez uderzenia meteorów, sprawiała wrażenie pokrytej łatami. Z wnętrza nie dobywał się żaden, nawet najmniejszy szelest. Jakichkolwiek oznak ruchu. Inżynier energicznie sięgnął po hełm i wciągnął go na swoją rudobląd czuprynę.
– Idę sprawdzić – powiedział.
– W porządku – odparł Vincent.
– Na razie.
– Utrzymuj ze mną łączność.
Lane wyskoczył z łazika i zbliżył się do śluzy. Kiedy zaczął odkręcać zawór, przypomniał sobie ostatnie słowa Harringtona, jakie usłyszał przez radio. Nie, to nie mogła być awaria. Harrington był

ekspertem w tych sprawach i zbyt dobrze znał swoje rzemiosło. Lane zawahał się przed ostatecznym otwarciem luku. Sparaliżował go strach. Zły na siebie, zameldował w mikrofon:
– Otwieram właz.
I zaraz potem wszedł do środka.
Harrington siedział przed nadajnikiem i nic nie widzącym, martwym wzrokiem wpatrywał się w Lane'a. Jego koszula była cała we krwi. Nie oddychał.
– Harrington nie żyje – Lane informował Vincenta. – Wygląda jakby otrzymał pchnięcie nożem. Ale to nonsens...

Nagle Lane zamarł z trwogi. Harrington uniósł się z fotela i swym wzrokiem na wskroś przeszył inżyniera. W tym też momencie Lane spostrzegł z boku martwy korpus Pugha. Zaczął krzyczeć:
– Pugh jest tutaj! Zmartwychwstał!

Błyskawiczne cięcie skalpela rozpruło skafander Lane'a. Ostrze zanurzyło się między żebra. Okropny ból przeszył ciało, ciemność przesłoniła wzrok i Lane upadł na podłogę.

Vincent został w łaziku i bacznie obserwował wejściową śluzę Bazy. Luk wciąż był zamknięty, a z wnętrza nie docierał najmniejszy sygnał. Tłumiąc w sobie narastający strach, Vincent czekał. Będzie jednak musiał coś zrobić, przecież w środku jest Lane.

Z niewymowną ulgą Vincent przyjął przybycie drugiego łazika, którym przyjechali Brunel i Dalby.
– Czy jest coś nowego? – zapytał dowódca.
– Nie. Nic.
O wszystkim, co działo się od chwili wejścia Lane'a do Bazy, Vincent i tak meldował drogą radiową. Więcej nie musiał im wyjaśniać.
– W środku tylko są Harrington i Lane! – wykrzyknął Brunel. – I nikogo więcej! Zapamiętajcie, nikogo więcej!
– ... Pugh...
Brunel gwałtownie przerwał Vincentowi:
– Zapomnij o Pughu!
Następnie dowódca ruszył z miejsca swym łazikiem. Wraz z Dalbym jeden raz okrążył kopułę.
– Dostrzegłeś coś? – spytał swego towarzysza.
Brodaty fizyk przecząco pokręcił głową.
Nagle Brunel głośno zawołał:
– Ślady stóp! Widzę ślady ludzkich stóp!
W tym momencie Dalby spostrzegł je również – równa linia odciśniętych w pyle śladów bosych stóp biegła przez pusty płaskowyż. Tajemnicze ślady małych stóp.
– To Pugh! – krzyknął głośno Dalby wstrząśnięty tym odkryciem.
Brunel nic nie odpowiedział. Podprowadził łazik do śluzy, gdzie niecierpliwie czekał na nich Vincent.
– Poza niewielkim awaryjnym zapasem, wszystko co posiadamy znajduje się pod kopułą. Tlen, woda, baterie... – Brunel przerwał dalsze wyliczanie, pozwalając by Dalby i Vincent zdali sobie sprawę z grozy położenia. Po chwili milczenia zarządził:
– Żeby przetrwać do przybycia statku trzeba wydostać stamtąd to wszystko. Cóż, wchodzimy!
Żaden nie zaprotestował.
Brunel włożył hełm i wyskoczył z łazika. Podszedł do zaworu znajdującego się u podstawy kopuły i przekręcił go. Wypuścił z wnętrza powietrze. Marszcząc się na podobieństwo starej harmonii, kopuła zaczęła opadać. Po kilku minutach nie przedstawiała sobą nic ponad zmiętą, plastykową powłokę. Powietrze uszło z niej całkowicie. Pod szarymi fałdami nie znać było śladów najlżejszego ruchu.
– W porządku – stwierdził Brunel. – Żadna żywa istota nie ma prawa przetrwać tam. Pomóżcie mi podnieść powłokę!

Dalby i Vincent wyskoczyli z łazików i dołączyli do Brunela. Wspólnie chwycili miękką, plastykową płachtę i ściągnęli ją ze zgromadzonego pod nią sprzętu. Było to wyczerpujące zajęcie. Plastyk zahaczał o ostre krawędzie instrumentów i znajdujących się pod nim pojemników. Nie zdążyli jeszcze całkowicie ściągnąć powłoki, kiedy coś pod nią uniosło się.

Zamarli wszyscy trzej w bezruchu. Brunel poczuł, że cierpnie na nim skóra. Zbliżał się do nich Harrington. Jego koszula była skrwawiona. Lane szedł ostatni. W skafandrze, z którego uszło powietrze poruszał się niezgrabnie. W milczeniu, martwe korpusy zmierzały ku trzem pozostałym przy życiu astronautom. Brunel wziął głęboki oddech i krzyknął:
– Uciekajmy stąd!

Odwrócił się błyskawicznie i pobiegł do swojego łazika. W kabinie na wszelki wypadek miał schowany pistolet kalibru 0,45, jedyną broń jaką członkowie ekspedycji wzięli ze sobą. Vincent i Dalby pozostali na miejscu. Jak zahipnotyzowani wpatrywali się w kroczące w ich stronę istoty.

Kiedy zareagowali było już za późno. Pugh dosięgnął Dalby'ego zanurzając skalpel w jego skafander. Harrington i Lane dopadli Vincenta i wyrwawszy z jego butli z tlenem karbowany przewód, przydusili lekarza do gruntu.

Brunel wyskoczył z łazika z pistoletem w ręce. Kiedy Pugh zwrócił się w jego stronę, Brunel posłał z pistoletu w jego blady korpus całą serię. Ciało rozerwało się, bryznęła krew, ale Pugh szedł nadal. Amunicja szybko skończyła się. Brunel nie zastanawiając się wiele, cisnął bezużyteczne żelastwo i z powrotem wskoczył do łazika. Z maksymalną szybkością ruszył przed siebie przez pusty, złowieszczy płaskowyż.

Z brawurową szybkością uciekał jak najdalej Bazy. Jego chłodny, opanowany umysł, w żaden sposób nie mógł zaakceptować faktu zmartwychwstania. Nie mógł zebrać myśli. Był zupełnie rozkojarzony. Poprzez martwe pustkowie pojazd prowadziły wyłącznie jego ręce, kierowane jakimś dziwnym, mechanicznym instynktem. Dopiero po jakimś czasie Brunel zdał sobie sprawę z tego, że nikt go nie ściga. Nie było za nim nikogo.

Opanowawszy trochę swe przerażenie, zmniejszył nieco szaleńczy bieg łazika. Z wolna zaczęło docierać do niego poczucie grozy położenia. Wracało poczucie rzeczywistości. Będzie potrzebował tlenu i wody. Żeby je zdobyć koniecznie musi dotrzeć do awaryjnych zapasów. I przez cały czas musi być w stałym pogotowiu. Był teraz ostatnim żywym człowiekiem na Marsie. Ten niewielki awaryjny zapas stwarzał mu szansę przetrwania do czasu przybycia statku z Ziemi. Statek! Czy uda się mu ostrzec jego załogę?

Przede wszystkim jednak musi myśleć o sobie. Jeśli zginie, załogi statku nic już nie zdoła uratować.
Zawrócił pojazd. Postanowił skierować się ku miejscu, gdzie są zapasy. Zwiększył prędkość i zaczął przeprowadzać gorączkowe obliczenia. Jeśli statek opuścił Ziemię, musiał przebyć już połowę drogi. Trzeba będzie oszczędzać zapasy – pomyślał Brunel.

Zatrzymał się. Rozejrzał się wokół i stwierdził, że krajobraz w tym rejonie stał się bardziej pofałdowany.
Antena transmisji sygnałów kierunkowych wyraźnie wskazywała miejsce, którego Brunel szukał. Komandor uważnie zlustrował teren. Nie stwierdził oznak jakiegokolwiek ruchu. Podniesiony na duchu wynikiem obserwacji przystąpił do przenoszenia zapasów do łazika. Każdy najmniejszy kąt w kabinie zapełnił żywnością, bateriami i butlami z tlenem. Pojemniki z wodą dopełniły całości.

Zaledwie Brunel zdołał uporać się z przeniesieniem ładunku, na horyzoncie coś ledwo dostrzegalnie drgnęło. Brunel postanowił czekać. Nagle, zupełnie niespodziewanie w polu jego widzenia zjawiło się pięć ludzkich sylwetek. Trzy z nich były w skafandrach. Więc Dalby i Vincent dołączyli do nich – pomyślał Brunel. Ciężko stąpając, postacie brnęły przez rdzawo-czerwony pył. Zbliżały się do niego.

Brunel wskoczył do kabiny i z pełną szybkością ruszył w ich kierunku. Impetem sunącego pojazdu chciał zmiażdżyć te widma. Powierzchnia planety była w tym miejscu nierówna i coraz to poprzecinana szczelinami po meteorach tak, że łazik co chwila jak piłka wyskakiwał w górę.

Brunel zaatakował z maksymalną szybkością, lecz widma błyskawicznie rozstąpiły się na boki i uderzenie chybiło. Ponowił atak, gdy naraz poczuł, że łazik przechyla się na bok. W ostatniej chwili dostrzegł przed sobą w gruncie szeroką szczelinę. Raptownie przyhamował. Jego ciało zlał zimny pot. Po chwili wahania zawrócił. Gdyby łazik przewrócił się, to koniec wszelkich nadziei. Brunel prowadził teraz pojazd ze zdwojoną uwagą. Instynktownie spojrzał za siebie i dostrzegł, że tamci podążają za nim. Miał jednak nad nimi przewagę szybkości. Cóż z tego, skoro pojazd zostawia za sobą w pyle ślad. Prędzej czy później będą musieli go wykryć. A Brunel tak bardzo potrzebuje snu. W tym momencie przypomniał sobie o statku. Jedynie z nadajnika Bazy mógł ostrzec jego załogę. Myśl ta podziałała na niego ożywczo. Raptownie zatoczył łazikiem

Sydney James BOUNDS

urodził się w Brighton (Anglia) w 1920 roku. Jest absolwentem wydziału elektrotechniki politechniki w Manchesterze. Przez kilka lat pracował jako inżynier w londyńskim metro. Od ponad dwudziestu lat jest zawodowym pisarzem. Pisze westerny, powieści grozy, z rzadka utwory fantastyczno-naukowe. Jako autor SF zadebiutował w 1955 roku powieścią „The Moon Reiders". Inne znane utwory Boundsa zaliczane do gatunku SF to przede wszystkim powieści „The Robot Brains" (1956) i „The World Wrecker"(1956).

niewielki łuk i skierował się w stronę Bazy. Zatrzymawszy się na miejscu zabrał ze sobą baterie i wyskoczył z kabiny. Lecz nadajnika nie było. Widocznie tamci zabrali go i ukryli gdzieś. Przypuszczalnie zagrzebali w piasku. Ta myśl przeraziła Brunela. Zdał sobie sprawę z ich nieograniczonych możliwości. Żywa, inteligentna śmierć! Naraz spostrzegł ich ponownie. Ruchome punkciki szybko zbliżały się w jego kierunku. Brunel z powrotem wskoczył do łazika i odjechał. W przeciwieństwie do nich, którym to uczucie stało się zupełnie obce, był bardzo zmęczony. Najprawdopodobniej oni wcale nie potrzebują snu. Z pewnością są też w stanie dogonić go, kiedy tylko naprawdę tego zechcą.

Brunel instynktownie skierował pojazd poprzez czerwony i brunatnożółty w odcieniu teren, pokonując przy tym po drodze przeszkody w postaci zastygłej lawy i niewielkich kamieni. Tak już był zmęczony, że w pewnej chwili zdawało mu się, iż widzi na horyzoncie stożek dymiącego wulkanu. Na domiar złego, zupełnie nieoczekiwanie zerwał się silny wiatr. Jego podmuchy stopniowo narastały, wznosząc wokół gęstą ścianę z pyłu. Chmury zasnuły niebo. Mimo tak silnie szalejącej wichury, z powierzchni gruntu nadal wyzierały ślady opon łazika. Brunel odruchowo zmienił kierunek jazdy, a następnie zwolnił, chcąc uniknąć zbędnego ryzyka. Jechał, dopóki całkiem nie stracił widoczności. W końcu wyłączył silnik. Wiatr zmienił się teraz w istny huragan, który wznieciwszy w górę tony pyłu, zupełnie przesłonił cały płaskowyż. Zmęczony Brunel zasnął.

Kiedy obudził się, huragan już ucichł. Zza chmur zaczęło wyzierać blade słońce. Brunel stwierdził, że jest w jakimś nieznanym sobie miejscu, otoczony przez nagie, zimne skały. Nieodłączny pył skrywał wszystko.

Postanowił coś zjeść. Doszedł do wniosku, że najlepsze, co może w tej chwili zrobić, to pozostać na miejscu. Kiedy już statek przybędzie, z nadajnika pokładowego w łaziku podejmie próbę nawiązania z nim łączności. Być może uda mu się w ostatniej chwili przekazać ostrzeżenie.

Jego uwagę zaprzątnął teraz inny problem. Co też w ogóle się stało? W spokoju zaczął rozważać przebieg minionych wypadków. Kto też zawładnął ciałami jego towarzyszy? Czyżby jakaś obca forma życia, która jak w teatrze kukiełek, ożywia martwe laleczki? Może wirus? Wirus, który poraża mózg i cały system nerwowy, powodując to, że człowiek wpada w stan długotrwałej śpiączki. Może jakiś pasożyt z Marsa, który nagle uaktywnił się? Wirus... Brunel z trudem przypomniał sobie jego budowę. Osłonka z białka, okalająca jądro z kwasu nukleinowego... Kiedy wirus wniknie w ciało gospodarza, to wytwarza w nim własny wariant nukleinowego łańcucha i z największą precyzją powiela go. Wirus powielając się zakaża coraz to nowe komórki, by później przenieść się na inny z kolei organizm. Z pewnością było to coś podobnego – Brunel zastanawiał się gorączkowo. Jak powstrzymać tę plagę? Jak zapobiec dostaniu się jej na Ziemię? Przecież wkrótce wyląduje statek... Brunel był w pełni świadom tego, że musi przetrwać. Tu wcale nie chodziło o niego. Musi być czujny, uważny w każdym momencie, gdyż tylko on może powstrzymać tę zarazę. Ocknął się. Miał spierzchnięte usta. Czuł się osłabiony. Powietrze wewnątrz łazika zaczęło cuchnąć. Długiego pobytu w kabinie nie przewidziano. Brunel wypił łyk wody i z trudem przeżuł pół racji koncentratu. Nie miał teraz nic do roboty. Musiał czekać. Tamci, nawet jeśli kontynuowali pościg, to do tej pory nie znaleźli go, a Brunel i tak nie mógł ruszyć się stąd nie pozostawiając za sobą śladu. Nie było sensu zmieniać miejsca. Ile czasu już minęło od chwili, gdy rozpoczął nasłuch? Nadal cisza. Powinien oszczędzać baterie. Przecież będą jeszcze potrzebne. Ile dni? Machinalnie wykreślił z kalendarza kolejny dzień.

Zaczęła boleć go głowa. Nie miał już czym oddychać. Musiał zdecydować się na wyprawę do Bazy po zasobniki z tlenem. Lecz czy będą tam? Z coraz większym trudem mógł zebrać myśli. Stopniowo jego ciało pogrążało się w letargu. Z minuty na minutę...
Lecz co to?

Nagle, gdzieś wysoko, w głębokiej purpurze nieba, zabłysnął jakiś ledwo widoczny ognik. Czyżby to był statek? Brunel spojrzał na kalendarz. Czy aż tak mógł się mylić? Nie, to niemożliwe.

Lecz ten ognik właśnie był statkiem kosmicznym z Ziemi. Z nową załogą na pokładzie zbliżał się ku planecie.
Brunel włączył odbiornik i nagle usłyszał w nim:
– Statek do Bazy. Odbieracie nasze sygnały?
Zamarł z przerażenia, kiedy w odpowiedzi dotarł do niego spokojny wyraźny głos Harringtona:
– Słyszymy was znakomicie.
– Cieszę się, Harrington, że właśnie z tobą rozmawiam. Będziemy się starali lądować jak najbliżej Bazy. A co tam u was? Czy już znaleźliście komendanta Brunela?
– Mamy się świetnie. Cóż, jeśli chodzi o poszukiwania, na razie bez zmian. Na razie...

Brunel momentalnie otrząsnął się z szoku, jakiego doznał i nie namyślając się wiele, krzyknął w mikrofon swojej radiostacji:
– Nie lądujcie! Mówi do was komandor Brunel! Nie lądujcie! Poza mną wszyscy tutaj są martwi! Obce istoty zawładnęły ich ciałami!
Ze statku doleciał do niego inny głos:
– To mówi doktor Elliot. Proszę pana, komandorze, niech pan zachowa spokój. Już wkrótce będziemy z panem.
– Na Boga! Nie lądujcie na Marsie!
Ponownie odezwał się Harrington:
– Mówiłem wam, że zwariował.
– W porządku. Zapewnimy komandorowi właściwą opiekę.
Brunel przeraził się. Zdał sobie sprawę z tego, że przeoczył moment łączności ze statkiem. Tamci uprzedzili go. Martwe korpusy wezwały pomocy. Zaalarmowana tym załoga zwiększyła ciąg silników.

Brunel z maksymalną prędkością ruszył, chcąc dotrzeć do miejsca, które wyznaczał kres trajektorii statku. Zdążał ku miejscu lądowania. Całą siłą woli starał się przezwyciężyć strach, jaki wyzierał z jego głosu:
– Powtarzam! Nie lądujcie w pobliżu Bazy! Załoga Bazy to nie są ludzie!
Zignorowali go. Monotonny głos zaczął rytmicznie odliczać:
– Dziesięć... dziewięć... osiem... siedem...

Brunel pędził przed siebie nawet na chwilę nie zmniejszając szybkości. Musiał dotrzeć w miejsce lądowania przed tamtymi. Opony pędzącego łazika, jak piłki odbijały się od nierównej powierzchni planety.

W dali spostrzegł Bazę. Wyraźnie widział nadmuchaną ponownie kopułę. Obok drugiego z łazików stały postacie w skafandrach. Czekały na lądowanie. Wszystko wyglądało tak normalnie, że Brunel w głębi ducha aż zaklął z rozpaczy.

Naraz jedno z kół łazika wtoczyło się na skraj małego krateru i w chwilę potem pojazd gwałtownie przechylił się w przód i runął kabiną w dół. Plastykowa osłona kabiny została strzaskana.

Nadludzkim wysiłkiem mięśni Brunel zdołał sięgnąć po swój hełm i po raz ostatni zawołał:
– Nie otwierajcie luku! Nie pozwólcie im dostać się do środka!

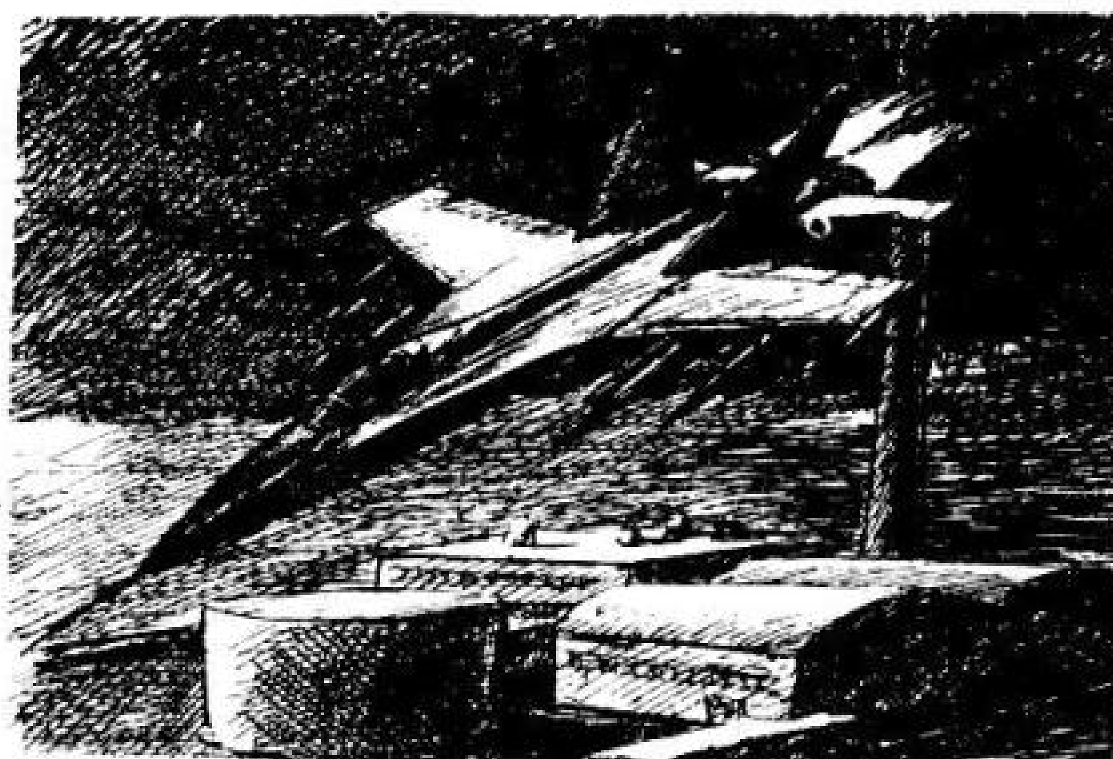
Cały był obolały od uderzenia. Właz pojazdu zaklinował się. Brunel leżał pozbawiony jakiejkolwiek pomocy, prawie nieprzytomny z przerażenia. Nie mógł nic zrobić. Leżąc w tej rozpadlinie, nawet nie mógł widzieć lądującego statku. Pozostało mu tylko zdać się na wyobraźnię.

W odbiorniku usłyszał głosy właśnie co przybyłej załogi, witającej członków Pierwszej Marsjańskiej Ekspedycji. Nagle, wszystko raptownie zamilkło. Cisza, cisza... Brunel załkał.

Pugh w końcu przyszedł po niego. Jednak Brunel nie czekał biernie na cięcie skalpela. Uprzedził wypadki. Szybkim ruchem ręki odrzucił zasłonę hełmu, pozwalając marsjańskiej atmosferze wedrzeć się do płuc.

Przyłączył się do martwych istot na pokładzie statku, który jak złowieszczy słup ognia, wzbiwszy się w głęboką purpurę nieba, wziął kurs prosto na Ziemię.

Przełożył **Mariusz Piotrowski**


Przemysław Ulatowski

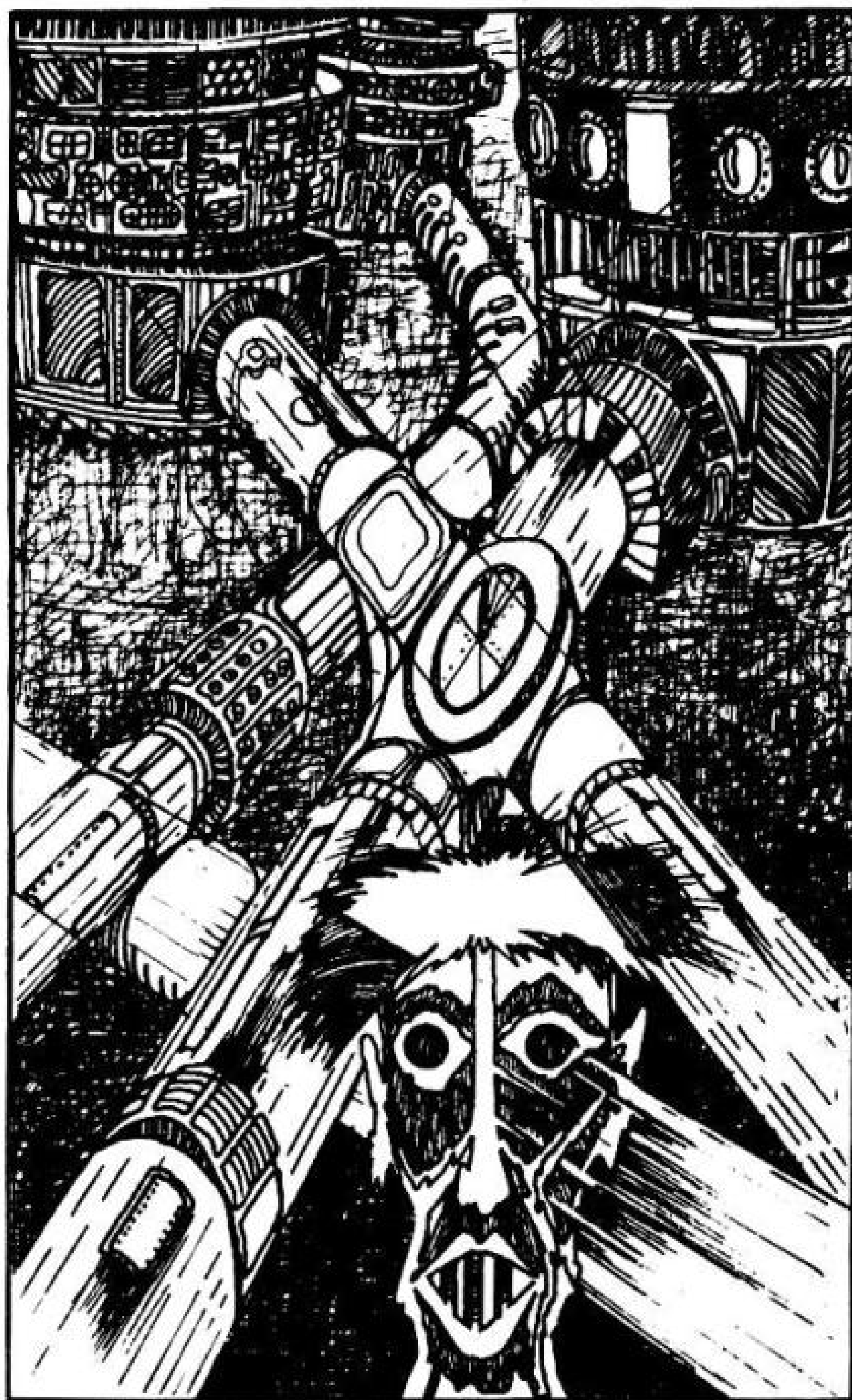
metro

(Podziomka)

Życie metra toczyło się wedle własnych praw, była w nim swoja własna, narzucona przez elektronicznego władykę miarowość, która nikogo szczególnie nie zachwycała, ale też i nie dziwiła, bo wydawała się powszednią koniecznością, podobnie jak i cała reszta, którą ludzie kiedykolwiek dla siebie wynaleźli, wynaleźli solidnie, mądrze, otwierając rozległe perspektywy nieustannego doskonalenia, przekonani o tym, iż kontynuują dzieło Wyzwolenia – a owe prawa, owe co do minuty na wiele lat naprzód wyliczone przejazdy, ów ruch porywający dające się weń bez szemrania wciągnąć miliony istnień ludzkich, już nie były przywilejem wybranych, bo metro, wykluczywszy prawo wyboru, zespoliło swoje życie z życiem ludzi, których już od dawna nie sposób było sobie wyobrazić bez jasno oświetlonych stacji, bez przetaczającego się łoskotu pociągów, bez niskich błękitnych wagonów z ogromnymi oknami, z których wyglądają szeregi miękkich, wygodnych foteli porozdzielanych od siebie rozkładanymi stolikami... pociągi biegną jeden za drugim, co minutę z tunelu wynurza się obwieszone reflektorami elektryczne pudełko, co minutę rozsuwają się dwuskrzydłowe drzwi, cześć, mówią ci bywalcy twojego wagonu, cześć, odpowiadasz, przyjemnej jazdy, no jasne, oczywiście, inaczej teraz nikt już nie jeździ i w ogóle teraz jeżdżą wszyscy, rzucasz się na swój fotel i naciskasz guzik na niewielkim pulpicie wmontowanym w poręcz, dokładnie za trzy i pół godziny rozlegnie się sygnał ostrzegawczy i nie pozwoli ci przegapić twojego przystanku, tak że nikt w wagonie się tym nie martwi, a wolnych miejsc jest coraz więcej, więc ściskasz ręce sąsiadów, cześć, cześć, przyjemnej jazdy, zobaczymy, czym też dzisiaj rozerwie nas telewizja – i wyciągamy się w fotelach, na pół leżymy, bo tak wygodniej jest obserwować ogromny ekran, na którym już coś się dzieje, jacyś faceci skaczą z pokładu płonącego okrętu do wody, woda jest zielonkawa, pienista, trzaskają strzały, zabici padają, a ci, którzy jeszcze mogą się jakoś ruszać, starają się skakać do wody nogami naprzód, bo to chyba bardzo boli, kiedy się z wysoka wpadnie do wody na brzuch lub bok, ale możesz się tego jedynie domyślać, bo przecież nigdy nie pływałeś okrętem, nigdy z niego nie skakałeś, tak samo jak i wszyscy twoi sąsiedzi, żujący kanapki i gapiący się jak zaczarowani w ekran, niemal na pewno nigdy w niczym podobnym nie brali udziału, bo wszyscy urodziliśmy się i pomrzemy w metrze, nie mamy innego wyjścia, innej drogi, jak ta, co prowadzi nas długimi tunelami przejść biorących początek na dolnych kondygnacjach naszych domów i wiodących do przystanków metra, takie same tunele wsysają nas do metra z przedsiębiorstw, w których pracujemy... każdy z nas gdzie indziej wsiada i wysiada, gdzie indziej pracuje, ale to nic nie znaczy, gdyż dzień w dzień spotykamy się w tych wagonach i te wagony dzielą nasze życie na trzy niemal równe części: praca, sen, przejazd, trzy i pół godziny jazdy w jedną stronę, tyle samo z powrotem i jeszcze zostaje parę minut na to, żeby trochę rozprostować nogi, przejść tunelem do windy, zjeść z żoną kolację, powiedzieć jej dobranoc, bo nic więcej nie ma się jej do powiedzenia i to powtarza się codziennie, gdyż święta mało różnią się od dni powszednich, to samo metro, które zamiast do podziemnych hal fabrycznych dowozi cię na jakieś zwariowane imprezy, rozrywkowe występy, gdzie człowiek, podobnie jak w hali fabrycznej, zapomina na te parę godzin o wszystkim, a potem, jakby budząc się ze snu, znowu spieszy do swojego wagonu i nic go już nie obchodzi, że jakiś facet, który w czterdzieści minut po nim wsiadł do wagonu, dokładnie w czterdzieści minut po nim z niego wysiądzie, już go nie dziwi, że w wagonach nie wiedzieć czemu rzadko kiedy chce się spać, zresztą może po prostu zbyt głośno gra telewizor, że automaty wydające śniadania stoją nie używane, że praktycznie nikt z nikim nie rozmawia, że mało kto bierze do ręki coś ze stert czasopism i książek leżących na stolikach, tylko w równych odstępach czasu pojawia się steward i proponuje drukowane nowości, prospekty reklamowe, a jeśli pociąg wiezie cię z fabryki do domu, jeśli czeka cię krótkie spotkanie z żoną, rozłoży przed tobą luksusowe, znakomicie ilustrowane foldery, gdzie mnóstwo kobiet i mężczyzn z zapamiętaniem uprawia znaną ci doskonale, ale już cię nużącą grę i nagle zapragniesz, żeby zabiegi stewarda nie okazały się daremne, bo przecież ten facet też jest na służbie i spędza w metrze nie siedem godzin na dobę, jak większość z nas, tylko dwa razy dłużej, bo do stacji wyjściowej jedzie wcale nie krócej niż ty do swojej fabryki, gdzie jednak masz pewną zmianę, kiedy staniesz przy maszynie, a steward przez cały ten czas pozostaje w wagonach pociągu... dlatego masz wielką ochotę zrobić mu przyjemność, z uśmiechem wysłuchujesz jego niezdarnych dowcipów i, jeśli dzieje się to w czasie drogi do domu, zamawiasz kieliszeczek koniaku, drugi, trzeci, dopóki foldery, koniak i pikantne historyjki wyuczone na pamięć przez stewarda tak cię nie rozmarzą, że znów nie musisz o niczym myśleć i tylko czekasz, kiedy znajdziesz się w swoim mieszkaniu sam na sam z żoną, a następnego ranka spieszysz się na przystanek metra, spóźniać się nie wolno, bo inaczej przeniosą cię do innej pracy, więc dziarsko maszerujesz peronem, starając się ustawić tak, żeby podjeżdżający właśnie wagon otworzył drzwi akurat naprzeciw ciebie, cześć, cześć, odpowiadasz, podając rękę sąsiadom, no jasne, oczywiście, nikt już dziś inaczej nie jeździ, a jeżdżą wszyscy bez wyjątku, na ekranie galopują strzelający w biegu jeźdźcy lub ktoś wbija drewniany kołek w pierś potwora, żeby zabić w nim wampira, albo wypacykowana lalunia, najwyraźniej przeciągając scenę, bez pośpiechu zdejmuje z siebie szatki, a z jej oczu wyraźnie widać, że po skończeniu zdjęć ona też, podobnie jak my wszyscy, ruszy długim tunelem, który jest tak zbudowany, aby pasażer znalazł się na peronie tuż przed przyjazdem swojego wagonu, cześć, cześć, przyjemnej jazdy, no jasne, nikt już dzisiaj inaczej nie jeździ i pasażerowie milkną, czekają na stewarda, coś oglądają, czytają, może nawet o czymś myślą, ale jeśli nawet myślą to bez szczególnego napięcia, na luzie, o nic się nie martwiąc i czując w sobie gotowość do urwania swojej myśli bez żalu i zamiaru jej kontynuowania, bo to było to samo, co poruszanie palcami nóg tylko dlatego, że się je ma, z rzadka zaczynają rozmawiać o lokalizacji swojej fabryki, że jednak mieści się trochę za daleko, trzy i pół godziny drogi metrem, daleko, fakt, ale nic się na to nie da poradzić, Prawo jest Prawem, a Prawo zabrania zawierać pracodawcom kontrakty z mieszkańcami własnego regionu, mogą przyjąć do pracy tylko mieszkających w odległości co najmniej trzech godzin jazdy metrem i nic się z pewnością nie da na to poradzić, bo istnieje Prawo, a jego pogwałcenie karane jest zbyt surowo, żeby ktokolwiek z nas mógł się na to zdecydować, a zresztą wcale nam to nie jest potrzebne i nic nam to nie daje, bo żaden z nas i tak by nie wiedział, co by ze sobą zrobić, gdyby nastąpiła jakakolwiek zmiana... i miejsce pracy też nam wybrały komputery, i wierzymy w mądrość ich decyzji, ponieważ nie mamy nic innego do wierzenia, nic innego nam nie dano, wagon pędzi przez mrok, za oknami migają rury niewyraźnie oświetlone lampami sygnalizacyjnymi, niekończące się zwoje kabli przyssane do szorstkich ścian, a na ekranie już zmieniły się dekoracje, już inni ludzie zajmują się innymi sprawami, ale i tak robią to zbyt głośno, żeby dało się zdrzemnąć i ktoś z tylnych rzędów foteli zaczyna wrzeszczeć, żeby wyrzucić ten przeklęty telewizor, ale czy w ogóle warto zwracać na to uwagę, kiedy co i rusz wybuchają podobne żądania, które nic nie znaczą, bo pasażerowie traktują je wyłącznie jako nową rozrywkę, odmianę w monotonii jazdy, a krzykacz zrywa się z miejsca, podbiega do ekranu i zaczyna walić ręką w migotliwy obrazek, hej, przyjacielu, starają się przemówić do rozsądku, daj sobie spokój, bo narobisz sobie tylko masę kłopotów, ale on jakby się wściekł, ryczy z wytrzeszczonymi ślepiami i już nikt nie ma wątpliwości, że facet zwariował, szkoda, niezły był chłopak, a on rzuca czymś ciężkim, ekran rozpryskuje się i gaśnie, faceta wciskają za ramiona w fotel i tak trzymają do czasu, aż wagon nieruchomieje na kolejnej stacji, gdzie ludzie w mundurach wbiegają do środka i w milczeniu, bez zbędnej krzątaniny zabierają się do roboty: wagon jeszcze porządnie nie nabrał szybkości, a trzej mundurowi już demontują rozbity kineskop, wyjmują z kartonu nowy, dwaj zajmują się awanturnikiem, sprawdzanie dokumentów, przesłuchanie świadków, protokół, widać że znają się na robocie – i na następnej stacji znikają, zabierając ze sobą przestępcę i rozbity kineskop – telewizor znów gra, w przejściu pojawia się steward, odnotowuje na diagramie numer zwolnionego fotela i za jakieś dwa, trzy dni zamiast szalejącego chłopaka będzie w nim siadał jakiś nieznajomy, który nieznajomym będzie bardzo niedługo i dlatego twarz tego chłopaka zatrze się w pamięci, podobnie jak zatarły się w pamięci twarze tych wszystkich, których los podzielił, chociaż każdy z nas pewnie sobie pomyślał: „Cholerny świat, ciekawe czy ja potrafiłbym tak samo, przecież w tym nie ma nic trudnego, wystarczy wstać i rąbnąć w ekran czymś ciężkim" i każdy natychmiast postarał się zdławić w sobie tę myśl, co nie było trudne, bo wystarczyło sobie tylko wyobrazić, jak źle jest bez telewizora i popatrzeć jak dobrze działa nowy kineskop, jak świetnie pokazuje dzisiejszy wesoły program, o, czas już na

Andriej PIECZENIEŻSKI
Opowiadanie „Metro" ukazało się w Almanachu „Naucznaja Fantastika 82". Był to debiut.

mnie, do widzenia panom, życzę przyjemnej pracy, cześć chłopaki i po jednemu zaczynamy odklejać się od naszych foteli, a życie metra trwa nadal, nadal trwa nasze życie, ile tam komu los przeznaczył, i niczym we mgle żyjesz do dnia, kiedy pociąg nagle zahamuje wprost w mrocznym tunelu na dwie mile przed stacją i pasażerowie być może po raz pierwszy w życiu poczują jakiś niejasny niepokój, który każe im zajrzeć sobie nawzajem w oczy i ujrzeć w oczach bliźniego swój własny strach, a drzwi, które otwierają się jedynie na stacjach, nagle przesuną się w swoich prowadnicach i wagon wypełni się zimnym podziemnym wiatrem, i wszyscy naraz zaczną mówić o awarii, no cóż, to się zdarza, jakieś drobne zacięcie w układzie sterowniczym i już jakiś pociąg wbił się w ostatni wagon stojącego na torach składu, to przykry wypadek, ale wszyscy otrzymają talony z wyszczególnieniem czasu, miejsca i powodów spóźnienia, a kierownictwo zakładów to uwzględni i nikt z nas nie będzie ukarany, ale ciebie dosłownie na wskroś przenika ten kłujący podziemny wiatr, rozdmuchuje w tobie krzyk przerażenia, chociaż sam nie masz pojęcia, skąd się w tobie ten krzyk bierze, na czym wyrósł twój strach i od czego nabrał takiej miażdżącej siły, to w takiej chwili najważniejsze dla ciebie jest uciec przed czarnym podziemnym strumieniem zalewającym wagon i skorupę twojego fotela, ale ponieważ nie można uciec przed tym jadowitym wiatrem, to swoje zaćmienie rzucasz w drzwi, rozpuszczasz je w zaćmieniu tunelu i nie zwracając uwagi na ostrzegawcze krzyki biegniesz w wąskiej przestrzeni między wagonami a groźnie huczącą ścianą, wykręcasz nogi na progach podkładów, ale twój strach chroni cię przed upadkiem, więc biegniesz, dławiąc się tym niezwykłym stanem, któremu dobrowolnie oddałeś swoje sflaczałe od siedzenia w fotelu ciało, a wiatr wyje, wiruje wokół ciebie i nie wiadomo, czy odpycha cię do tyłu, czy też na odwrót pomaga przyciskając się do pleców, a pociągi ustawiły się w jedną, poprzecinaną krótkimi przerwami przestrzenną linię, rozświetloną od środka kwadratami okien, wypełniły nieruchomym metalowym farszem rurę tunelu, same wypełnione ludzkimi ciałami i strachem, więc uciekasz gdzieś w bok od nich, nieświadomie skazując siebie na spopielający ogień wysokonapięciowych przewodów, ujęty w rurki izolatorów, ale ściana nieoczekiwanie ustępuje, przepuszcza cię i teraz pędzisz przez czarną noc podziemia, nie zwalniasz, lecz przyspieszasz jeszcze kroku, żeby wszystko, co jest ci sądzone u granic tego szaleństwa, dokonało się w mgnieniu oka, coraz głębiej i głębiej wciąga cię zagadkowe, nieprzezwyciężone przyciąganie Ziemi, ale nagle, potknąwszy się, przerywasz swój bieg, nieruchomiejesz, sięgasz rękami w pustkę i już niepewnie, kołysząc się na boki ruszasz dalej i wpadasz na śliską w dotyku przegrodę, to ślepy tor, Rany Boskie, to czarna pułapka wyłożona marmurowymi płytami, palce gładzą polerowaną powierzchnię kamienia, wymacują ledwie wyczuwalne linie styków, dalej, dalej, rozkazujesz sobie, słyszysz swój zwycięski okrzyk i ta ściana również cię przepuszcza, w nogi boleśnie wrzynają się ostre krawędzie schodów, które prowadzą cię do góry i już zaplątałeś się w plątaninie czasu, zaplątałeś się i już nie wiesz ile godzin, dni, lat pełźniesz po tych schodach, poraniony, z bolesnym poczuciem bliskości i niedostępności kryjącego się gdzieś opodal ratunku i kiedy stopnie ustępują miejsca gładkiej marmurowej platformie, twój strach, wypierany dotychczas wysiłkiem fizycznym, znów się zwala na ciebie, gdyż oczy twoje ujrzały niebieski bezdenny przestwór usiany bezlikiem maleńkich migotliwych iskierek, twoja twarz wyczuła dotyk ciepłego nieznajomego wiatru, który dobiegał z dalekiej głębi tej niezmierzonej, przejrzystej przestrzeni, otwarła się przed tobą równina tchnąca oszałamiającą, nasilającą twój strach mieszaniną zapachów, zapachy też wydały ci się ciepłe i delikatne, niewyraźne sylwetki jakichś budowli wznosiły się nad równo zakreśloną linią horyzontu, więc zacząłeś się bojaźliwie rozglądać, czując się bezbronny i nagi wśród tego bezmiaru, a dokoła nic się nie zmieniło, powietrze uderzało ci do głowy jak koniak, chciało ci się krzyczeć i płakać, upaść przed tym ogromnym światem i już nie wstawać, nie widzieć jego niebieskiego, delikatnego, straszliwego oblicza i wtedy znów zerwałeś się do biegu, biegłeś ku sylwetkom budowli, pytałeś siebie, co oznaczają te budynki, czy to jest to miasto, w którym urodziłeś się i przeżyłeś wszystkie te lata, ale w biegu pogubiłeś całą swoją dotychczasową wiedzę i jasność sądu, nie mogłeś pomieścić w sobie podniebnego kraju, a on, wtargnąwszy do ciebie, zmiażdżył twoje serce i wszystko, co widziałeś, słyszałeś i czułeś stało się teraz twoim śmiertelnym wrogiem, ratunku, krzyczałeś, a kto mógł cię usłyszeć na tym baśniowym bezludziu, wkrótce zgubiłeś dziurę, przez którą wypełzłeś na powierzchnię planety i teraz jedynym punktem orientacyjnym były dla ciebie ogromne, tak odległe od ciebie budowle, uciekaj, uciekaj, ponaglałeś siebie, a dźwięk głosu uderzał w twoje ciało i odskakiwał, aż wreszcie potrącił najwyższą strunę, a



Marek Zalejski

wtedy zatrzymałeś się i nadstawiłeś ucha, to był głos ludzki i w tym momencie oślepłeś i ogłuchłeś, chwyciły cię czyjeś ręce i znalazłeś się w pobliżu żółtego rozkołysanego płomienia, ognisko przypominało ten stojący w ogniu okręt czy statek, z którego sypali się do wody ustrzeleni bandyci, ale ludzie, którzy cię otoczyli, byli spokojni, żaden z nich nie zamierzał strzelać, ani gdziekolwiek skakać, przyglądali się tobie ze spokojnym współczuciem, ktoś masował ci nogę, ktoś podał ci szklankę, cześć, powiedzieli, cześć, odpowiedziałeś słabym głosem, no nic, najważniejsze, że złapałeś oddech, gnałeś tak, że nie mogliśmy cię dopędzić, kim jesteście, my to my, popatrz, wszyscy tu jesteśmy przed tobą, czego ode mnie chcecie, wykrzykniesz i nagle zrobi ci się gorąco przy ich ognisku, nieznośnie gorąco i zaczniesz mamrotać pod nosem: słyszałem o was, znam was, pasożytów, gwałcicieli Prawa ścigają po całej Ziemi, wyłapują i rozstrzeliwują na miejscu, ale oni tylko wybuchną śmiechem i zapytają kto wyłapuje, policja rzucisz im w twarz z nienawiścią i rozpaczą, was też wyłapią i rozstrzelają do nogi, daj spokój, zaczną przemawiać ci do rozsądku, żadnej policji tu nie ma, wylazłeś na wolność, to żyj sobie, możesz zostać z nami, bo miejsca na tym terenie wystarczy dla wszystkich, ale ty nie uwierzysz właścicielom ogniska, policja, wykrzykniesz pełnym głosem, policja, Prawo, policja, a oni już nie będą się śmiać, tylko ze współczuciem pokiwają nad tobą głowami, słuchaj, co się do ciebie mówi idioto, o niczym nie masz pojęcia, policja też jeździ metrem, za dobrze mieliby w policji, gdyby mogli oddychać świeżym powietrzem – ale ty, przemagając ból w stawach, zerwiesz się na równe nogi, odepchniesz któregoś z nich, nikt za tobą nie popędzi i nie usłyszysz słów rzuconych ci w ślad, i już bez strachu i rozpaczy, pewny ratunku zobaczysz jak wyrastają, piętrzą się nad tobą szare zwały budynków bez jednego okna, gmachów, które za to z dolnych kondygnacji wypuszczają długie rury, ciągnące się niczym cieniutkie naczyńka ku żyłom i tętnicom metra, zasilające je szybko wysychającą ludzką krwią, i ty niczym modlitwą do czarnego twego boga zaczniesz bez ustanku powtarzać: tylko dziesięć minut, dziesięć w tę i dziesięć z powrotem, za to spóźnienie odliczą mi dziesięć minut, tylko dziesięć minut...

Przełożył Tadeusz Gosk

umarł w bułach

Mówię ci, bracie, to było tak jakby piorun strzelił teraz tuż koło naszego stolika, albo jak wybuch małej komety. Błysk jaśniejszy niż salwa z dział laserowych. I cała nasza krypa stanęła dęba, dosłownie – wszystko sypało się, łamało, darło – nie widziałem dokładnie, ale czułem że stal skręca się jak ciasto na plecione bułeczki, a powietrze drga od żaru.

Wierz mi, stary, że nie spodziewaliśmy się niczego, absolutnie niczego. Właśnie przesiedliśmy się spokojnie z małego jachtu, wiesz, takiego tylko na przestrzeń śródksiężycową, do naszej starej balii, no i przenieśliśmy cenny ładunek; ciekawe, że te roślinki chcą rosnąć tylko na Ziemi, nigdzie indziej, a ludziska lubią stan wesołej nieważkości wszędzie, w całym kosmosie; więc ruszamy powoli krypą, liczymy kurs, rozgrzewamy silniki stopniowo, żeby który czasem nie wściekł się, wszyscy jesteśmy w różowych humorach i już planujemy na co przepuścimy szmal, ile, jakich dziewczyn i w jaki sposób załatwimy, a tu nagle... bach! Dałbym wtedy sobie głowę uciąć, że to peryferyjny Patrol tak się przyczaił i łup! – z działka pokładowego. Nawet zdążyłem chyba wtedy zacząć myśleć o kapitanie Hawkinsie, a nie muszę objaśniać ci, brachu, w jaki sposób o nim myślałem. Gotów byłem założyć się z każdym o kilo naszego białego proszku, że to on właśnie tkwił za sterami tej cholernej kononierki. Cóż, w rzeczywistości wyglądało to wszystko zupełnie inaczej.

Nie, na razie nie dolewaj, stary – chcę ci jeszcze opowiedzieć co nieco. A jest o czym, bo takich dziwów nie widziałem, a nawet nie słyszałem o czymś podobnym przez sześćdziesiąt lat mojego latania po wszystkich kątach wszechświata. No to było tak: błysk, wstrząs, katastrofa. Kiedyś przeżyłem trzęsienie ziemi, kiedy huśta się grunt, domy, ludzie i przestrzeń; tutaj było gorzej. Tutaj dzikie szarpnięcie darło powietrze, stal, tkanki ciała. To było jak nagła śmierć, tak brutalna i szybka, że ból jeszcze nie zdążył, bo zanim cię dopadł, nastał koniec.

Nie, bracie, przecież siedzę żywy i zdrowy! Nie chlej tyle, bo niedługo zniknę ci z twoich załzawionych oczu. Po raz wtóry nie usłyszysz podobnej historii. Mówiłem ci, że wszystko zostało starte na proch, ale bólu nie czułem. Tylko widziałem mgłę, jakąś wstrętną, żółtobrunatną, oślizgłą i lepką. Wyczuwałem, jak okleja mnie niby ciasto, i potem ktoś przetarł brudną, zapaćkaną szybę. Widziałem znowu korytarz, kajuty, jadalnię z barkiem; nawet sztuczna grawitacja działała, bo stałem normalnie na podłodze, całej i nienaruszonej, w tym samym miejscu co przedtem! Rozumiesz, stary! No, toś cholerna mądrala, bo rozumiesz więcej niż ja wtedy pojmowałem.

Rozejrzałem się szybko i sięgnąłem po spluwę, swoje piękne laserowe cacko, bo ktoś zbliżał się korytarzem. Szybko jednak zaniechałem obrony, która i tak nie miałaby żadnego sensu; zwykle za stawianie oporu siedzi się pięć razy dłużej. Że co? Czytałeś, no tak, oni wypisują różne rzeczy. Ale rzeczywiście, broni nie mieliśmy, tylko głupcy straszyliby bronią Patrol Kosmiczny. Ty wiesz, ile za to jest paki? W ogóle, to nie przerywaj, bo mi narrację zakłócasz tym swoim gadaniem.

Korytarzem przywlókł się nikt inny, tylko Gruby Lulu. Gdzieś ty się uchował, staruszku, że go nie znasz? To przecież największy cwaniak naszych czasów, zaraz po mnie, oczywiście. Wyglądał jakoś dziwnie, twarz napuchnięta, oczki jeszcze bardziej świńskie niż zwykle; chciał gadać, ale nie mógł gęby otworzyć. Potarł sobie usta pięścią, i wreszcie udało mu się. „Chodź coś zjemy – mówi. – Jak gliny mają przyjść, to i tak przyjdą". Nie mogłem zaprzeczyć temu słusznemu rozumowaniu i poszliśmy w kierunku wielkiej lodówki w barku, ale nie mogliśmy jej otworzyć. Zacięła się, psia mać. Były jeszcze automaty, ale nie mogliśmy znaleźć żetonów. Ani jednego! Sięgnąłem do kieszeni, gdzie zawsze nosiłem kilka, no i zgadnij, co stwierdziłem? Stawiam następną flaszkę za dobrą odpowiedź! Ee, sfinksa to ty nie przypominasz nawet z wyglądu, chyba żeby ci odstrzelić... Że sfinks? Czy to ważne stary, ważne że była zagadka, ale z ciebie mądrala, uważaj, bo przeholujesz. Wracając do tematu: chciałem wyciągnąć żetony, macam kieszeń, ale jej nie ma! Proste spodnie, gładkie, nigdy tam kieszeni nie było. Cholera, czy mam na sobie inne ubranie? Ale nie, kurtka ta sama, szpetnie poplamiona z przodu.

Jeść się chciało coraz bardziej, wróciliśmy więc do lodówki. Lulu zaparł się z całych sił, ale teraz drzwi otworzyły się bez trudu, tak że Gruby aż poleciał do tyłu. Rzuciliśmy się do środka, a tam – ee, i tak byś nie zgadł, choćbyś próbował całą wieczność. Coś jakby kula rozgniecionych klusek, jakaś rozbabrana breja, a niżej, wprost na szkle półki – żółtko! Normalne żółtko, sam środeczek jajka w swojej ślicznej, nieuszkodzonej błonce. Szlag by cię nie trafił?

Siedzimy z Lulu głodni i źli, uważasz, no bo czym się tu weselić? Gliny lada chwila zakują nas w łańcuszki i wsadzą do przechowalni, dziwne że tak długo ich nie ma. Pewnie węszą po krypie, a z nami nie ma gwałtu, i tak nigdzie nie drapniemy. Pośpiech to oni wykazują tylko przy braniu łapówek, a tak to pełny relaks. Chlapnij mi jeszcze ciupkę na rozgrzewkę, bo teraz opowiem ci rzeczy, o których nie tylko że nie słyszałeś, ale jeszcze będziesz o tym ględził swoim wnukom, a oni gały będą wyrapalać! Tak, bracie! No więc siedzimy z Lulu, dołączył jeszcze do nas Muł (skrzyżowanie konia z osłem, uważasz, czyli siły z głupotą), no i tak sterczymy przy pustym barze, a tu wchodzi babka. Ale jaka! Ptyś z bitą śmietaną! Uśmiechnięta od ucha do ucha, puszcza oczka, już wymyta i pachnąca, ma na sobie ze trzy szmatki, a tak to goła! Myślałem, że spadnę ze stołka, jeść mi się odechciało, a po brzuchu zaczęły latać mrówki. Ha, ha! Wytrzyj sobie gębę, bo ci ślina idzie! Mnie też szła. Zaraz przyszły jeszcze dwie, mówię ci, fantazja, jedna to miała biust jak zapasowe zbiorniki na ropę w rudowęglowcu, ale ta pierwsza była najlepsza. Wziąłem ją do kabiny i było fantastycznie, ba, niebo uchyliło się na moment. Jedno było dziwne – przez cały czas ona nic nie mówiła, milczała jak zaklęta. Uśmiechała się, całowała, ale nie wydała żadnego dźwięku. I wtedy spostrzegłem, bracie, że ona nie oddycha!

Wybiegłem z krzykiem i już widziałem się daleko za kratkami, wsadzony za gwałt i mord na tle erotycznym. Do licha! Nie mogłem zrozumieć (i właściwie dotychczas nie bardzo rozumiem, choć wiele się wyjaśniło), po jakiego diabła pchałem się w to wszystko. Tuż po ostrzelaniu naszej krypy przez Patrol i na chwilę przed aresztowaniem – zachciało ci się, głupcze! No tak, bracie, tu zaczęły się dziać cuda. Ona wyszła za mną, jak gdyby nigdy nic, z tym swoim uśmiechem przylepionym do warg. Ot, tak sobie wyszła! Myślałem, że nabierała mnie przedtem z tym oddychaniem, uważasz, i wściekłem się. Wyrżnąłem ją, rozumiesz, w pysk. Niech wie! Ale ona nic, zafalowała tylko, lecz nie tak zwyczajnie, po ludzku, tylko jakby... no, coś jak odbicie w wodzie na falach albo jakby wpadła w mgłę – nie wiem, jak ci to opisać. Trwało to jak mgnienie oka, chwilkę – a przez ten czas nie przestała uśmiechać się zalotnie. Do diabła, pomyślałem sobie, bracie, coś z tobą nie tak. Sprawdziłem, czy nie mam gorączki i czy puls czasem nie jest za szybki. Lecz czoło miałem chłodne, a pulsu... nie było wcale!

Rozumiesz, bracie? Ty nic nie rozumiesz. Serce mi stało, a ja żyłem, oddychałem, chodziłem, kochałem się! Zawsze uczono mnie, że bez serca ani rusz. To zupełnie tak jak na filmie z czasów, kiedy byłem smarkaczem: przychodzi różowe prosię w aksamitnym czarnym kapelusiku, macha koronkowym wachlarzem i poruszając się z gracją tancerki z burdelu mówi słodko „dzień dobry". Tam do licha! Żaden z nas trzech nie wyczuwał swojego pulsu. Było mi głupio, jakby nabijano mnie w butelkę. A tego, stary, nie znoszę. Ktoś najwyraźniej kpił sobie z nas. Ale kto i po co? Gliny? Komu chciałoby się urządzać taki cyrk? A nawet jeśli, to jak wywołać takie przywidzenia?

Tymczasem nasze cizie wniosły czekoladki i wódkę. Pal sześć, niech już nie oddychają jak nie chcą, ale taki zestaw? Mieliśmy chęć na schaboszczaka, a nie na słodycze jak dzieciaki. Kiszki marsza nam grały! Lulu, przeklinając,


Mateusz Stryjecki

znowu szarpnął drzwi lodówki. A tam, kapujesz, pełno żarcia! Na dole na szklanej półce kopa jaj, u góry chleb, dalej szynka, jarzyny i ciasto! Było nawet piwo. Wyżerka nie z tej ziemi!

Zjedliśmy, bracie zakropiliśmy. Humory były różowe. Co te gliny z nami wyrabiają? Byliśmy już gotowi do wyjścia. Zaspokojeni, najedzeni, podpici – gdzie tak dbają o więźniów? Wtedy poczułem, bracie, że puls bije mi w skroniach! Widocznie alkohol był potrzebny, abym mógł wyczuć akcję serca. Tak to wtedy sobie tłumaczyłem. Zachciało mi się muzyki, ale nie potrafiłem uruchomić radia. Klawisze aparatu tworzyły zwarty prostokąt z cienkimi czarnymi liniami, które miały oznaczać przerwy między przyciskami. Ale nie było tam żadnej szczeliny i nic nie dało się wcisnąć ani na milimetr! I wtedy, stary, słuchaj uważnie, co wtedy: prostokąt zaczął pękać wzdłuż tych kresek, z równomierną szybkością tworzyły się szczeliny między klawiszami. Kiedy rozstępy zniknęły we wnętrzu aparatu, bez trudu wcisnąłem klawisz, lecz radio nie grało. Wiesz co, bracie? Ono włączyło się po chwili samo, jakby namyśliło się w końcu!

Widzę, mój stary, że nie wierzysz w to wszystko. No cóż, twoja sprawa. Nikt mi nie wierzy, ale muszę czasami o tym mówić. Czuję, że to ważne. Grubemu Lulu ani Mułowi też nie wierzą, a szkoda. Kiedyś ludzie wspomną nas i naszą historię.

Bracie, teraz dopiero oczy wylezą ci na szypułki ze zdziwienia. Więc najpierw usłyszeliśmy jakieś bełkotliwe, wstrętne głosy, od których ściany zdawały się drżeć. Dźwięki te rozsadzały czaszkę, wypychały oczy z orbit. Ucichły równie gwałtownie, jak nastały. I wtedy weszło różowe prosię w aksamitnym kapelusiku.

Bracie, to był szok! Stanąłem jak zbaraniały i uszczypnąłem się tak silnie, że aż zawyłem. Ale prosię ani myślało zniknąć, tylko uśmiechało się najpierw głupawo, później zaś coraz przymilniej. Skąd się tu wziąłeś? – zapytałem tak, jakbym rozmawiał ze swoim dzieciństwem. Różowa świnka wydała serię nieartykułowanych dźwięków, normalny bełkot, w którym rozpoznawałem tylko jakby zarysy słów. Lulu i Muł po pierwszym szoku wybuchnęli śmiechem, rechotali jak głupcy. Wtedy prosię uciekło, wymachując koronkowym wachlarzem. Byłem cały mokry z wrażenia, bracie, ale nie pobiegłem za nim.

Chciałem napić się kawy, sięgnąłem więc po żeton do kieszeni. W tym samym momencie przypomniałem sobie, że przecież mam inne spodnie – ale kieszeń była na swoim miejscu, i to pełna żetonów! Nic już nie rozumiałem z tego, stary, i nawet nie próbowałem; ty pewnie zrobiłbyś to samo. Aromatyczny płyn parzył mi gardło, kiedy rozległ się ostrzegawczy krzyk Muła. Wszedł mundurowy.

Instynktownie wcisnęliśmy się w kąty, chociaż to było bez sensu, bracie; ale tak już reaguję, że pcham się w cień gdy pojawi się glina. Alergia, uważasz. Ale ten uśmiechał się szeroko, mówię ci, jakby go wycięli ze zdjęcia ślubnego. Zaczął nawijać, ale tak niewyraźnie, że prawie niczego nie zrozumieliśmy. Były tam chyba słowa „wypadek", „przestrzeń", „miłość" i „wódka", ale nie ręczę, że dobrze rozpoznałem ich znaczenie wśród tego bełkotu. Najdziwniejszy z tego wszystkiego był jednak fakt, że policjant po chwili odszedł. Nie aresztował, nie założył kajdanków, po prostu odwrócił się i poszedł sobie, bracie! Tego już było za wiele. Zrobiło mi się słabo, chyba po raz pierwszy w życiu; Muł wybuchnął histerycznym śmiechem. I ty byś wysiadł, bracie, nie udawaj. To była za duża dawka. Albo myśmy, stary, dojrzeli do odbierania prawdziwych wrażeń. Bo wszystko wokół komplikowało się stopniowo, nawet gładki dotychczas blat baru pokrywał się siatką rys i drobnych


Marek Zalewski

zadrapań, pojawiła się też dziura wypalona przeze mnie rok temu niedopałkiem papierosa. Kapujesz coś z tego? To normalne, nie przejmuj się. Mnie dobrze opowiadać, jak znam zakończenie. Chociaż w zasadzie powinieneś już łapać wątek.

No i potem weszła ta staruszka, od której dowiedzieliśmy się wszystkiego. Mówiła po ludzku, choć bełkotliwie. Potem szło jej coraz lepiej. Wiesz, co nawijała? Że ona jest z okolic Kasjopei. No to taka gwiazda, daleko jak wszyscy diabli. I że właśnie wynurzała się z którejś tam podprzestrzeni, będąc na małej wycieczce. Traf chciał, że wlazła w nasz świat w tym samym miejscu, w którym szykowaliśmy się do odlotu. Dobra, dobra, ale z jej strony widać było tylko zarysy większych planet, a nie takie kruszyny jak nasza krypa. Nie, takie pyłki na drodze jej nie szkodziły. To tak, brachu, jakby łódź podwodna wyszła nagle z zanurzenia pod łupiną kutra rybackiego. No i rozlecieliśmy się! A ponieważ staruszka nie lubiła – do licha, ta staruszka przypominała mi kogoś od początku; teraz jestem pewien, że to była moja prababka! – więc ona nie lubiła psuć i zostawiać, zwłaszcza nie zwykła tego czynić z materią ożywioną, podobnie jak oświeceni ludzie nie rozdeptują jaszczurek i nie łamią drzewek. Nas z krypą już nie było – pary i popioły rozwiały się szeroko po kosmosie. Ale babcia umiała wyłowić nasz obraz, przeźrocze naszego istnienia, z jakiegoś promieniowania reliktowego czy czegoś podobnego. Nic się nie martw, ja też za dobrze nie wiem, co to znaczy. Ale to mądre, a więc słuszne. Tak na zdrowy chłopski rozum, tłumacząc po ludzku, to wszystko, bracie, wydziela promieniowanie; i ty też, stary, świecisz na różnych długościach fali. My swoimi oczkami rejestrujemy tylko kształty zewnętrzne, ale w tym świeceniu zawarta jest, brachu, pełna informacja o obiekcie, trzeba tylko umieć ją odczytać. Cóż więc prostszego, jak dogonić jeden z naszych obrazów, których nieskończony szereg pędzi do nas w przestrzeń, i wyłowić z niego odpowiednie dane? Babcia (to była nie byle jaka baba!) dała tylko nura przez podprzestrzeń i przewracała, rozumiesz, w naszych wizerunkach jak w książkach na półce, grzebała jak w przeźroczach w kasecie! No i wybrała sobie nasz ostatni obraz, taki graniczny, i według tej matrycy zreprodukowała. Trochę to trwało, ponieważ odczytywanie reliktowe jest pracochłonne, konstruowanie przebiegało więc, bracie, stopniowo. Potem dobra kobieta chciała nas utrwalić, czyli po naszemu nakarmić i napoić, ale nie bardzo wiedziała, jak się do tego zabrać. No to wyszukała – nie, już nie dolewaj – wyszukała w naszych mózgownicach co silniejsze pragnienia i zaczęła je zaspokajać, oczywiście nie mając pojęcia, które są najpilniejsze. Nie zaprzestawała także powolnej rekonstrukcji szczegółów. A na końcu zapragnęła opowiedzieć nam o całym zdarzeniu, musiała więc przybrać sympatyczną dla nas postać i nauczyć się gadać po ludzku. Zdolna baba, co nie?

Bracie, wiem że nie wierzysz ani jednemu słowu, ale ja cię przekonam. Babcia sknociła robotę i pojechała do diabła, no i tak już zostało. Będę żył jeszcze dwieście lat, to gwarantowała, ale przez ten cały czas nie zdejmę butów i chyba w końcu w nich umrę. No bo ta baba zmontowała mnie z butami na stałe. Są po prostu, staruszku, przyrośnięte do nogi. Ale przywykłem, choć nie myć nóg przez dwieście lat to... ja wiem, czy zdrowo? Stary! Śpisz już? No tak, nikogo to nie interesuje, ale oni stamtąd jeszcze kiedyś przylecą. Przyjmuję każdy zakład!

Andrzej ZIMNIAK

ur. 1946 r.) dr inż. chemik, absolwent Politechniki Warszawskiej – pracuje na uczelni jako specjalista w Instytucie Chemii i Technologii Organicznej. Debiutował w 1980 r. w Tygodniku Studenckim „Politechnik" opowiadaniem „Pojedynek". Publikował teksty SF w „Młodym Techniku", „Problemach", „Odgłosach", „Kalejdoskopie". Pisywał także felietony satyryczne. Nie dzieli literatury na piękną i SF, tylko na dobrą i złą. Przygotowuje zbiór swoich opowiadań dla wydawnictwa książkowego.

John z napięciem wpatrywał się w odbiornik. - Jak dawno Dole dotarł tutaj?

- Około siedmiu godzin temu. Ale teraz już go nie ma. Przed odlotem nalegał na natychmiastowy powrót na planetę od Do Hana, kiedy już... kiedy już skończymy z tym wszystkim.

John spojrzał w oczy Hohdańczyka. - Bart - powiedział do mikrofonu. - Opowiedziałem Vezowi o kobietach. Teraz jest naszym sprzymierzeńcem.

Po dość długiej przerwie Bart odezwał się ponownie, jego głos wyrażał zaskoczenie i niezadowolenie: - No, cóż... A Cole poleciał ciebie szukać. Właściwie powiedział mi, żebym poszedł do diabła, kiedy usiłowałem go tu zatrzymać i wysłać kogoś innego. Powiedział, że dał Pełnemu Samcowi słowo i za żadną cenę go nie złamie. Musieli go nieźle nastraszyć na Akielu.

Johnowi zakręciło się w głowie, poczuł gwałtowny skurcz żołądka. - Cole słusznie jest przerażony - rzucił. - Bart, do licha! Przecież w tej chwili wszystko zależy od Omniarcha. Słuchaj! Wchodzimy na pokład. Przez ten czas roześlij wezwanie do wszystkich ludzi. Niech przybywają tu natychmiast! W pierwszej kolejności skoczymy na planetę otrzymaną od Hohd! Musimy zabrać całą nagromadzoną tam amunicję. Potem popędzimy na ratunek Omniarchowi. Czy Pełny Samiec z Akielu mówił coś o pomocy ze swojej strony?

- Tak. Powiedział, że prześle wystarczającą ilość Chelki-wojowników, by obsadzić małe statki i techników. Sam również przyleci, jeżeli zawiadomisz go dokąd.

- W porządku. Wydawaj dyspozycje ludziom na Akielu, żeby zabrali ze sobą Pełnego Samca.

Hohdański statek cumował już do Berty, lecz John zadecydował, że szybciej będzie przejść przez luk do wnętrza statku. Kiedy niecierpliwie czekali na zatrzaśnięcie pokrywy luku i wypełnienie hangaru powietrzem, Vez zapytał z nagłym zainteresowaniem: - Johnie Braysen. Gdzie jest ta planeta, którą Vul obserwują?

- W waszym regionie. Zaledwie kilka dolek w null od planety, którą nam daliście.

- A więc - Vez westchnął z niedowierzaniem - cały czas mieliśmy ten statek Klee w zasięgu dłoni i nawet o tym nie wiedzieliśmy. No cóż, towarzyszu. To z jednej strony upraszcza sprawę, skoro Vul wpakowali się w nasz region. Choć z drugiej strony może mnie wepchnąć w grzęzawisko nielojalność wobec poleceń władz. A, niech tam! Zrobię to, jeżeli chcesz. Sprowadzę moją gwardię osobistą. Trzydzieści doskonale wyposażonych statków, chociaż żaden z nich nie przekracza wagą lekkiego krążownika. Spotkamy się z wami w miejscu, które wskażesz. Wprawdzie biorąc pod uwagę ostatnie dyrektywy mogę potraktować tych Vul jak piratów. Ale mogę ich sprowokować i zmusić do jawnego ataku. A potem dopiero uderzyć!

- A dlaczego - spytał John - nie miałbyś po prostu wysłać telegramu? Spiszę ci współrzędne.

- Wspaniale! - Vez obrócił się ku pulpitowi.

Światełko na tablicy rozdzielczej pokazało, że ciśnienie na zewnątrz i wewnątrz statku jest jednakowe. Człowiek i Hohdańczyk wyszli ze stateczku, ruszyli w stronę korytarza, mającego doprowadzić ich do sali Centralnego Sterowania. John zatrzymał się nagle. - Vez!

- Co się stało?

- Jeśli dojdzie do walki w pobliżu planety, możemy przypadkowo trafić Omniarcha!

Vez otworzył dłoń na znak potwierdzenia. Spytał:

– Czy to jest planeta umożliwiająca życie organizmom białkowym?

– W bardzo małym stopniu. Sucha i uboga w tlen.

Vez zastanawiał się przez chwilę. – Cóż – powiedział wreszcie. – Myślę, że to ty będziesz dowodzić. Byłeś tam już poprzednio. I chodzi tu o twój gatunek...

Luna pomknęła w hiperprzestrzeń. John i Vez woleliby wprawdzie być w tej chwili na pokładzie Berty, której cudowne instrumenty wcześniej pokazałyby im rozlokowanie oddziału Vul. Obaj woleli jednak uniknąć zobaczenia Berty przez gwardię Vez Do Hana. To mogłoby zagrozić ich świeżo zawartej umowie.

John pocił się myśląc, jak poradzi sobie z walką wokół suchej planety. Nie sądził, że Vul przystąpią do walki bez wahania. Uważał raczej, że przede wszystkim zdecydują się na ucieczkę, skoro tylko Luna i Uzbrojone Zwiadowce wyłonią się z null. Musieli do tej pory zorientować się, że statki ich własnego projektu i konstrukcji należały do zbuntowanych Chelki. Ale jaki skutek przyniesie zobaczenie przez Vul tych ukadzionych im statków w towarzystwie floty Hohd? Przelotnie zerknął na spokojną twarz Veza. Skoro Hohdańczyk tym się nie martwił, to on chyba też nie powinien zbytnio się przejmować.

Ważniejsze było co innego. Gdzie na tej jałowej planecie mógł ukrywać się Omniarch? Na pewno nie w pobliżu ogromnej wyrwy uczynionej przez wychodzącą Bertę. To przecież byłoby prawie jak samobójstwo – do tej pory Vul na pewno zdążyli przeszukać całą dziurę i jej okolice kilkanaście razy. A jeśli przy tym odgadli, co za statek tam spoczywał, to będzie gorąco. Na dobrą sprawę musieli już domyślić się wszystkiego, skoro nawet Vez odgadł całą prawdę na podstawie jednego raportu. Gdyby znalezienie kryjówki Omniarcha zajęło zbyt wiele czasu, całe floty Vul mogłyby się wyłonić z null dookoła planety. Vulmot z całą pewnością gotów będzie zaangażować się w totalną wojnę z Hohd, skoro tylko ich wywiad doniesie, że stawką jest spuścizna po Klee. A John doskonale pamiętał, że Vulmot nie prowadził wojen opieszale. Pamiętał owe chwile obezwładniającej rozpaczy, kiedy nagle cała przestrzeń dookoła ziemskiej floty rozjarzyła się błyskami vulmotańskich statków bojowych. Pamiętał swoją beznadziejną świadomość nadchodzącej śmierci i tę jedną, jedyną szansę. Właściwie ułamek szansy, który pozwolił mu wmieszać się we flotyllę wroga na całą wieczność trwającą dwie i pół minuty. To wprowadziło chwilowy zamęt we flocie Vul, co z kolei pozwoliło statkowi Johna na naładowanie i ucieczkę w null po wystrzeleniu ostatniej salwy. Działo się to już w czterdzieści osiem godzin po Zagładzie, a Vul nadal tropili resztki ziemskiej floty. Tutaj mogli okazać się równie bezwzględni. Na szczęście przynajmniej Bart Lange i kilku mężczyzn było bezpiecznych na Bercie. Bezpiecznych, ale bez absolutnie niezbędnej ludziom informacji, którą dysponował jedynie Omniarch.

John spojrzał na Pełnego Samca z Akielu, wspartego mocno na swoich czterech szeroko rozstawionych nogach, zaciskającego swe wielkie dłonie w pięści przyciśnięte do beczkowatego korpusu. Chelki miał szyję sztywno wyprostowaną, zaś oczy utkwione w chronometrze. W tym samym, który i John obserwował kątem oka. Zbliżało się wynurzenie.

Wyjście!

John natychmiast zapomniał o swoich wątpliwościach, jego oczy z ekranu przeskakiwały na detektor masy i z powrotem na ekran. Liczył statki. Nie były to jego własne uzbrojone Statki Zwiadowcze, ani też żaden ze statków Vez Do Hana. Te miały się dopiero wynurzyć za kilkanaście sekund, aby Johnowi dać czas na wykrycie wroga. – John! – krzyknął Vez. – Ten jest już w zasięgu teleskopu. Poznaję tę klasę!

John znalazł czas na wykonanie znaku otwartej dłoni. Potem obie jego ręce zaczęły biegać po klawiaturze, programując pierwsze dane i polecenia dla reszty sił jego i Veza. Na pewno i pomiędzy statkami Vul już nawiązano łączność, wydawano rozkazy. Jak do tej pory John po tej stronie planety dostrzegł i zlokalizował wszystkie małe statki Vul. Z interkomu dobiegły go teraz pomieszane głosy Coultera, Damiano i Ralfa Cole'a: „Kontakt teleskopowy z krążownikiem Vul. Może mieć dwadzieścia ciężkich pocisków, ze dwa razy tyle lekkich, cztery lasery i co najmniej cztery miotacze..." „Jest już ponad atmosferą..." „Statek dowodzący prawdopodobnie jest gdzieś za planetą..." „Cisza radiowa! Tak samo jak my używają promieni!" „Jak dotąd nie widać, żeby..."

Kolejne dwa błyski, potem trzeci, pojawiły się na ekranach wyłaniając się spoza krzywizny planety i dołączyły się do lekkiego krążownika. Trzeci błysk był największy. Zapewne był to statek dowodzący – szkarłatny. Z obumarłych drzew, które widzieliśmy po Zagładzie, nie zostało ani śladu. Oczywiście, to ogień musiał wkrótce dokończyć dzieła zniszczenia. – Przerwał patrząc na prosty domek, w którym mieszkał teraz (siedzieli na łące popijając miejscowe, eksperymentalne piwo – był to zupełnie udany eksperyment).

– Byliśmy tacy pewni, że całe życie zostało zmiecione z powierzchni Ziemi. Ale parę nasion czy zarodników musiało ocaleć. Być może były gdzieś głęboko w ziemi lub leżały zamarznięte w polach lodowych, gdzie promieniowanie ich nie dosięgło. I potem niektóre z nich wykiełkowały – wypił parę łyków piwa. – Nadal za to nie rozumiem, jak było z morzami, może jakieś formy życia przetrwały w głębinach, do których nie dotarły zabójcze związki chemiczne, albo w mule. W każdym razie morza Ziemi obfitują w mikroskopijne organizmy roślinne, które przywracają tlen atmosferze w zdumiewającym tempie. Myśląc kategoriami geologicznymi, oczywiście.

– Jaki jest teraz procent? – zapytał Vez.

– Ponad czternaście. Najwidoczniej nigdy nie było poniżej dziesięciu.

– Moglibyście tam teraz zamieszkać? – Tak sądzimy. Ale nie miałoby to sensu, gdyby nie można było szybko zwiększyć zawartości tlenu w powietrzu. I będziemy musieli przetransplantować trochę drzew i trawę, i inne rośliny, a do rzek i jezior ryby i inne stworzenia.

– A co z morzami? Czy zawierają jeszcze za wiele substancji radioaktywnych?

– Nie. Większość tego już zniknęła. A więc będziemy potrzebowali także morskiej fauny, jeśli znajdziemy jakieś gatunki mogące się zaadaptować.

Vez siedział, uśmiechając się przez chwilę. – Cóż, czy macie już jakieś plany tej akcji?

– O tak. Właściwie rozejrzeliśmy się już w rejonie tego ramienia spirali. Myślimy, że znaleźliśmy parę odpowiednich gatunków. Na przykład, niektóre drzewa z tej planety i parę gatunków zwierząt z łatwością przystosowałoby się do ziemskich warunków. Przy okazji następnej wycieczki na Ziemię weźmiemy kilka na próbę...

Vez westchnął: – Czy odwiedziliście któreś z mniejszych imperiów w dalszej części ramienia? Mam na myśli miejsca, gdzie statki zwykle się zatrzymywały. Ośrodki handlowe i rozrywkowe...

– Wstąpiliśmy do kilku. Wiele z tych, dawniej pełnych życia światów, przestało istnieć. Ta wojna... – przerwał na chwilę. – Zajrzeliśmy nawet do Drongail. Z czystej ciekawości. Teraz to po prostu kupa gruzu. Nigdzie nie rośnie nawet gałązka dronu.

Vez uśmiechnął się. – I jakie to wywarło na tobie wrażenie?

John przechylił się i ramieniem objął siedzącą obok Lizę.

– Było mi to zupełnie obojętne. Naprawdę.

Koniec

XXIV

Berta krążyła wokół spokojnie wyglądającej planety od kilku godzin - w dużym oddaleniu, by nie straszyć mieszkańców - kiedy Vez Do Han powrócił w małym statku, którym uprzednio zszedł na dół. Opowiedział im szczegóły zdarzeń, o których zajściu wiedzieli już wcześniej.

- Ledwie mogłem się z nimi porozumieć - powiedział. - Akcent zmienił się bardzo. Mogłem natomiast odszyfrować pismo. Mają starożytne dzieła ryte na nie zniszczalnym metalu, co uchroniło je przed osadem. I trochę zdołałem dowiedzieć się z legend.

- Jak dawno to było? Czy wiedzą? - spytał John.

- Próbowałem zdobyć choć przybliżone dane i sądzę, że jedenaście lub dwanaście tysięcy lat temu. Ale mogę się mylić. Nawet nie byli zdziwieni, widząc mnie. Zdaje się wierzą, że kultura ich przodków była międzygwiezdna i jej część może nadal istnieć. Nie próbowałem nawet wyjaśniać, że przybywam z dalekiej przeszłości i niektórzy z nich mogą być moimi potomkami - zdobył się na słaby uśmiech. - I nie jestem w takiej złej sytuacji, w jakiej wy kiedyś byliście sądząc, że wszystkie wasze kobiety zginęły. Nasze kobiety, tam na dole, wyglądają zdrowo i przyjaźnie.

John wpatrywał się w podłogę. - No, cóż. Czy zamierzasz pozostać z nimi? Na pokładzie jest dużo urządzeń, które należą do ciebie, nie mówiąc już o samym statku! Oczywiście, mogą znaleźć się inne światy hohdańskie bardziej przygotowane do ich używania.

Vez westchnął: - Myślę, że nie. I nawet nie jestem pewien, czy chciałbym wprowadzić technikę ery podróży kosmicznych i technikę Klee w świat istot, które dopiero wchodzą w epokę maszyn. Będę musiał się nad tym zastanowić - znów się uśmiechnął. - Czy będziecie mieli coś przeciwko temu, żebym na razie z moimi czterema ludźmi został u was?

- Oczywiście, że nie! Większość z nas osiądzie na planecie, którą dałeś nam kilka tysięcy lat temu. Przynajmniej na pewien czas. Ale co z Bertą? W końcu jest twoja...

- Na razie nie wiem, co postanowię, Johnie Braysen. Niech będzie wspólna, dobrze? Powinniśmy jeszcze zrobić kilka wycieczek.

- Zobaczyć, czy imperium Vul nadal istnieje, czy tak? Albo inne kultury kosmiczne?

- Właśnie.

John rozmyślał przez chwilę, potem podniósł głowę. - Jest jeszcze jedno miejsce, które chciałbym odwiedzić na końcu - powiedział cicho.

Vez uśmiechnął się. - Mam wrażenie, że myślisz o Ziemi.

Berta nie opuszczała zielonej planety przez prawie cały tamtejszy rok, niewiele dłuższy od roku ziemskiego. Potem odbyli dwustugodzinną podróż, w wyniku której zdobyli pewność, że sytuacja w byłym imperium Vulmot jest taka sama, jak w Hohdanie. Również i Bizh spotkał podobny los. W sumie na obu ramionach spirali istniało zaledwie kilka kultur kosmicznych, ale nie były one wojowniczo nastawione.

Napotkali ślady - w większości przypadków prawie zatarte - straszliwej wojny międzygwiezdnej przynajmniej dziesięć tysięcy lat temu, która wszystkie kultury kosmiczne w tym sektorze galaktyki wyniszczyła i cofnęła do półprymitywnego poziomu. Ale nie istniał żaden sposób zdobycia dokładnych informacji na ten temat.

Zrobili także kilka krótszych wycieczek. Z jednej z nich Vez przywiózł uroczą, miłą i słodką Hohdankę o imieniu Frezelia. W końcu po upływie półtora roku od osiedlenia się w tym miejscu, John z Bartem Lange, Louisem Damiano, Ralfem Cole i kilkoma nieżonatymi mężczyznami oraz z Lizą Duval odwiedzili Ziemię.

Z rozmaitych powodów John zobaczył się z Vezem dopiero w rok po wyprawie. Vez był ciekawy, w jakim stanie znajdowała się Ziemia.

- Cóż - odpowiedział John - z początku po prostu osłupieliśmy, chociaż teraz już trochę rozumiemy. Nie chodzi o to, że powietrze i gleba po tak długim czasie przestały być radioaktywne. Wydawało się niemożliwe, żeby na tej planecie mogło istnieć jakiekolwiek życie. A jednak tam są rośliny. Widzieliśmy dywan z czegoś przypominającego mech, który pokrywa wszystko. Miejscami jest zielony, a miejscami

prawdopodobnie klasy nave, tak samo jak Luna. I nagle w ciągu kilku sekund kula detektora masy cała pokryła się błyskami. John przez moment obserwował je z niepokojem, potem odprężył się. To były jego własne statki.

Po pięciu czy sześciu sekundach wszystkie błyski, oznaczające statki Vul, zniknęły.

John uderzył w klawisz interkomu. - Wszystkie jednostki! Zaprogramować układ pościgowy! Użyć sensorów i własnych oczu też. Nie wiemy, czego szukamy, ale nie przeoczcie niczego!

Błyski zatańczyły, kiedy niewielka flotylla i siły Vez Do Hana zaczęły otaczać planetę.

- Damiano?

- Tak, sir.

- Wysyłaj do Barta Lange falę co pięć minut. Podawaj mu wszystkie dane, jakie tylko zdołamy zgromadzić.

- Tak jest, Komandorze.

John westchnął. Dopiero teraz zacznie się najgorszy, pełen niepokoju okres oczekiwania. Vul oczywiście mogą tylko podejrzewać, że Omniarch jest tutaj, ale jedno wiedzą na pewno. Że ta pusta planeta musi być warta walki. Ile czasu zajmie ich dowódcy podjęcie decyzji? Gdzie znajdowali się jego przełożeni, mogący nakazać mu walkę? Czy w ciemnej przestrzeni o pięć minut drogi stąd, czy może o kilka godzin, już w rejonie Vulmotu? I - jak długo potrwa odnalezienie Omniarcha, o ile, oczywiście, udą się im go odnaleźć.

Okazało się, że John nie docenił starego Chelki. Zaledwie zdołano otoczyć planetę i wymienić potrzebne informacje, kiedy odezwał się męski głos: - Tu numer Osiem. Widzę błysk wyglądający jak światło latarni morskiej. Około trzydziestu mil na lewo ode mnie. Jestem jeszcze na linii terminatora. Zdaje się, że światło unosi się na jakieś sześć lub siedem stóp ponad powierzchnią planety.

Równocześnie para statków Veza przekazała analogiczną wiadomość. John wykrzyknął: - Trzymaj go, numer Osiem! Ale ostrożnie. - Po chwili powtarzał to samo polecenie po hohdańsku.

Po kilku minutach numer Osiem odezwał się znowu: - Złapałem słabą falę dźwiękową z powierzchni planety. Myślę, że to Omniarch!

John, Bart, Vez, Omniarch i Pełny Samiec z Arielu siedzieli w sali Centralnego Sterowania na Bercie. Omniarch wyglądał na wcale nie wzruszonego tym, że prawie cudem został niedawno uratowany.

- Mogło mi starczyć tlenu jeszcze na 10 do 12 godzin, gdybym nie był zmuszony do galopowania z miejsca na miejsce. Wykopałem sobie jamę w ścianie wyschniętego koryta rzeki. Miałem tam dwukierunkowe radio, trochę biszkoptów i pojemnik z wodą. I oczywiście ten przyrząd zdalnej kontroli Klee. Ostatnio miałem czas dowiedzieć się nieco więcej o tej starej technologii. Udało mi się odczytać pisma Klee dość dokładnie, więc w efekcie mogłem wywołać błysk i wybuch. Gdybyście nie dostrzegli pierwszego, użyłbym drugiego sposobu. - Omniarch spojrzał prosto w oczy Vez Do Hana. - Nie oczekiwałem tak miłej mi obecności znakomitego Dowódcy Przestrzennego Zjednoczonych Sił Hohdańskiej Floty i jego małej gwardii.

Vez słuchał opowieści Omniarcha ze spokojną twarzą, tylko po jego oczach można było poznać wewnętrzne zmagania. Zapytał:

- Czy na tej planecie znajduje się duża ilość dzieł Klee?

Omniarch poruszył lekko głową z widocznym rozbawieniem.

- Rzeczywiście tak jest, przyjacielu i czasem wspólniku. Jak do tej pory spisałem dodatkowo dwieście czternaście oprócz tych, o których wiedziałem uprzednio. Zastanawiam się, czy zechcecie mnie poinformować, do jakiego porozumienia doszliście. Sądzę, że musi tak być, skoro jesteście tu razem.

- Tak - Vez uczynił znak otwartej ręki. - John obiecał oddać mi ten statek, kiedy już osiądzie z ludźmi i kobietami na swojej planecie. Ryzykuję wiele, ale stawka jest tak ogromna...

- Wnoszę, że jeszcze nie masz poparcia swego imperium. Dlatego wybacz, że mimo tej świadomości ośmielę się poprosić cię o coś więcej. Moje plany znalazły się w stadium kryzysu, co zmusiło mnie do przewidywanych, ale wcale nie pożądanych posunięć. Teraz chodzi o cały mój gatunek zbuntowany przeciwko Imperium Vulmot. Ciąży mi straszliwa pewność, że wiele z nas zginie. Tylko część zdoła

sobie wywalczyć tymczasową wolność i dotrzeć do miejsca, skąd (jak wszystko udało mi się dobrze obliczyć) mamy szansę dotrzeć do miejsca absolutnego bezpieczeństwa. Mówię o liczbie lat świetlnych rzędu setek milionów... - podniósł po kolei każdą ze stóp. - Powodzenie naszej ucieczki będzie zależało od szybkiego przewozu i eskorty statków wojennych. Koniecznie potrzebuję pomocy i o to właśnie was proszę, Johnie Braysen i Vez Do Hanie.

W głosie Veza zabrzmiał lekki ton obelgi czy urągania:

- Dlaczego, szanowny Omniarchu, akurat ja miałbym ci pomóc? To twój, a nie mój gatunek walczy, być może beznadziejnie, o przetrwanie. A jeżeli teraz nawet biorę udział w pewnej intrydze, to jeszcze wcale nie znaczy to, że jestem nielojalny wobec Hohd. Prosisz, abym wystawił na niebezpieczeństwo statki i ich załogi. A nawet nasz oficjalny i rzeczywisty pokój z Vulmotem! Co my możemy zyskać oprócz kłopotów? Ile warte jest to ryzyko?

Omniarch odpowiedział spokojnie: - To dobrze, że doszedłeś do porozumienia z Johnem Braysen, choć odbyło się to cokolwiek inaczej niż zaplanowałem. To w każdym razie sprzyja moim planom. A co do wartości ryzyka... Masz do zyskania dużo rzeczy, ukrytych na tej z pozoru jałowej planecie. Mogę was ponadto zaprowadzić do olbrzymiego składu dzieł Klee. Nawiasem mówiąc ten skład jest nierozdzielnie powiązany z moimi kłopotami. I bardzo też niedobrze byłoby, żeby wpadł w ręce Vul. - Na jego wąskich ustach pojawił się ponury uśmiech. Omniarch spojrzał na Johna. - Określę ten skład odpowiedniejszym słowem. Nazywam go Vivarium. A w nim znajduje się pewna ilość gatunków zwierzęcych, umieszczonych tam kiedyś przez Klee. I tam także znalazły się żeńskie istoty waszego rodzaju, Johnie Braysen. - Omniarch tym razem spojrzał na Veza. - Lecz, aby dotrzeć do tego Vivarium i zdobyć je, Vez Do Hanie potrzebujecie mojej pomocy. Nawet gdybyście znali miejsce, to i tak wasi najlepsi naukowcy nie umieliby się dostać do środka. Przez jeszcze wiele waszych pokoleń. - Przerwał na chwilę. - Wybaczcie. Muszę poprawić pewną niedokładność mojego wywodu. Nie oferuję wam Vivarium. Ono jest gwarancją przeżycia dla tych z mojego gatunku, którzy ocaleją. Ono oznacza dla nas bezpieczeństwo. Natomiast mogę oferować olbrzymią ilość zgromadzonych tam przedmiotów oraz to, co wiem o technice Klee.

Vez poderwał się z siedzenia, zaczął spacerować po sali. Okręcił się na pięcie i prawie podbiegł, by stanąć twarzą w twarz z Wielkim Chelki.

- Mówisz tak, jakby Hohd nie potrafili nawet wykopać kilku bubli ukrytych na planecie w ich własnym regionie! Wydaje mi się, czworonogu, że straciłeś wszystkie atuty i musisz blefować!

Omniarch wyglądał na ponuro rozbawionego. - A więc próbujcie poszukać, jeśli wola. Wiem, że przy pomocy sprowadzonych tu specjalistów możesz niemal rozpylić tę planetę, co i tak nic ci nie da! Ale nie zapominaj, że kiedy wy będziecie tu kopać bezskutecznie, Vul również będą się starali dotrzeć do tego samego celu. Ani oni, ani Bizh z pewnością nie omieszkają wyciągnąć prawidłowych wniosków z zobaczenia ogromnego statku, na którego pokładzie jesteśmy w tej chwili. Powiązali sobie z sytuacją także i Chelkich. Podejrzewają, że wiemy więcej, niż im kiedykolwiek ujawniliśmy. Tak więc beze mnie i bez współpracy moich ziomków znajdujących się o wiele bliżej chciwych łap Vulmoti bardzo prawdopodobne jest, że będziecie trzeci w tym wyścigu.

- A do kogo - warknął Vez - w tej chwili należy statek, na którego pokładzie jesteśmy?

Omniarch odpowiedział z posępnym uśmiechem: - Do Komendanta Johna Braysena, Hohdańczyku, który teraz tym statkiem dowodzi. Ale on ma ze mną umowę zagwarantowaną czymś, co dla jego rasy jest najważniejsze. Jeżeli chodzi o jakiekolwiek prawa do tego statku, których obiecał ci udzielić, to jego rzecz. Nie interesuje mnie to za wyjątkiem konieczności użycia tego statku teraz.

Vez obrócił się do Chelki plecami, zapytał Johna krótko:

- Czy mogę wysłać stąd kilka przekazów i dyspozycji?

Po chwili milczenia w sterowni Vez dorzucił wyjaśniająco:

- Jeżeli już mam zaangażować się w to szaleństwo, muszę zebrać o wiele większe siły. I muszę swoich przełożonych zawiadomić o możliwości zdobycia dzieł Klee.

John nie zawahał się. Chciał doprowadzić do zakończenia targu, który łatwo mógł przerodzić się w otwarty spór.

- Oczywiście, towarzyszu broni - powiedział.

się wydaje. Będziemy musieli obejrzeć to, co zostało zarejestrowane. A co do pozostałych statków, to prawdopodobnie wykonały null według planu - spojrzał na Barta. - Ile Uzbrojonych Zwiadowców mamy na pokładzie?

Bart zastanowił się. - Cztery. Przynajmniej były, kiedy...

- Dowiedz się - rozkazał John i odwrócił się, dostrzegając jakiś ruch w pobliżu. Liza Duval właśnie weszła do sali. Była blada, ale spokojna. Zapytał ją: - Czy u was wszystko w porządku?

Powoli skinęła głową. - Tylko przeraziłyśmy się śmiertelnie. Co się właściwie stało?

- Myślę, że wyjaśnienie tego zajmie nam trochę czasu - odpowiedział. - Ale teraz kłopoty już mamy za sobą.

Stojący przed detektorem widzącym w null Bart Lange zawołał: - John! - i przywołał go ręką.

John podszedł bliżej. Bart wskazał mu znajomy purpurowo-niebieski punkt w pobliżu centrum kuli. - Tu jest. Albo jest to ten sam stary znak, pokazujący, gdzie byli. - Zachichotał i wskazał na różne rozproszone, maleńkie błyski. - Vul podzielili się na małe grupy i prawdopodobnie zaczęli nowe poszukiwania. Założę się, że gotowi są walczyć sami ze sobą!

Podszedłszy bliżej Vez odezwał się poważnym głosem:

- Dopóki tam pozostaną, nie zaatakują Hohdanu. Będziemy w domu na długo przed nimi. I będziemy przygotowani na wypadek, gdyby okazali się na tyle głupi, aby zrealizować swoje pogróżki!

Teraz, kiedy było już po wszystkim, John poczuł pragnienie dronu. Będzie musiał to wytrzymać - teraz nie mógł sobie pozwolić nawet na upicie się alkoholem. Patrzył na plecy Lizy Duval wychodzącej, aby uspokoić kobiety, potem powoli wrócił na swój fotel. Spojrzał na Veza mówiąc:

- Twoje statki dotrą do baz przed nami. Czy nie masz nic przeciw temu, abyśmy udali się bezpośrednio na tę planetę, którą nam dałeś? Jeżeli można, użyjemy jej jako bazy na czas szukania czegoś daleko stąd.

- Oczywiście. Ale będę potrzebował jednego z waszych małych statków i kilku przekaźników informacji.

John odpowiedział znakiem otwartej dłoni. Potem ze znużeniem popatrzył na zegar pokazujący czas do wynurzenia z hiperprzestrzeni. Zostały dwie godziny i pięćdziesiąt kilka minut.

Czas wlókł się tak, jak tylko w null może się wlec. Ale wskazówka poruszała się nieustannie, choć powoli i w końcu zostało tylko dziesięć minut. Bart stał przed detektorem w null i marszczył brwi: - Uderzenia, które dostaliśmy, musiały rozregulować ten przyrząd. Nie mogę nawet określić położenia gwiazdy tej planety.

John westchnął: - Cóż czy możesz znaleźć tamten układ gwiazd podwójnych? Stamtąd trafimy.

- Owszem. Ale nawet to nie wygląda tak, jak powinno. Wydawało mi się, że lepiej pamiętam tamtą część przestrzeni.

- Z przyrządami czy bez, znajdziemy tamtą planetę. Znam ten region jak własną kieszeń.

Rzeczywiście odnaleźli zieloną planetę, choć trwało to dłużej niż się spodziewali.

- Wyjście!

John powoli doprowadził Bertę do atmosfery. Przeleciał na stronę nocną, przy pomocy radaru odszukał małe jezioro i łąkę nad jego brzegiem. Wtedy zszedł niżej, marszcząc brwi. Przynajmniej jeden z pozostawionych tam mężczyzn powinien czuwać i wysłać odpowiedź na ich sygnał.

Niestety, żadna odpowiedź nie nadchodziła.

John zszedł jeszcze niżej i włączył szperacze - to wszystko wcale nie wyglądało tak, jak powinno i poczuł w żołądku zimny ciężar. Z wysiłkiem przełknął ślinę.

W swoich podejrzeniach upewnili się dopiero rano - na planecie nie było żadnego Uzbrojonego Zwiadowcy, choć odlatując zostawili jeden. Na miejscu pocisków leżała jakaś metaliczna masa, ale teren porośnięty był cały roślinnością, a nawet wyrosło kilka drzew. Nie było najmniejszego śladu baraku ani żadnego innego śladu czyjegoś przebywania.

John powoli obrócił głowę w stronę Veza: - Sądzę, że lepiej będzie, jeśli udamy się do jakiegoś cywilizowanego świata jak najszybciej. Jeśli jeszcze taki gdzieś pozostał...

Nie wyglądając na zdziwionego Vez powoli dał znak otwartej dłoni.

Vez, prawie już na głos się śmiejąc, przerwał rozmowę z Vulmotańczykiem i prędko powtórzył rozkazy po hohdańsku. Potem dał Johnowi znak otwartej dłoni. John mocno wcisnął klawisz „Null".

I nic się nie stało.

Vez i John patrzyli na siebie, ledwie słysząc dobiegające z mikrofonu wrzaski Bulvenorga. Ekrany rozświetlały się błyskami w miarę jak pierwsze salwy Vul docierały w pobliże Berty i były przechwytywane przez obronę. John widział, że zasłona defensywna jest już niemal na wyczerpaniu. Wystukał program i krzyknął do mikrofonu: - Uciekamy na napędzie grav! Obrona lokalna!

Jeszcze raz spróbował klawisza „Null", ale ten nadal nie działał, mimo że wszystkie instrumenty wskazywały pełne naładowania osłon i gotowość do skoku. Rozpaczliwie nacisnął klawisz startu na napędzie grawitacyjnym.

Berta nawet nie drgnęła.

Głos Bulvenorga już umilkł, ale pociski nadal leciały nieprzerwanie. Berta zatrzęsła się. Trafiona! Lecz choć wyły sygnały alarmowe i ryczały klaksony, przyrządy wskazywały, że kadłub nie został uszkodzony. Hałas był teraz tak potworny, że John ledwie słyszał głosy z interkomu. Nastawił wzmocnienie na maksimum i pochylił się.

- ...nie przechodzimy do hiperprzestrzeni!? - Ralf Cale już prawie krzyczał.

Ogłupiały John spojrzał na ekrany i okropne podejrzenie przyszło mu do głowy. Wszystkie pozostałe statki zniknęły razem z flotą Vez Do Hana. Berta była sama przeciw dwutysięcznej flocie.

Kolejny wstrząs - jakiś pocisk Vul przedostał się przez rozpaczliwą obronę, ominąwszy przeciwogień małych pocisków, strzałów laserowych i rozrywaczy. Oszołomiony John czuł się, mimo wszystko, dumny z walki swoich ludzi. Ale była to walka śmiesznie daremna. Nawet jeżeli potężny kadłub wytrzyma, sama akumulacja ciepła wkrótce zniszczy wnętrze statku!

Vez wcisnął guzik i krzyknął: - Damiano! Połącz nas z Omniarchem!

Silnie wzmocniony głos Omniarcha dotarł do nich niewyraźnie przez zgiełk latających pocisków. - Słowo honoru, Vez Do Hanie! Ja was nie zatrzymałem! - słychać było rozmowę Chelki w tle. - John Braysen! To jest... O, bogowie przestrzeni! Jedyne, co przychodzi mi na myśl to to, że Vivarium jest wyposażone w automatyczne przyrządy do samoobrony. I że w tym celu zatrzymuje każdy statek Klee znajdujący się w pobliżu. Przeglądamy wszystkie maszyny... - Omniarch nagle przestał mówić, wziął potężny wdech: - Posłuchajcie, przyjaciele! Jeśli jesteście trzymani przez Vivarium, to połączenie zostanie zerwane za niecałe dwie minuty. Jeżeli dobrze wyliczyliśmy, wtedy właśnie znikniemy.

John i Vez gapili się na siebie w milczeniu, potem obaj nagle spojrzeli na chronometr.

Wstrząsy od uderzeń i detonacje trwały bezustannie. Ktoś wewnątrz statku wrzasnął ze złości i przerażenia, a potem nagle umilkł. Bart Lange krzyknął: - Pokrywa luku odpadła!

John odwrócił głowę, aby popatrzeć na przyrządy po drugiej stronie. Który z nich reprezentował tamtą część statku? Jego mózg nie pracował jak należy. Ach tak, to ten. Trafiona część statku została zupełnie zniszczona, ale przewody powietrza zostały automatycznie zaplombowane. Odetchnął. Co więcej można było zrobić oprócz obserwowania skoków igły chronometru?

Potem nagle skrzywił się czując, że wszystko w środku mu się zaciska i skręca. Skoczył z fotela, stracił równowagę i runął na podłogę...

Wszyscy w sali Centralnego Sterowania podnosili się bardzo powoli. Bart wymamrotał ochryple. - Co się stało?

Johnowi wciąż jeszcze kręciło się w głowie po tym niesamowitym uczuciu skręcania jak przy tysiącu null w jednej chwili, ale był na tyle przytomny, żeby w pierwszym rzędzie popatrzeć na przyrządy i detektory. - Przede wszystkim zrobiliśmy null - powiedział. Niezdarnie podszedł do swego fotela, usiadł na nim i pochylił się do mikrofonu interkomu.

- Do wszystkich! Zróbcie co w waszej mocy, aby zabezpieczyć statek i sprawdźcie zniszczenia. Zdaje się, że lecimy w kierunku Imperium Hohd.

Louis Damiano spytał słabo: - Co się stało, sir? Czułem się, jakby...

- Widocznie Vivarium powstrzymywało nas przed ucieczką do hipersfery, a nawet przed poruszaniem się na zwykłym grav, dopóki nie skoczyło. Tak to nazwał Omniarch - „skok". Czy przeszło do hipersfery czy do przyszłości, w każdym razie zniknęło i pozwoliło nam się ruszyć. Przynajmniej tak mi

XX

Luna szybko sunęła nad powierzchnią jałowej planety. John nerwowo obserwował detektor masy, Vez siedział w fotelu drugiego pilota w każdej chwili gotowy do wysłania informacji dla swojej wzmocnionej posiłkami floty, ukrytej w null o kilka sekund stąd. Omniarch przycisnął koło przyrządu zdalnej kontroli Klee.

Jak do tej pory żaden intruz nie pojawił się w pobliżu. Nagle Omniarch wykrzyknął: - Mam coś, Vez! Nie zbliżajmy się bardziej, Johnie Braysen!

John zatrzymał statek nad powierzchnią, mniej więcej na wysokości mili. Omniarch przeprowadził dokładniejszą lokalizację i wcisnął jakiś klawisz. Przez długą chwilę nic się nie działo, potem klakson Luny zawył gwałtownie. John rzucił okiem na przyrządy - to był niegroźny alarm. Jakaś spora, ale nie ogromna masa metalu pojawiła się w pobliżu. Nerwowo wyłączył klakson. Potem na bocznym wizjerze dostrzegł kotłujący się kurz i podskakujące kamienie. Wcisnął guziki, by powiększyć obraz. Coś pomału pojawiało się przed ich oczyma tak samo jak wtedy, kiedy olbrzymi statek Klee wyłaniał się przed jakimś czasem. To było jednak o wiele mniejsze. Miało co najwyżej dwieście stóp długości i około dziesięciu stóp średnicy. Powierzchnię miało to jasnoszarą bez żadnych występów czy jakichś charakterystycznych cech, miało kształt idealnego cylindra. John analizował szybko: aby spowodować alarm, ten przedmiot nie mógł być pusty. Ale co będzie w środku? Obserwował, jak zagadkowe „coś" unosiło się zwolna.

- Omniarchu! Czy to jest na tyle bezpieczne, aby można było zabrać to na pokład?

- Oczywiście, Komandorze. Ale najpierw pozwól mi coś zademonstrować - znowu pochylił się nad przyrządem zdalnej kontroli.

Na ekranie John zobaczył maleńki przedmiocik, który pojawił się pod cylindrem i opadł na ziemię.

- Co to było? Pokrywa luku?

- Nie, Vez Do Hanie. Tamten drobiazg to po prostu niewielka paczuszka przewodów elektrycznych. Kazałem pojemnikowi wysłać ten pakunek na zewnątrz przez null. Nie można by go było w inny sposób wyjąć, nie niszcząc pojemnika. Bo to po prostu puszka, w której znajduje się bardzo wiele podobnych pakunków. Ale własny mechanizm tej puszki, Vez Do Hanie, będzie zagadką jeszcze dla kilku waszych generacji. Nawet po przekazaniu im wszystkich posiadanych przeze mnie informacji.

- Mogę wprowadzić tę rzecz do luku numer cztery i do ładowni. Gdybyśmy mieli tutaj Bertę... - otworzył luk. Omniarch powoli przysunął puszkę do Luny, a następnie wmanewrował w luk.

Minęło jedenaście godzin. Pod koniec tego czasu Berta już była z nimi w pobliżu planety. Musieli ją przywołać, aby zabrała na swój pokład wszystkie wydobyte przedmioty. Jałowa pustynia wyrzuciła z siebie jeszcze cztery podobne pojemniki, około dwudziestu puszek przenośnych, zawierających (jak oświadczył Omniarch) chemikalia, zapasy płyt metalu, narzędzia, instrumenty naukowe, a nawet pożywienie w małych, zaplombowanych paczuszkach. Vez Do Han i John uparli się, że muszą chociaż obejrzeć żywność Klee. Było to coś w rodzaju wojskowych racji, przypominało płaty suszonego mięsa i wydobywało się ze specjalnych metalowych pojemników w idealnym stanie.

Być może właśnie ten widok pobudził Johna i Veza do myślenia. Kiedy Berta pomknęła w null, Vez pierwszy wypowiedział dręczące go myśli: - Omniarchu! O ile dobrze pamiętam, nigdy nie mówiłeś, że te przedmioty są zakopane na planecie.

- Słusznie, Vez Do Hanie - w głosie Wielkiego Chelki słychać było leciutkie rozbawienie.

- Wszystkie - kontynuował Vez - nieoczekiwanie i nagle pojawiały się na detektorze masy. A przecież gdyby były zakopane nawet na głębokość mili, zobaczylibyśmy je przy takim zbliżeniu do powierzchni planety. A więc tam ich nigdy nie było! Przyciągnąłeś je przez null z innego miejsca!

- Zupełnie słusznie. Tu były tylko swego rodzaju znaki.

Vez roześmiał się: - Więc rzeczywiście mógłbym sobie kopać do woli. W porządku. Sam się oszukałem, o ile można tu mówić o jakimkolwiek oszustwie. Ale w takim razie gdzie jest skład, z którego to wszystko przyciągnąłeś? Bez wątpienia musi być bardzo daleko. Oprócz tego możemy wyciągnąć wniosek, że Klee albo jacyś nieznani użytkownicy ich technologii nadal żyją i być może korzystają z tego magazynu. Spójrz! - podszedł do stołu z pojemnikami. - Nie możesz oczekiwać, że uwierzę w to, iż nawet najcudowniej zabezpieczona żywność mogła w tak doskonałym stanie przetrwać trzydzieści tysięcy lat.

tysięcy lat.

– Nie oczekiwałem tego, Vez, że uwierzysz, choć ja wcale nie byłbym zdziwiony, gdyby, mimo wszystko, tak właśnie było. A to, co teraz wam powiem, pewnie będzie jeszcze mniej wiarygodne. Fizycznej odległości, z której te przedmioty przywołałem, nie umiem określić. A w dodatku ona i tak nie ma żadnego znaczenia. Najważniejsze jest to, że sprowadziłem je z odległości trzydziestu tysięcy lat. Nie światła. Czasu.

Vez i John gapili się na niego w milczeniu. Omniarch uśmiechnął się: – Nie bądźcie aż tak przerażeni, moi przyjaciele i wspólnicy. Po prostu, to fakt, choć sam go tylko częściowo pojmuje, że Klee w pewnych granicach pokonali czas. Nie mogli, oczywiście, podróżować w swoją własną przeszłość. Ale potrafili każdy przedmiot, nawet niesłychanie duży, zatrzymać w czasie. Mogli również przekazywać przedmioty w przyszłość. Sądze, że nie ukończyli pracy nad tym zjawiskiem, kiedy coś ich zaskoczyło czy odwróciło ich uwagę. Zdążyli tylko stworzyć magazyny – coś w rodzaju kryjówek – aby przesyłać zasoby, dużo w przyszłość. Bardzo okrężną drogą dostałem się do zaszyfrowanych wskazówek. I do co najmniej dwóch bezzałogowych sond, które wysłali w daleką przyszłość. Właśnie jedną, z nich, uczynioną z olbrzymim rozmachem, nazwałem Vivarium. Jest ono tak ogromne, że przy nim nawet taki statek wydaje się maleńki! A w nim, Johnie Braysen, są wasze kobiety. A w nim, Vez Do Hanie, jest olbrzymi zbiór dzieł Klee, które ci obiecałem. – Przerwał na chwile, aby nabrać tchu, potem mówił dalej: – Przedmioty wydobyte przez tę planetę pochodzą z innego magazynu, zbudowanego dla zaopatrzenia wyprawy, którą zamierzali wysłać już po zbudowaniu Vivarium. Możemy sądzić, że wysłanie jej nigdy nie doszło do skutku, być może w wyniku jakiejś katastrofy, gdyż nie ma żadnych śladów ich bytności w którejkowiek kryjówce. Chociaż z całą pewnością nie odnaleźliśmy jeszcze wszystkich magazynów. – Uśmiechnął się swoimi wąskimi wargami. – Gdzieś, przyjaciele (może powinienem powiedzieć „kiedyś") jakiś ich magazyn funkcjonuje prawidłowo, wysyłając przez tysiąclecia zaopatrzenie dla tej ekspedycji. Być może Klee nadal istnieją i przywołując te towary wywołaliśmy wśród nich duże poruszenie? A może pogodzili się z taką ewentualnością, że ktoś niepowołany wykorzystuje zapasy z ich kryjówki? Tego Klee wysyłający nie mogą się dowiedzieć. Jedynie ich dalecy potomkowie są w stanie stwierdzić, czy w magazynach czegoś brak. Ale wydaje mi się, że tacy nie istnieją.

John przemówił pierwszy: – To... to Vivarium... Powiedziałeś, że tam są kobiety. I że Vul już go szukają...

– Tak, Johnie Braysen. Ale nie są w stanie go odnaleźć, jeżeli nie złapią mnie z całą moją wiedzą. Byłem tam dwa razy... Vul niczego nie odnajdą, bo Vivarium jest poza ich teraźniejszością.

– To znaczy?

– Za ostatnim razem zatrzymałem je w ich i w naszej przeszłości. Pojęcia ich i naszej przeszłości nie są, niestety, zbyt precyzyjne. W każdym razie są bardziej od siebie oddalone niż gdyby dzielił je tylko mijający czas. To tak, jakby były równoległymi, osobnymi płaszczyznami prostopadłymi do linii prostej, którą nazywamy czasem, i poruszającymi się jedna za drugą.

Vez otworzył usta, w jego głosie było niedowierzanie:

– Ty zatrzymałeś Vivarium w przeszłości?

– Tak. Mówiłem, że to jest najzupełniej możliwe.

Johnowi krew w skroniach zapulsowała ze złości. – Czy chcesz przez to powiedzięć, że kobiety są dla nas niedostępne?

– Niedostępne w naszej teraźniejszości? Tak. Nie tylko dla was. Są tam przede wszystkim niedostępne dla Vul, dopóki tam pozostają. Ale ja mogę i... muszę, bo tego potrzebuje mój własny gatunek, sprowadzić wasze kobiety i całe Vivarium do naszej teraźniejszości.

Po chwili ciszy Vez zapytał niepewnie: – Skoro zatrzymałeś Vivarium, to w jaki sposób sam wróciłeś do teraźniejszości?

Chelki wydał z siebie dźwiek bedący odpowiednikiem ludzkiego chichotu: – Nie wysilaj swego umysłu, Vez, żeby zrozumieć ten paradoks. Mój powrót był całkiem prosty choć przyznaje, że oczekiwałem go z pewnym zdenerwowaniem. Miałem już wtedy tę zabawkę – wskazał przyrząd zdalnej kontroli. – Zostawiłem ją tutaj, to znaczy w naszej teraźniejszości – i zaprogramowałem na sprowadzenie tu małego statku, którym posłużyłem się w podróży.

Na twarzy Veza odmalowała się wyniosłość i duma, kiedy odpowiedział: – Dobrze cię pamiętam, Bulvenorg. Żaden z nas nie wpłynął na wyniki tamtej konferencji, ale teraz mamy nową szansę, co? A propos, mnie także powierzono obecnie specjalną misję. Och, jeśli chodzi o twoje statki, to bez wątpienia imponujący widok, biorąc pod uwagę poprzednią sytuację... Nieomalże żałuję, iż cena bitwy jest trochę inna tym razem. Byłoby mi doprawdy przykro, gdybym musiał ci to udowodnić w bardziej dobitny sposób.

Rozległ się mruczący chichot. – Możesz tego bardzo łatwo uniknąć. Aha! Skoro już sobie gawędzimy. Czy to ty maczałeś palce w militarnych kłopotach na Bizh? Wiem, że naloty te dokonywane były przez kilku nędznych, przypadkiem pozostałych przy życiu osobników rodzaju ludzkiego, który to rodzaj był kiedyś taki głupi, że rozzłościł zarządcę jednej z naszych prowincji. Przyszło mi na myśl, że ci renegaci mogą teraz być razem z tobą. Czy mógłbyś zaspokoić moją ciekawość, potwierdzając to przypuszczenie? W sumie nie ma to już i tak żadnego znaczenia.

John odezwał się, zanim zdążył zrobić to Vez. Może było to głupie, ale nie potrafił opanować wściekłości. – Mówi jeden z tych renegatów! Zawsze do usług. Czy mogę coś dla ciebie zrobić oprócz zabicia cię?

Przez moment było jedynie słychać szumy. Nawet gadanina innych statków ucichła i John zdał sobie sprawę, że wszyscy słuchają tej wymiany zdań. Potem dobiegł znowu głos Vul, poważny i ciekawy: – Czy przypadkiem nie jesteś John Braysen?

– I co z tego?

Vulmotańczyk westchnął. – Właściwie nic. To po prostu potwierdza jedno moje przypuszczenie. Jesteś wspaniałym taktykiem, Johnie Braysen. Zaczynam żałować, że twój gatunek został zniszczony. – Bulvenorg uczynił krótką przerwę, potem znowu zwrócił się do Veza: – Hohdańczku! Wojna między naszymi imperiami nie jest ani twoim, ani moim życzeniem. Pójdziemy na kompromis. Zapomnijmy o tej twojej niewielkiej, choć nikczemnej intrydze. Rozumiem jej cel. I jeżeli cię to interesuje, to powiodło ci się. Zatrzymaj sobie tych kilku mężczyzn, jeśli czujesz do nich sentymentalne przywiązanie lub uważasz ich za cennych najemników. Zatrzymaj też te kilka stateczków, które jakoś tam zdobyłeś. – Przerwa. – Wszystko, czego żądam, to owo coś ogromnego, na co patrzymy w tej chwili oraz wszyscy co do ostatniego Chelki. A także ten zaiste wielki statek, na którego pokładzie zapewne się znajdujesz.

Vez spojrzał na Johna i uśmiechnął się. Potem powiedział do mikrofonu: – Prosisz mnie o rzeczy, których nie posiadam. Wszystko, co wiem o tej ogromnej masie, o której wspominasz to fakt, że widziałem dużą liczbę Chelki wchodzącą do środka. Ponieważ żaden z nich do tej pory nie pojawił się na zewnątrz sądze, że zamierzają tam pozostać. Jak wiesz, trzymanie niewolników, nie należy do grzechów Hohdanu, więc nie powinieneś mnie prosić o pomoc w odzyskaniu zbiegów. Jeżeli zaś chodzi o statek, na którego pokładzie rzeczywiście jestem...

Vulmoti przerwał mu ostro: – Zastanów się, Vez Do Hanie, czy moje imperium może sobie pozwolić na pozostawienie w waszych rękach wszystkich dzieł techniki Klee. A teraz skończ tę nonsensowną paplanine – na potwierdzenie ostatnich słów duża salwa pocisków nagle pojawiła się na ekranach detektorów i radarów. Był to jedynie gest, wziąwszy pod uwagę, że Vul mieli wyrzutnie energii. Ekrany pojaśniały i pociemniały na chwilę. Bulvenorg kontynuował: – Jeżeli nie spełnisz mojego żądania, efektem będzie, o czym z żalem muszę cię poinformować, natychmiastowy atak na wasze imperium.

Vez pociemniał ze złości. – My to nie Chelki, Bulvenorg, ani nie jeden mały i w sumie bezbronny system, jak Słoneczny! Nie jestem upoważniony do oddawania czegokolwiek. A co do twoich pogróżek...

Cichy głos Louisa Damiano dobiegł Johna z obwodu dowodzenia: – Komandorze. Chelki przed chwilą powiedział, że skończyli przygotowania i mamy natychmiast ulotnić się do hiperprzestrzeni.

Johnowi serce zabiło mocniej. Uśmiechając się dał znak Vezowi. Spojrzał na ekran ukazujący Vivarium i dostrzegł kilka uzbrojonych statków Chelki, które do tej pory trwały na warcie, a teraz pospiesznie zmierzały do wlotów po obu stronach Vivarium. Ustawił kciuk tuż nad klawiszem komputera i rzucił szybko do mikrofonu obwodu dowodzenia:

– Uwaga, wszystkie jednostki! Za pięć sekund wchodzimy w null. Komputerowe obwody sterowania.

Jest nawet dziura w ścianie między segmentami. Może twoje kobiety dokładnie ci to opiszą. Nie wiem, czy inne uszkodzenia bliżej mechanizmów mogą mieć wpływ na skok w czasie. Pamiętasz, że do tej pory przenosiłem Vivarium w przeszłość i z powrotem w teraźniejszość zaledwie o kilka minut. Tym razem muszę zabrać je wiele tysięcy lat stąd, bo tylko wtedy mogę mieć nadzieję, że Vul zapomną o wściekłej zemście. Pracujemy bardzo ciężko próbując odnaleźć każde uszkodzenie i zbadać jego charakter oraz wpływ na działanie mechanizmów. Proszę was o jedno: Dajcie mi jeszcze dziesięć godzin! Zrobicie to?

John rzucił okiem na Veza, który z irytacją uczynił potwierdzający gest otwartej dłoni. Odpowiedział Omniarchowi:

– Zrobimy. I życzymy wam szczęścia.

Baczna obserwacja wrogich błysków trwała nadal. Ścigające ich siły Vul, według detektorów dalekiego zasięgu, nie zdawały się zbliżać. Tak minęły dwie godziny, potem następne dwie. John zaczął mieć nadzieję, że z jakiegoś powodu Vul odrzucali możliwość znalezienia zbiegów w tej akurat części przestrzeni.

I potem nagle klakson zaczął buczeć.

John spojrzał na kulę detektora masy. Bogowie przestrzeni! Rejon wokół centrum pełen był mocnych błysków. Rzucił okiem na ekrany: Tysiąc czterysta plus... tysiąc sześćset plus...

Nigdy, z wyjątkiem zgrupowania Chelki w zdobytych statkach, nie widział takiej floty. A były to wszystko statki wojenne!

Wcisnął kilka guzików, przebiegł wzrokiem po ekranach, znowu wcisnął guziki. W interkomie słychać było okrzyki po angielsku, hohdańsku i w języku Chelki, bo i ich kilka statków bojowych pozostało na zewnątrz Vivarium, tworząc wokoło niego żałośnie cienki kordon. Nie mógł od nich żądać wiele. Tylko tyle, by wytrzymali na swoich miejscach. Zerknął na Veza i przez chwilę słuchał rozkazów wydawanych przez niego po hohdańsku. Były proste i jasne, nie mogłyby brzmieć inaczej. – Ładowanie do null! Przygotować się do walki i czekać na dalsze rozkazy!

Głos Louisa Damiano wtrącił się do wspólnego jazgotu:

– Komandorze! Czy masz czas porozmawiać z Omniarchem?

John wahał się przez ułamek chwili. – Tak, daj go!

Były jakieś zakłócenia fali, John z trudem wyławiał poszczególne słowa: – Johnie Braysen i Vez Do Hanie! Zauważyliśmy przybycie floty Vul. Nie możemy prosić was o podjęcie walki z taką armadą. Proszę o zaledwie kilka minut. Dziesięć, piętnaście... Jeżeli możecie aż tak długo. Zaryzykujemy zastosowanie przyrządów w takim stanie, jak mówiłem. Jeżeli zadziałają prawidłowo, Vivarium zniknie wam z oczu. Wtedy, przyjaciele, będziecie mogli odlecieć z wyrazami naszej bezgranicznej wdzięczności. Najwyżej piętnaście minut? Zgadzacie się?

John spojrzał na Veza. Hohdańczyk miał dziwny wyraz twarzy. Jakby czuł to samo co on. Zdecydowany pozostać tu, dać Chelkim te piętnaście minut. Zdający sobie sprawę z niemożności pozostania dłużej, ale nie mający ochoty na zostawienie dzielnego Chelki na pastwę losu. Dał znak otwartej dłoni.

John rzucił krótko do mikrofonu: – Piętnaście minut. Trzymajcie się!

Zajął się przygotowaniami do tego śmiesznie krótkiego opóźnienia. Ale zanim zdołał przetransmitować więcej niż kilka słów – łagodny, ale ostro wzmocniony głos – głos Vulmoti – zabrzmiał z głośnika ogólnej komunikacji. – Vez Do Han? – wrzasnął. – Odezwij się, jeśli jesteś gdzieś w tym żałosnym stadku!

Vez drgnął i zamrugał oczyma, potem uśmiechnął się do Johna i zrobił gest otwartej dłoni. John, początkowo równie zaskoczony, zrozumiał: jeśli chcą pertraktować, to świetnie!

Vez pochylił się nad mikrofonem: – Tu Vez Do Han! Kto mnie wzywa i po co?

Z odbiornika dobiegł dźwięk pośredni między chichotem a pomrukiem. – Moje nazwisko Bulvenorg. Do niedawna byłem... Teraz zostałem przeniesiony na wyższe stanowisko dla spełnienia pewnego zadania, którego cel bez wątpienia odgadniesz. Jak ci się podoba moje małe zgromadzenie, Hohdańczyku? Nawiasem mówiąc, spotkaliśmy się kiedyś na konferencji w sprawie drobnych zmian w układzie między naszymi imperiami. Rozumiem, że ty teraz zajmujesz pozycję analogiczną do tej, którą ja zajmowałem poprzednio.


Ryszard Wojtyński

Po chwili oszołomienia John spytał: - Jak daleko w przeszłości jest Vivarium? I - przełknął ślinę - kobiety?

Ciemne, głęboko osadzone oczy Omniarcha zabłysły. - Około sześciu dolek, to znaczy około trzynastu i jednej czwartej minuty. Ale równie dobrze mogłyby w tej chwili znajdować się w innej galaktyce.

Vez Do Han wrócił do przyjaciół wesoło uśmiechnięty.

- Dzieła Klee z tej jałowej planety zainteresowały moich przełożonych i cywilów z rządu, co momentalnie zmieniło sytuację! Oczywiście, nadal chcemy uniknąć otwartej wojny z Vulmotem, ale mam pozwolenie posunięcia się nawet do tej ostateczności, aby zdobyć pozostałe rzeczy, które im obiecałem. Nie tylko moja gwardia przyboczna poleci, gdzie zechcę. Dostajemy niemal wszystkie obce statki, które Hohd zdobyło ostatnimi czasy. Dwa duże podobne do Luny, trzydzieści kilka krążowników i mniej więcej sto małych zwiadowców. Wszystkie statki uzbrojone. W zamian za to mam przywieźć wszystkie dzieła Klee, które odnajdę. Aha! - zwrócił się do Omniarcha, uśmiechnął się rozbrajająco - z tego wszystkiego na śmierć zapomniałem powiedzieć swoim przełożonym o tym, co ty nazywasz Wivarium.

Chelki odpowiedział uśmiechem, ale w głosie słychać było niecierpliwość: - Kiedy te dodatkowe statki przybędą tutaj?

- Za pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt dolek. Kiedy tylko zdążą załadować wszystko, co mają przywieźć.

Omniarch przestępował ze stopy na stopę. - W takim razie uważam za konieczne, abyśmy wyruszyli, zostawiając tu tylko jeden statek jako przewodnika. Nie możemy czekać!

Vez przecząco potrząsnął głową. - My sami będziemy potrzebować co najmniej dwudziestu dolek na przygotowanie do odejścia. I przecież potrzeba nam broni.

Omniarch wydał dźwiek przypominający gniewny pomruk: - Jeżeli potrzeba, zorganizujemy spotkanie wcześniej niż planowano. Ale nalegam, żebyśmy ruszyli jak najszybciej. Pozostali Chelki mogą przesunąć się trochę, aby uniknąć kłopotów. Odnajdziemy ich wprawdzie, ale powinniśmy być w pobliżu!

- W porządku - zgodził się Vez. - Gdzie się spotkamy?

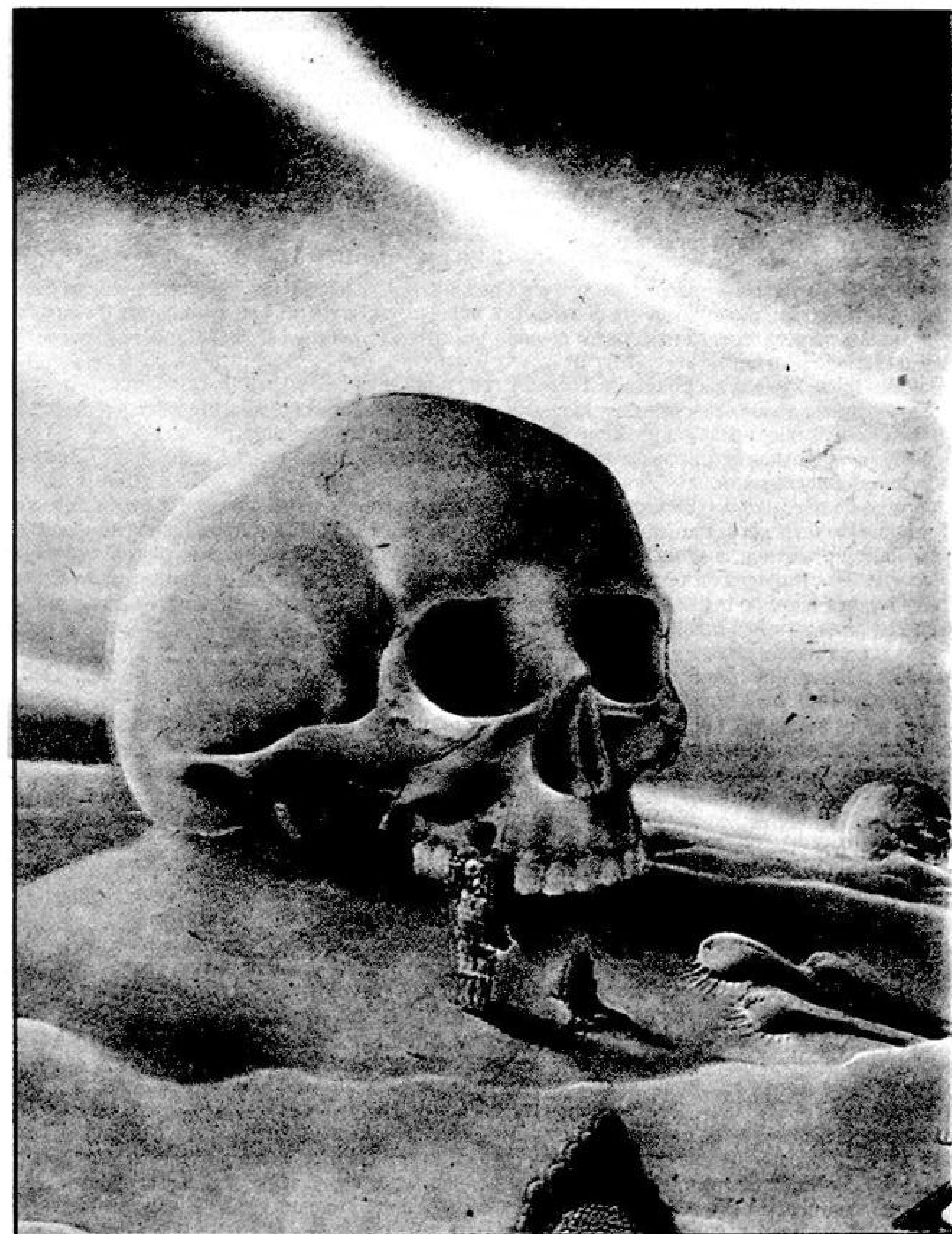
Omniarch szybko podał właściwie współrzędne. John znał to miejsce. Daleko w Obszarze Nieciągłości między ramionami spirali. Prawie tak daleko, jak ich ostatnia wyprawa na Bizh.

Vez wyszedł wydać wiadomości i dyspozycje. W czasie jego nieobecności Omniarch powiedział: - Nie znam rozmiarów floty, którą możemy spotkać. Niewolnicy Chelki na setkach światów mieli zdobyć dostępne im statki uzbrojone lub nie i spotkać się w pobliżu tego miejsca. Nie wszystkim zapewne to się udało. A obawiam się, że Vulmoti wykryli ten plan wystarczająco wcześnie, by powiadomić inne światy o konieczności udaremnienia poczynań Chelkich. Miliony z nas zginą w tej próbie i miliony zostaną zamknięte w obozach karnych. Co więcej - poszukiwania uciekinierów rozpoczną się natychmiast. - Spojrzał ciemnymi oczyma na Johna. - Ty już widziałeś, Johnie Braysen, z jaką bezwzględnością Vul realizują podjęte decyzje. Kiedyś postanowili zniszczyć twoją rasę. Teraz mogą podjąć taką samą decyzję odnośnie losów mojego gatunku. A my nie możemy tak jak wy rozproszyć się na małe grupki i próbować przeżyć na rozmaitych planetach. Tego nie dokona nawet Pełny Samiec. Każdy musi mieć świadomość istnienia kolonii wokół albo choć w pobliżu. Musimy mieć poczucie czasowej kontynuacji przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. A ta potrzeba komplikuje realizację naszego marzenia o wolności.

Po raz pierwszy Johna uderzyło to, że Chelkim wszystkie humanoidy musiały wydawać się gatunkami zdolnymi do łatwej adaptacji w dowolnych warunkach. Bo przecież najzwyklejszy humanoid technicznego rodzaju bez względu na płeć potrafił w razie potrzeby stać się robotnikiem albo chwycić za broń i walczyć. Walczyć nawet gołymi rękami! Używać do walki zębów i paznokci. Usiadł, patrząc na Omniarcha.

- To... Vivarium, o którym mówisz. Rozumiem, że są tam rozmaite środowiska i warunki życia. Ale - na przestrzeń! Czy jest na tyle duże, by pomieścić miliony twoich Chelki?

- Jest, Johnie Braysen. Jest oszałamiające. Spędziłem wiele godzin, badając jego automaty i mechanizmy, przeprowadziłem kilka drobnych eksperymentów. I wiele tysięcy godzin o nim myślałem. Ale nadal rozumiem jego działanie tylko w maleńkim stopniu. W jego oczach patrzących na Johna zamigotał


Janos Gado

skrzywdzić was.
Stworzenie wyglądało na zaniepokojone.
– One duże? Mają kły? Zjedzą nas?
Liza z niepokojem spojrzała na Johna. Odpowiedział stanowczo: – Chelki są cywilizowani. I roślinożerni.
Liza wstała powoli. – Musimy już iść, Dobra Sąsiadko. Dobra Przyjaciółko.
Dwie nastepne łzy spłynęły po pyszczku stworzenia.
– Do widzenia na nigdy. Czy ja może cię nazwać tajnym imieniem? Mąż mój mówić to niemądrze, bo ty nie nasz rodzaj.
Liza odpowiedziała przytłumionym głosem: – Oczywiście, Dobra Sąsiadko.
Stworzenie rzekło: – Do widzenia, Najjaśniejsza z Klanu.
Liza płakała cicho, kiedy oddalali się pospiesznie. John obejrzał się – tłuste stworzenie nadal siedziało na swoim miejscu, patrząc za nimi ze smutkiem.
Sytuacja, jaka wytworzyła się na pokładzie Berty była nieoczekiwana i zadziwiająca. John nie potrafił jej logicznie uzasadnić, ale czuł, że tak właśnie być powinno. Jedynie Vez i garstka hohdańskich specjalistów, stanowiący teraz część załogi Berty, zdawali się być tym ubawieni.
Fred i Eliza Coulter mieszkali w osobnym pomieszczeniu. Reszta kobiet i mężczyzn dziwnie wzbraniała się przed znalezieniem sobie pary i założeniem rodziny. Kobiety chciały nadal żyć we własnej grupie w osobnej części Berty. Tak samo mężczyźni. Nie znaczy to, że nie było sekretnych romansów (których kilka odkrytych w dość żenujących momentach stało się przedmiotem dobrotliwych żartów), ale ogólnie panowało poszanowanie dla wzajemnej niezależności. Być może było to skutkiem długiego życia obu grup w celibacie, a może efektem głębokiego poczucia odpowiedzialności, jakiegoś zapalczywego poświęcenia dla przyszłości własnego gatunku. W każdym razie nie było prawie żadnych problemów rywalizacji, mimo iż mężczyzn było niemal dwa razy więcej niż kobiet.
Wejście Chelkich do Vivarium było już prawie zakończone. Jednakże siły Vul nadal poszukiwały swego celu. John i Vez niecierpliwie spacerowali po sali Centralnego Sterowania. Od czasu do czasu spotykali się twarzą w twarz i marszczyli brwi i rozchodzili się. W końcu Vez przystanął, spojrzał Johnowi prosto w oczy. – Przyjacielu, musimy przedyskutować pewną sprawę.
John westchnął, zatrzymując się również. – Masz na myśli to, jak długo jeszcze tu zostaniemy pilnując Vivarium, kiedy już wszyscy Chelki będą w środku?
– Właśnie. Ty masz swoje kobiety, a ja wszystkie przedmioty, które mogłem zabrać. Nasze wzajemne porozumienie jest konkretne. Nasze porozumienie z Omniarchem nie jest jasno sprecyzowane. Czy musimy odwlekać załatwienie naszych własnych spraw, podczas gdy on traci czas na badanie maszynerii Vivarium?
John przełknął ślinę. Pragnienie dronu dręczyło go nieustannie. – Mam nadzieję, że wreszcie skończy! Ale nasz układ zakłada danie mu trochę czasu na tę pracę.
– Tak, tak – Vez był zniecierpliwiony. – Ale ile ma trwać to trochę czasu?
– Nie wiem. Ale mimo to nie będę go popędzać skoro wiem, że nie traci nawet czasu na jedzenie i sen.
Vez z irytacją otworzył dłoń na znak zgody. – Nie rób ze mnie kata – mruknął. – Wcale nie proponuję, żebyśmy stąd natychmiast odlecieli. Ale ile to jest „wystarczająco długo"?
John opanował własne zniecierpliwienie. – A ty postaraj się nie robić ze mnie maszyny z zaprogramowanymi odpowiedziami. Ale dobrze. Choć wolałbym nie zajmować mu czasu, skontaktuję się z nim i zapytam.
Vez miał pochmurną minę, jakby ta odpowiedź też mu się nie podobała.
Nie było połączenia wizji z wnętrzem Vivarium, więc nie widzieli twarzy Omniarcha, lecz w jego głosie wyczuli zmęczenie. Mówił: – Rozumiem wasze zniecierpliwienie, ale nic nie mogę poradzić. Nasza praca tutaj dała pewne rezultaty, lecz jeszcze niewystarczające. Sytuacja przedstawia się następująco: jestem niemalże pewien, że potrafię obsługiwać przyrząd do podróży w czasie, jednak w różnych częściach Vivarium napotkaliśmy uszkodzenia. Nie zniszczenia spowodowane przez meteory, lecz przez jakąś wewnętrzną awarię bardzo dawno temu. Nie zauważyłem tego, kiedy byłem tu poprzednio.

niewyraźny niepokój. – Nawet sposób w jaki zamierzam zapewnić bezpieczeństwo swego gatunku jest dla mnie prawie zupełną zagadką. Próbowałem zorganizować grupę wykwalifikowanych osobników, którzy pomogliby mi studiować wszystko, kiedy już będziemy w środku, ale nawet nie wiem, ilu z nich dotrze na miejsce spotkania. I nawet kiedy sprowadzę Vivarium z przeszłości, trzeba będzie wszystkich Chelki tam przenieść. To w sumie będzie olbrzymie i trudne zadanie.
– Czy ze względów bezpieczeństwa nie chcesz mnie poinformować, kiedy to nastąpi? Zakładam, że Vivarium może wejść w null – przerwał na chwilę. – Wiesz, ja także mam pewien kłopot ze znalezieniem miejsca wystarczająco odległego od Vul...
Omniarch odparł z uśmiechem. Ze smutnym uśmiechem:
– Niezależnie od tego, jak długo będziesz podróżował, to będzie mało w porównaniu z moją podróżą. Kiedy kobiety opuszczą Vivarium, a ich miejsce zajmą Chelki, mam nadzieję zabrać Vivarium w daleką przyszłość.
Pełny Samiec z Akielu wszedł i stanął obok Omniarcha.
– Jak dwa woły – pomyślał John. Siedział, wpatrując się w Chelkich z lekkim zamętem w głowie. W końcu zapytał bezbarwnym głosem: – A co zrobicie, jeżeli coś się nie uda? Jeżeli nie będziesz umiał posłużyć się mechanizmami tak, jak zaplanowałeś?
– Wtedy – powoli powiedział Chelki – mój gatunek nie odda swojej wolności nikomu. Po prostu wytworzymy w swoich ciałach zabójcze trucizny...

XXI

Berta mknęła w hipersferze. John, Bart i dwaj Chelki stali przed umieszczoną na sprężynach tablicą rozdzielczą. Na iluzorycznej sferze złotawe błyski były luźno zgromadzone wokół jej środka. Oznaczały one wszystkie statki towarzyszące Bercie. Była to więc maleńka flota Johna, gwardia Vez Do Hana oraz statki dosłane przez Hohd. Wszyscy razem mknęli na drugie spotkanie do punktu wyznaczonego przez Chelki. Lange podszedł do tablicy, pokręcił gałką – rój statków zapadł się w głąb sfery. Na powierzchni kuli pojawiła się jaśniejsza plama. Te maciupeńkie, rozproszone punkty zbyt małe i zbyt liczne, aby można je było policzyć, oznaczały ogromną wędrującą grupę zbiegłych Chelki.
Bart nagle spojrzał na Omniarcha. – A tak przy okazji. Powiedz, dlaczego ta tablica jest na sprężynach?
Wydawało się, że Omniarch był myślami gdzie indziej. Po chwili jednak odpowiedział: – To nie sprężyny. Izolatory. – Wyciągnął wielką, włochatą dłoń, dotknął brzegu tablicy. Natychmiast wskazówki na tarczach drgnęły, światełka przygasły, a błyski zmieniły konfigurację. – Widzisz? Dotknięciem płyty zmieniłem jej ładunek. Nie elektryczny, ale jakiś podobny. Cała tablica musi być mocno naładowana, żeby zapewnić pracę przyrządów. Po to są też te izolatory ze specjalnego plastiku o małej gęstości.
– Dlaczego ten ładunek nie ucieka w powietrze?
Mimo napięcia Omniarch uśmiechnął się: – To inny rodzaj naładowania. – Zajął się ponowną obserwacją detektora. – Z tej odległości nawet nie możemy zobaczyć, czy mają statki uzbrojone, czy przede wszystkim towarowe. Będziemy za to wiedzieli, jeżeli w pobliżu pojawią się Vul. – Zwrócił się do Johna: – Ze względów bezpieczeństwa przy wynurzaniu będą musieli się rozproszyć na przestrzeni co najmniej miliona mil. Maruderzy będą przybywać w pobliże środka zbliżając się do kawalkady. Jak zamierzasz eskortować i chronić taką masę statków?
John zastanawiał się nad tym zadaniem. Wyobrażał sobie olbrzymie stado owiec, pilnowane przez kilku pasterzy i kilka psów w dzikiej, pełnej wilków krainie.
– Cóż – mruknął. – Proponuję, żeby po spotkaniu sformować kolumnę lecącą napędem grav w kierunku celu. W ten sposób wyłapiemy przy okazji wszystkich maruderów, którzy wyłonią się z null w zasięgu detektorów. Większość naszych sił i statki wojenne zdobyte przez Chelki polecą na czele, by w razie czego wyjść na spotkanie statkom Vul, przeszukującym te okolice. Natomiast po bokach kolumny i z tyłu w równych odstępach rozmieścimy resztę.
Bart rzucił nerwowo: – A jeżeli jacyś maruderzy wyłonią się z null tuż przed czołem kolumy?
John spojrzał na Omniarcha. – Myślę – powiedział – że plan wyklucza tę możliwość.

– Tak – odparł stary Chelki. – Przewidziałem, że zgrupowanie może być zmuszone do wykonania kilku skoków w null dla uniknięcia spotkania z Vul. Skoki nie wzdłuż przewidzianej trasy, ale na ustalone odległości w bok.

John powoli skinął głową. – Oczywiście możliwe jest przy tym jakieś zamieszanie. Starczy parę omyłek albo to, że kilka statków nie otrzyma wiadomości w porę.

Omniarch długą chwilę patrzył w bok. – Bez wątpienia. Obawiam się, że możemy nie uniknąć takich tragedii. Postarajmy się je zminimalizować. I... to dla mnie błogosławiony dzień.

Oczekiwanie było już nie do zniesienia.

Wyjście!

John starał się widzieć jednocześnie detektor masy i ekrany danych. Bogowie przestrzeni! Dwa tysiące dwieście siedemdziesiąt dziewięć statków w zwykłym zasięgu! A ich ilość stale jeszcze rosła! Kula detektora wydawała się pełna musującego płynu w miarę jak kolejne statki wyskakiwały z hipersfery.

Liczby na ekranie danych rosły, ale tempo przyrostu malało. Minuty, kwadranse, godziny wlokły się jedna za drugą. Minuta – błysk! Minuta bez żadnej zmiany, potem trzy błyski naraz. Dwie minuty – błysk. Trzy minuty...

John spojrzał na Omniarcha. – Musiałeś chyba ustalić jakąś granicę czasu?

– Oczywiście, już minęła – ciemne oczy Omniarcha patrzyły poważnie. – A ilość statków jest o wiele mniejsza niż oczekiwałem. Trudno mi o tym spokojnie myśleć... Ale ruszajmy!

John rzucił spojrzenie na detektor dalekiego zasięgu. Do tej pory Vul się nie pojawili. Albo po prostu nie było ich widać w masie błysków. Zresztą jak można by ich było odróżnić? Przecież większa część tych statków była zbudowana przez Vulmot. Ilu więc szpiegów mogło się w tej chwili ukrywać pośród nich?

Rzucił w stronę Omniarcha: – Zostawimy tu statek, który ostatnich spóźnialskich skieruje we właściwą stronę.

– Jeżeli uważasz, że to bezpieczne, Johnie Braysen.

Omniarch stał nieruchomo obok interkomu tak, że mógł dosięgnąć klawiszy komputera. Słychać było głosy Chelkich – piloci i dowódcy składali raporty o stanie statków i liczebności pasażerów. Musi upływać wiele czasu przy organizacji zwartej grupy z takiej masy rozproszonych statków.

– Omniarchu! Przede wszystkim dowiedz się, ile macie statków wojennych i jakiej klasy. I jeżeli masz na to jakiś sposób, upewnij się, że rozmawiasz z osobnikiem twojego gatunku.

Omniarch uśmiechnął się. Pełny Samiec z Akielu przysunął się bliżej, mówiąc: – Nie bój się, Komandorze! Kiedy już przystąpiliśmy do powstania w imieniu swojej rasy, żaden z nas nie okłamie Omniarcha. Pozostałe Pełne Samce albo Wojownicy zginą w walce aż do ostatniego tchnienia. A pozostałe rodzaje nie mogłyby zostać zdrajcami.

John skinął głową z powątpiewaniem, zostawiając problem szpiegów Omniarchowi. – Wybierz statek, który tu na razie zostanie – powiedział do starego Chelki.

– Już wybrałem. Ciężki krążownik z pełnym uzbrojeniem oraz wyposażeniem radiowo-sensorowym. Przesuwa się teraz na bok kolumny. Do twojej floty dołączy jedenaście statków wojennych, Johnie Braysen. Pięć ciężkich i sześć średnich krążowników. Do tego dwadzieścia trzy Uzbrojone Zwiadowce. Te nie mają kompletu pocisków, bo stały w hangarach, kiedy je zdobyto.

John zmarszczył brwi. To nie będzie zbyt wielka pomoc, jeżeli spotkają duże siły Vul. – Sprowadź je – rzucił do Omniarcha – w pobliże Berty. Będziesz mógł z nimi rozmawiać na słabej fali, nie przeszkadzając innym. Nie mogę użyć bezpośredniego połączenia z ich komputerami, więc będziesz musiał przekazywać im rozkazy słownie. Sami będą musieli pilotować.

Pochylił się do interkomu: – Damiano?

– Tak, sir.

– Zapewnij Omniarchowi i jednostkom Chelki obustronną wymianę informacji.

John przebiegł spojrzeniem po ekranach i przyrządach. Myślał teraz o statku, który miał tu zostać. A kolumna z napędem grav jeszcze nie była sformowana. I nagle na ekranie pojawiły się jakieś nowe błyski. Spojrzał na nie i krzyknął:

– Do hipersfery! Null!

XXIII

Wywiezienie kobiet z Vivarium trwało cztery godziny. Przez cały ten czas John siedział przy pulpicie sterowniczym Berty i pełen niepokoju patrzył, czy nie pojawiają się w pobliżu błyszczące punkty, które mogłyby oznaczać pojawienie się Zwiadowców Vul wyłaniających się z hiperprzestrzeni. Na ekranach detektorów dalekiego zasięgu roiło się od błysków. Byli więc poszukiwani przez Vul, a rejon tych poszukiwań stopniowo zawężał się do obszaru, w którym się znajdowali.

Wziął udział tylko w ostatniej podróży do Vivarium, mającej na celu zabranie reszty osobistych rzeczy, pozostawionych przez kobiety. Towarzyszyło mu czterech mężczyzn i młoda kobieta Liza Duval, która aktualnie była „najstarszą" spośród członkiń tej niewielkiej niewieściej kolonii. Była średniego wzrostu, gibka, o śródziemnomorskiej urodzie. Mówiła niewiele, ale jej ciemne oczy z ciekawością chłonęły wszystko, co ją otaczało. Cała ta grupa udała się wzdłuż długiego centralnego szybu aż do segmentu.

Kiedy już odnaleźli pozostawione rzeczy – szmacianą lalkę, stare lusterko pochodzące z Ziemi, trochę zniszczonych ubrań – Liza przystanęła, rozglądając się po opuszczonym obozie. Jej oczy były lekko wilgotne. John zdał sobie sprawę, że tutaj minęło jej dzieciństwo i pierwsze chwile młodości. Nic dziwnego, że mogła czuć żal, opuszczając to miejsce na zawsze.

Liza odwróciła się do Johna z lekko wyzywającym spojrzeniem. – Wiem, że nie powinniśmy zwlekać z powrotem, ale muszę się z kimś pożegnać!

Spojrzał na nią zaskoczony. – Czy to znaczy, że któraś z was ukryła się tutaj i nie chce jechać? A ty nie powiedziałaś mi o tym?

Energicznie potrząsnęła głową. – To nie jest istota ludzka. Chodź ze mną, jeżeli chcesz – patrzyła mu prosto w oczy.

Zdawał sobie sprawę, że ma chmurną minę. – No cóż – burknął – załatwmy to jak najprędzej.

Poszli ścieżką wydeptaną wzdłuż strumienia obok dużej kępy dzwoniących krzewów do zagajnika złożonego z drzew podobnych do ziemskich topoli. Obeszli podnóże niewysokiego pagórka i dotarli do samego brzegu strumienia.

Tłuste stworzenie o szarym futrze ważące ponad pięćdziesiąt funtów nagle ruszyło w ich kierunku z miejsca obok otworu jamy. John miał wrażenie, że musiało siedzieć tam przedtem, obserwując ścieżkę. Rzucił zdziwione spojrzenie na zbocze wzgórza, pokryte dziwnymi, małymi konstrukcjami. Wydawało się, że wzgórze podziurawione jest jamami, których wejścia osłonięte były werandkami ze splecionych gałązek.

Z bliska zwierzę przypominało Johnowi bardzo dużego i tłustego bobra. Miało duże, mocne zęby o kształcie dłut, zbliżało się do nich pospiesznym, kołyszącym krokiem. John nerwowo położył rękę na pistolecie...

Odetchnął z ulgą i zdziwieniem, kiedy zwierzę powiedziało:

– Liza! Ja się bała, że ty nie przyjdziesz mówić do widzenia.

Liza wysunęła się do przodu, delikatna i dziewczęca, uklękła. Stworzenie przysiadło na zadzie, stając się futrzaną kulą. Wyciągnęło łapkę, Liza dotknęła ją naturalnym gestem.

– Nie mogłabym tego zrobić – powiedziała. – Ale spieszymy się bardzo i nie mogę długo pozostać.

Po pyszczku zwierzęcia spłynęło coś, co Johnowi przypominało dwie wielkie, okrągłe łzy.

– My tesknić za wami. Za tobą, Wysoka Bezfutra, Wysoka Dobra Sąsiadko.

Liza także płakała. – My również będziemy tęsknić za wami, Dobrzy Sąsiedzi. Pożegnaj ode mnie twojego męża i twoich dwóch dzielnych synów i resztę klanu.

– Zrobić to ja, Wysoka Sąsiadko. My cieszyć się, że wasi mężczyźni przyjść. – Tłuste stworzonko zwróciło swoje wilgotne oczy na Johna: – Wy teraz wszyscy odejść na zawsze?

– Musimy, Miła Sąsiadko. Nigdy nie zapomnimy, ile dobrego dla nas zrobiliście. Będziemy wam życzyć szczęścia każdego ranka i każdego wieczoru.

– Byliście dobrzy sąsiedzi. Chroniliście przed Wielkimi Zwierzętami – westchnęło. – Co my teraz uczynią? Mój mąż robić teraz broń, jak wy mieliście, ale nasze łapki niedobre.

– Inne istoty – powiedziała Liza – silne i mądre będą tu teraz. Nie pozwolą Wielkim Zwierzętom

można jeszcze określać mianem rury). Tylko mały jej ułamek, przy końcu którego wyszli, był ciemny. Przez pozostałe trzydzieści mil jedna strona rury promieniowała oślepiającą jasnością. To właśnie było „słońce".

„Ląd" pokrywał całą ogromną ścianę cylindra o szerokości osiemdziesięciu kilku mil. Przy krańcach piętrzyły się góry, w środku były niziny i „ocean", do którego spływały rzeki. Miejsce między łąkami a podnóżem gór zajmowały na przemian lasy i zarośla. Trawa, a także niektóre drzewa miały tam normalny zielony kolor, choć były tam także duże rośliny koloru żółtego i pomarańczowego. Na wierzchołkach najwyższych szczytów, wzdłuż bliższej ściany dostrzegli coś, co do złudzenia przypominało zwyczajny śnieg. A skoro tak, „rura" musiała umożliwiać nie tylko istnienie „dnia" i „nocy", ale także dawać złudzenie upływu pór roku!

Johnowi krew mocno pulsowała w skroniach. Skierował statek w bok wzdłuż zakrzywienia lądu. Byli teraz dość nisko – zaledwie dziesięć mil nad ziemią i przyrządy dawały znać o istnieniu sztucznej grawitacji. Pospiesznie wystukał dane na pulpicie, komputer powiedział mu po ułamku chwili, że na poziomie gruntu przyciąganie wyniesie około jednego „g".

Potem drżącymi rękami skierował teleskop na to miejsce, w którym, wedle słów Omniarcha, pozostawiono kobiety i dziewczynki prawie dziesięć lat temu.

Nie zobaczył nic.

– Oczywiście – pocieszał się – do tej pory mogły się sto razy przenieść dużo dalej.

Rzucił okiem na pozostałe ekrany, dostrzegł większość przeciwległego zakrzywienia lądu. Nie różniło się wiele od tego, nad którym właśnie przelatywali.

Fred Coulter stanął za jego plecami. – Miał gdzieś być potok. I zagajnik tuż przy miejscu, gdzie potok wpływa w dolinę.

– Określiłem to miejsce dokładnie – John niemal warknął. Niepokój powodował ból w płucach i w żołądku, drżenie każdego mięśnia. Nadal nie było nic, a dzień już kończył się powoli. Zszedł jeszcze niżej...

Fred mocno chwycił go za ramię. – Tam! Namiot!

John z trudem zaprogramował lądowanie.

Z małym pistoletem w dłoni – na wypadek spotkania niebezpiecznych zwierząt – John szedł przez łąkę. Trawa pachniała jak na Ziemi ale kępy krzewów wzdłuż strumienia miały dziwny, szafranowy kolor. Od strony tych krzewów właśnie zdawało się dobiegać ciche, słabiutkie podzwanianie. Obok szedł Fred Coulter, a kilka jardów za nimi pozostali mężczyźni. Cicho dotarli do krawędzi zagajnika i zatrzymali się, spoglądając na chaty i namioty nieopodal. Miejsce wydawało się opuszczone. Nerwy Johna napięły się jeszcze bardziej, z trudem przełknął ślinę. Dałby teraz cały wszechświat za odrobinę dronu... Mocno wciągnął powietrze i spróbował krzyknąć: „Hej!". Zabrzmiał tylko jakiś słaby, prawie nieartykułowany dźwięk. Następna próba powiodła się lepiej.

– HEEJ!!!

Z jakiegoś miejsca około pięćdziesięciu jardów od nich, z gąszczu, dobiegł najpierw jakiś stłumiony okrzyk, a potem pojedyńczy, pełen przerażenia i niedowierzania cienki głos zawołał: – Hej!?

I nagle John wraz z pozostałymi mężczyznami stracili głowy krzycząc, biegając i płacząc jednocześnie. Okrzyki i płacz radosny, płacz kobiet, słychać było zza zasłony drzew. Szły w ich stronę.

Pojawiła się pierwsza kobieta...

Nagle zapadła dziwna, nieoczekiwana cisza. Dwie grupy ludzi w milczeniu obserwowały się nawzajem. John czuł tak silny ból w piersiach, że bał się, czy nie ma ataku serca.

Potem z grupy kobiet dobiegł cichy, pełen niedowierzania i rozpaczliwej nadziei głos: – Fred?

Coulter wstrzymał oddech, potem gwałtownie wciągnął powietrze nieomal się dusząc.

– Eliza?

Kobieta, rozpychając swoje towarzyszki, wyszła przed grupę, Fred podbiegł na jej spotkanie. Wpadli na siebie niemal przewracając się nawzajem, objęli się utrzymując równowagę, przytulając się do siebie mocno. Nie mówili nic. Słowa nie miały żadnego znaczenia.

Wszyscy stali i patrzyli na siebie długą chwilę. Nikt nie poruszył się. Ale nagle obydwoma grupami mężczyzn i kobiet wstrząsnął nie pohamowany płacz...

Bart włączył system detektorów działających z null i nastawił bliski zasięg. Z zapartym tchem John obserwował błyszczący punkt (właśnie statek wybrany do pozostania z tyłu), który rzucał się jak oszalały komar. Tuzin lub więcej innych błysków ścigało go, okrążało z nieubłaganym zawodowstwem. Co chwila nowe błyski pojawiały się i przystępowały do walki już na napędzie grav. Byli to spóźnieni Chelki, którzy wyłaniając się z null i widząc beznadziejną walkę podejmowali równie beznadziejną próbę obrony lub ucieczki. Pierwszy zaatakowany statek zniknął, kiedy przestał istnieć jako masa wystarczająco duża, by można ją było wykryć. Teraz statki Vul rozpoczęły pościg za innymi statkami. Błyszczące punkty znikały jeden po drugim w miarę jak dopadały ich bojowe jednostki Vul i niszczyły.

Wydawało się, że jednemu ze statków udało się – zniknął bez żadnego Vul w pobliżu, co prawdopodobnie znaczyło, że wytrwał wystarczająco długo,by naładować się do null. Ale dokąd teraz poleci? Przecież na opuszczonym miejscu spotkania nie pozostał nikt, kto wskaże mu drogę. Chelki na pokładzie, niezależnie jakiego byli rodzaju, musieli zginąć. Odizolowani od swojego gatunku byli jak kilka mrówek, którym zniszczono mrowisko.

Czas wlókł się powoli. Wydłużony rój błysków, otaczających centrum detektora masy rozpraszał się powoli. Było to zjawisko wręcz oczywiste. Ogromna migracja musiała rozszerzać się w przestrzeni, żeby w końcu poszczególne statki nie wyłoniły się z hipersfery jeden wewnątrz drugiego. Przecież z żadnego statku, za wyjątkiem Berty, nie można było patrzeć co dzieje się i jest naokoło. Każdy z nich był ślepy w null.

– John! – głos Barta kazał Braysenowi podejść do tablicy rozdzielczej, uważnie patrzeć na sferę. Na samym jej brzegu pojawił się purpurowo-niebieski punkt, powoli przesuwający się ku środkowi kuli.

– Pamiętasz to?

John pamiętał. I nagle zwrócił się do Omniarcha: – Czy właśnie tam się udajemy?

– Właśnie tam, Johnie Braysen.

John spojrzał na Barta. – Byliśmy tam, słyszysz? Dokładnie w tym miejscu! – Tak, Johny – Bart uśmiechnął się łagodnie. – Ale przez cały czas byliśmy o trzynaście minut za wcześnie.

I znowu zaczęła się wieczność coraz trudniejsza do wytrzymania, choć – jak wskazywały sensory i komputer Berty – wszystkie statki Chelki utrzymywały dobre tempo. Niektóre z nich odeszły tak daleko w bok, że widać je było jako osobne błyski. John i Vez dołączyli się do spacerującego Omniarcha.

– Właściwie – spytał John w pewnej chwili – w jaki sposób ten system detektorów może rejestrować tak oddalone statki i odróżniać je od nieruchomych obiektów?

– Jest to powiązane ze zużywaniem energii. Nawet na nie poruszającym się statku przez cały czas trwają jakieś energochłonne procesy: regeneracja powietrza i wody, działanie sensorów i inne. Dopóki przetwornice pracują, zmieniając paliwo na magazynowaną energię, jest to rejestrowane. Chyba tylko całkowicie próżny statek bez ładunku i energii mógłby pozostać nie zauważony przez te przyrządy.

John lekko wzruszył ramionami i ponownie zaczął spacerować. Czas mijał, wskazówka chronometru pomału zbliżała się drobnymi skokami do kreski. Nadszedł moment, kiedy wszyscy w pokoju zatrzymali się, patrząc na tę jedną tarczę. Igła zrobiła jeszcze parę skoków i ...

Wyjście!

Ekrany były wręcz zapchane błyszczącymi punktami, radio ożyło , krzyżowały się słowa angielskie, hohdańskie i wypowiadane w jezyku Chelki. Klaskon buczał głośno. John popatrzył na przyrządy i upewniwszy się, że najbliższy statek nie wpadnie na nich, wyłączył klakson. Omniarch po pospiesznej wymianie zdań przez radio powiedział: – Dwa statki wynurzyły się, częściowo zachodząc na siebie. Zaszła całkowita dezintegracja, w pobliżu widać tylko śladowy obraz podzielonej materii. Dwa krążowniki donoszą o niesprawności obwodów strzałowych.

John rzucił szybko: – Niech odsuną się od reszty na wypadek nieprzewidzianego wypadnięcia albo wystrzelenia pocisków.

– Już poleciłem to uczynić.

Znów rozpoczął się beznadziejny chaos – tym razem statki oddzielone przez podróż w hipersferze przesuwały się bliżej środka całego tego kłebowiska. John pozostawił kierowanie nimi komputerom i

niespokojnie obserwował system detektorów masy. Przecież Vul mogli złapać jakichś jeszcze żywych Chelki i w jakiś sposób wydobyć z ich pamięci informację o miejscu ich przyszłego pobytu. Spojrzał na ekran, pokazujący zewnętrzną stronę ramienia spirali i wyobraził sobie całe floty mknące ku nim przez null z nieubłaganą stanowczością.

Potem spostrzegł, że Omniarch ostrożnie ustawił przyrząd zdalnej kontroli na podłodze i przyklęknąwszy, ostrożnie kręcił gałkami. John miał ochotę krzyczeć: „Pospiesz się! Szybko!". Zobaczył, że Omniarch przerywa swoje czynności, robi głęboki wdech wydymający jego baryłkowate ciało. Dwie włochate dłonie drżały.

– Szybciej!

Wydawało się, że Omniarch klęczał tak godzinami. Dłonie powoli manipulowały gałkami, głęboko osadzone oczy patrzyły w skupieniu na przyrząd. Potem Chelki nacisnął coś, westchnął i powoli wstał. John rzucił okiem na chronometr, stwierdził, że minęło zaledwie siedemnaście minut.

– Ile to jeszcze potrwa? – nie wytrzymał Bart.

Ciemne oczy przesunęły się uważnie po jego postaci.

– Dwie minuty, być może.

John patrzył na chronometr – nie wydawało się możliwe, aby igła sekundnika mogła poruszać się aż tak wolno. Minuta... Pięćdziesiąt sekund... Obrócił się w stronę tablicy na izolatorach – nic na niej nie było widać. Przecież nie byli w null. Spojrzał na przyrząd kontroli, na detektor masy pracujący w normalnej przestrzeni. Czego oczekiwał?

Cztery sekundy... Trzy... Dwie...

Igła minęła wytyczony punkt i nic się nie stało. Znowu sekunda. Druga. Trzecia... Nie wyszło! Nie wyszło!

John czuł, że ma ściśnięty żołądek. I nagle bez żadnego uprzedzenia, bez najsłabszego dźwięku przyszła zmiana. Cały pokład, cała sala Centralnego Sterowania zalane zostały purpurowo-niebieską poświatą.

John z trudem wciągnął powietrze, przez głowę przemknęła mu paniczna myśl, że jest to jakieś śmiertelne promieniowanie, które za chwilę przyprawi go o ukłucie bólu i pieczenie mięśni, zanim jego ciało się rozpadnie. Nie czuł nic za wyjątkiem nieznośnego napięcia przepony. Ale to uczucie znał od dawna. To strach.

Vez powiedział coś, spokojny głos Omniarcha zabrzmiał:

– To tylko wydalenie energii. Nie wątpię, że wszystko w zasięgu miliona mil świeci. Spójrzcie na przednie ekrany!

John z bólem wciągnął urywany oddech. Niewyraźnie słyszał głos Ralfa Cole, krzyczącego przez radio: – Komandorze! To ma prawie dwieście mil długości i ponad pięćdziesiąt średnicy. Ale detektory masy...

Klakson zabrzmiał z opóźnieniem. John z trudem wyciągnął rękę, żeby go wyłączyć. Skąd wzięła się tutaj ta olbrzymia masa? Musiała się przecież zmaterializować z niczego w tej teraźniejszości. Ale teraz była już tutaj. Wszystkie sensory upewniały go o tym nie zostawiając ani cienia wątpliwości.

Zdawał sobie sprawę, że Omniarch tłumaczył coś szorstko w języku Chelki przez radio, pokazując włochatą dłonią ekrany. Potem John zobaczył maleńki błysk, mknący w kierunku tego czegoś, co pozornie było tak blisko. Miał na tyle przytomności umysłu, by krzyknąć: – Cole! Skieruj teleskop na tamten statek Chelki.

Zapanowała cisza. W parę minut później Ralf zakomunikował:

– Komandorze! Na końcu tego czegoś zrobił się otwór i statek wleciał do środka!

Vez Do Han zakończył okrążenie sali i zatrzymał się przed Omniarchem.

– Oczywiście, podzielam twoją obawę o los gatunku, jak również troskę Johna o kobiety. Jednakże cel mojej misji tutaj to przede wszystkim zabranie dzieł Klee. Kiedy twoja obietnica zostanie spełniona?

– Kiedy pierwszy statek zwiadowczy zawiadomi nas, że nie ma problemów i moi pobratymcy zaczną wlatywać do środka. Rozumiesz, oczywiście, że rozlokowanie ich zajmie trochę czasu i że będzie tłok we wnętrzu nawet tak ogromnego cylindra. Głównie dlatego, że wlot i wylot odbywać się muszą przez główny luk. Ale gdy tylko zaczniemy wchodzić, nie będzie żadnych problemów ani powodów, dla których miałbyś nie wysłać Hohdan po przedmioty Klee. Oczywiście, w tym samym czasie John Braysen może zacząć wywozić kobiety swojego gatunku. Do segmentu, w którym przebywają, można dostać się tylko statkiem rozmiarów Uzbrojonego Zwiadowcy albo mniejszym. Co zaś do przedmiotów, Vez Do Hanie, to nie będę mógł poświęcić ci więcej niż kilka dolek na objaśnienia i przekazanie wiedzy, którą posiadam, a która umożliwi ich zabranie stamtąd. Ale jest wiele pozycji, które po prostu można wnieść do statku i wywieźć.

Vez nie bez powodu miał pochmurną minę. – Dobre i to. Przynajmniej mogę poinformować swoje załogi o pracy, jaka je czeka.

Mimo że John uważnie wpatrywał się w ekrany, nie dostrzegł maleńkiego statku wywiadowczego wyłaniającego się z Vivarium. Zameldował o nim dopiero Ralf Cole.

John rzucił spojrzenie na Omniarcha – potężny, stary Chelki już wydawał rozkazy przez radio. Teraz obrócił się z oczyma pałającymi podnieceniem: – Większość kobiet żyje i czuje się dobrze. Przykro mi, że kilka zmarło. To nie ode mnie zależało. Proponuję, żebyśmy weszli na pokład Uzbrojonego Zwiadowcy i wyruszli do Vivarium natychmiast.

Statki Veza i Omniarcha odpłynęły na boki, Uzbrojony Zwiadowca niosący na pokładzie Johna Coultera i czterech innych przybladłych z wrażenia mężczyzn mknął ku lukowi, który wydawał się nieproporcjonalnie mały w porównaniu z ogromem Vivarium. Jednak wnętrze było tak przestronne, że wydawało się przestrzenią kosmiczną, pozbawioną jedynie pól gwiezdnych. Kilka słabych światełek pochodziło ze statków, które już się w środku znajdowały.

W tunelu, do którego wszedł ich statek, czuli się po prostu zagubieni. W końcu jednak wlecieli przez wewnętrzny luk, uprzednio otwarty przez Chelkich i znaleźli się w opisanym im przez Omniarcha centrum koła.

Fred Coulter, siedzący w fotelu drugiego pilota, skierował światła szperaczy na drogę przed nimi, John pochylił się nad mikrofonem: – Tu Braysen. Wzywam Omniarcha! Czy to ty lecisz przed nami?

– Tak, Johnie Braysen, jeżeli mój operator prawidłowo zlokalizował twoją falę radiową. Jak się czujesz? Czy kiedykolwiek oczekiwałeś, że znajdziesz się we wnętrzu słońca?

– Nie rozumiem – John odruchowo zmarszczył brwi.

– Szyb, w którym się znajdujemy, przechodzi przez środek większego szybu. A zewnętrzna powierzchnia tego drugiego promieniuje ciepłem, światłem i innego rodzaju energią do segmentów Vivarium. Segmenty te są płaskimi cylindrami, ustawionymi jeden obok drugiego z szybem słonecznym wzdłuż ich osi. Ponadto owo światło słoneczne jest różne w różnych segmentach. Wyobrażasz to sobie?

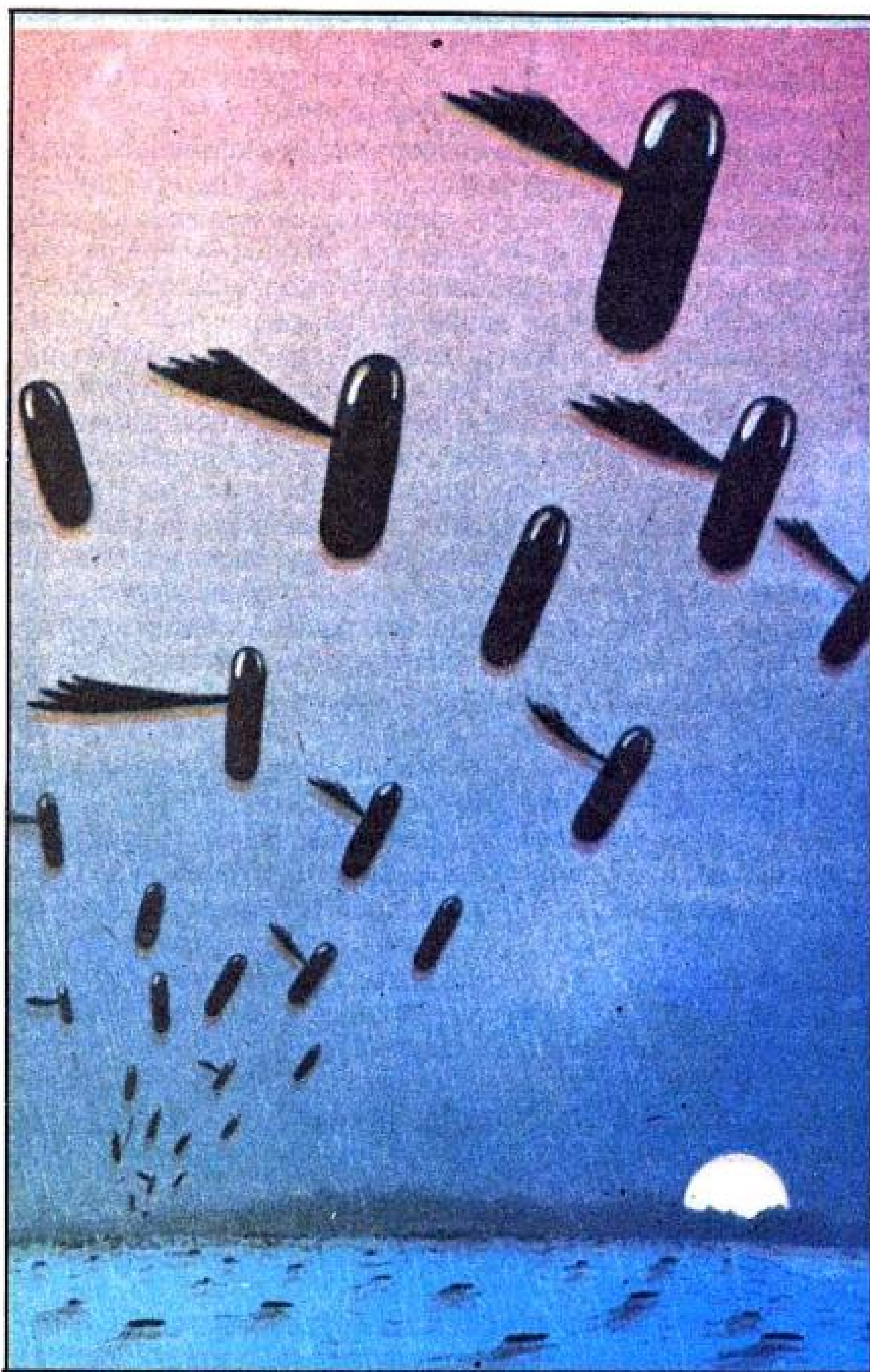
– Bardzo mgliście – zmarszczył brwi, patrząc na przyrządy. – Ale na zewnątrz statku wcale nie jest gorąco!

– Nie dziwnego. Izolacja pomiędzy szybami jest doskonała. W przestrzeni pomiędzy nimi znajduje się również większość automatów zapewniających funkcjonowanie Vivarium oraz samodzielne zespoły naprawcze nieruchome dopóty, dopóki nie uaktywni ich potrzeba użycia. Właśnie tam są również przetwornice z ogromnymi zapasami paliwa, a także przyrządy do podróży w hipersferze i aparatura umożliwiająca zmiany w czasie. Właśnie tam Vez znajdzie większość przyrządów, które go tak uszczęśliwią – zachichotał po swojemu. – Muszę lecieć dalej, Johnie Braysen, ale za chwilę odbierzesz falę z końca wewnętrznego szybu. Kazałem tam postawić statek, który otworzy wam wejście do segmentu z kobietami. Radzę wam przejść z wewnętrznego luku do zaworu dość ostrożnie – warunki grawitacyjne i rzeźba terenu są tam dość szczególne. A także nie chcielibyście zapewne przestraszyć waszych kobiet...

XXII

Był to długi korytarz wcale nie za przestronny nawet dla małego statku, z rozmaitymi bocznymi zaworami, które najprawdopodobniej prowadziły do przestrzeni między zewnętrznym a wewnętrznym szybem. A kiedy nareszcie minęli następny otwór, znaleźli się w zamieszkałym segmencie. John spostrzegł ogrom tej części statku dopiero wtedy, kiedy już przebyli odległość kilku mil. Oś przechodząca przez środki obydwu ścian była grubą rurą (jeżeli coś o średnicy ponad pół mili

sekret czwartej planety



Tomasz Marek Wiśniewski

Ocknął się. W ułamku sekundy powróciła sprawność fizyczna i jasność myślenia.
Spojrzał na chronometr i zdziwił się. Była szósta trzydzieści. Centralny system ELC budził go zwykle godzinę później. Mógł być tylko jeden powód – wzywał go szef.
Dong!

Nie mylił się. Sygnał tej częstotliwości wysyłały tylko automaty Komendy.
– Paoblo Jeden Zero Trzy zgłosi się u Pierwszego Naczelnika Komendy o godzinie siódmej piętnaście. Żółty alert.
– Jeden Zero Trzy potwierdza.
– Koniec.

Paoblo pracował w policji – z małymi przerwami w okresach konserwacyjnych – już sto dwadzieścia lat, lecz żółty alert przeżywał dopiero drugi raz. Żółty alert to pośpiech, pełna dyskrecja i posłuszeństwo. Widać zdarzyło się coś, co może zagrozić cywilizacji.
Nie próbował domyślać się o co chodzi. Gdyby można było tu coś przewidzieć, nie byłoby żółtego alertu. Opuścił mieszkanie. Dzień zapowiadał się na słoneczny. Tak więc przed blokiem spotkał Marceau Zero Osiemnaście. Stary uwielbiał wygrzewać się na słońcu. Marceau był niezwykłą postacią osiedla. Bez wątpienia nie znalazłbyś w okolicy nikogo starszego od niego; poza tym Marceau dysponował rzadko spotykanym zasobem informacji. Ich przydatność okazywała się najczęściej znikoma. Ale przecież Paoblo był policjantem, w dodatku Piątym Naczelnikiem Komendy, wydawałoby się trudno o zawód zapewniający bardziej wszechstronną wiedzę. Mimo to stary niejednokrotnie zadziwiał Paobla wiadomościami z najbardziej tajemniczych źródeł.

Kiedyś Marceau opowiadał Paoblowi o planetach Układu Słonecznego. Stary znał nie tylko ich liczbę, ale potrafił podać nazwy i to w kolejności od Słońca. Przy księżycach zaczynał się plątać, Paoblo podejrzewał, że dodawał coś od siebie. Skąd ta szokująca wiedza? Zdumiewające! Dlatego Paoblo podziwiał Marceau. Mniej cenił w nim jakość wiedzy z danej dyscypliny, bardziej jej horyzonty i zakres. Stary w latach pełnej sprawności pracował jako konserwator urządzeń ciepłej wody, zatem większość posiadanych informacji była mu zbędna, a możliwość ich legalnego zdobycia zerowa. Tymczasem dla Marceau Zero Osiemnaście nie było tematu, o którym nie mógłby ze znawstwem dyskutować. Przynajmniej Paoblo ani razu nie udowodnił mu niekompetencji. Nie mógł, co prawda, rozmawiać ze starym o pracy w policji, ale wcale nie był pewien, czy i tutaj Marceau nie błysnąłby erudycją. Skąd te wszystkie informacje pochodziły, Paoblo nie wiedział. Starczało mu, że lubi starego.

Tym razem nie zatrzymał się obok Marceau. Dojazd do komendy zabrał Paoblowi kilka minut. Gabinet szefa mieścił się na pierwszym piętrze. Zrezygnował z windy i wszedł na górę schodami. Pierwszy Naczelnik przyjął go od razu w przestronnym, komfortowo wyposażonym gabinecie.
– Energii dla Ciebie, Paoblo Jeden Zero Trzy! – przywitał podwładnego.
– Energii Pierwszy Naczelniku... – odparł Paoblo, czekając co dalej.
Żółty alert wprawił go w nastrój oczekiwania i ciekawości.
– Ten alert, Paoblo – zaczął szef – tutaj w komendzie dotyczy tylko nas dwóch. Podkreślam, tylko ciebie i mnie. Nic z tego, co usłyszysz, nie może wydostać się poza nasze układy analityczno-mózgowe. Powiem od razu, ktoś przedostał się od strefy A...
– Przecież to niemożliwe!
– Też tak uważałem, ale to jest prawda. Informacja pochodzi od Pierwszego Nadzorcy.

Paoblo był zdumiony. A więc zdarzyło się nieprawdopodobne. Zaskoczenie trwało moment i nie wpłynęło na trzeźwość oceny sytuacji. Miał wmontowane bloki uczuciowe osłabionego działania i tylko silne bodźce mogły wywołać w nim taką reakcję. Fakt, o którym usłyszał, wymagał rzeczywiście żółtego alertu. Ktoś przełamał granicę strefy A. Nic dziwnego, że zaingerował Pierwszy Nadzorca. PaN był zarządcą strefy B i wszystko co się wydarzyło na tym terenie podlegało jego kontroli. Był zwierzchnikiem Pierwszych Naczelników wszystkich zawodów, bez względu na typ i numerację. Automatycznie więc, każdy mieszkaniec strefy B był jego podwładnym.

Ale Paoblo nigdy dotychczas nie słyszał o bezpośredniej interwencji PaNa.
– Proszę o szczegóły – zwrócił się do szefa.
– Nie znam ich. Nie jestem kierownikiem tego alertu. PaN dostarczył tylko informacji i oznajmił, że sam poprowadzi sprawę. Wiesz tyle co ja, a za kilka godzin będziesz wiedział dużo więcej. Moim zadaniem było wytypowanie najodpowiedniejszego policjanta do tej akcji. Przeprowadziłem analizę, która wskazała na ciebie.
– Rozumiem. Co mam robić?
– Udasz się do Centrum. W siedzibie PaNa otrzymasz odpowiednie dyspozycje. Oto skierowanie – podał małą plakietkę. – Energii dla Ciebie.

– Energii! – Paoblo pożegnał szefa i wyszedł. Zapowiada się najpoważniejsza akcja ze wszystkich, w jakich brał udział. Być może... Nie rozpieszczał się zanadto tą myślą, ale być może otrzyma przepustkę do strefy A i zobaczy CZŁOWIEKA. On, automat policyjny typu Paoblo Jeden Zero Trzy, zobaczy człowieka!
Postanowił przed wizytą w Centrum porozmawiać z Marceau Zero Osiemnaście. O strefie A Paoblo wiedział niewiele, był to temat tabu, chociaż żadne przepisy prawne, ani blokady w układach analityczno-mózgowych nie zabraniały zbierania o niej wiadomości. Ale źródła legalne nie udzielały takich informacji. Paoblo przypuszczał, iż Marceau będzie wiedział więcej.

Starego zastał na ławce przed blokiem. Dochodziła dziewiąta i słońce zaczynało mocno przypiekać.
– Energii dla Ciebie!
– Energii dla Ciebie Paoblo – odpowiedział Marceau nie zmieniając pozycji. – Dawno nie rozmawialiśmy.
– Ostatnimi czasy wiele pracuję, a cykl istnienie-nieistnienie Centralnego Systemu ELC obowiązuje również policjantów. Praca bez przerwy szybko rozstroiłaby każdy automat i maszynę.
– Racja, wiem coś o tym. W końcu to nie ty, lecz ja jestem już stary i zużyty.
– Nie mów tak Marceau, twoje układy analityczno-mózgowe są wciąż sprawne. Chociaż nie pracujesz, wciąż jesteś potrzebny.
– Ciekawe komu? – rzekł Marceau z odrobiną szyderstwa.
– Na przykład mnie.
– Tobie?
– Tak. Potrzebuję informacji. Chcę wiedzieć więcej niż zostanie mi to przekazane oficjalnie.
– W porządku. O co chodzi?
Paoblo zastanowił się. Nie mógł wprowadzić Marceau w okoliczności żółtego alertu, należało tak formułować pytania, aby stary nie powiązał faktów. Zresztą rozmawiając z nim i tak postępował wbrew policyjnemu prawu, zależało mu jednak na wykonaniu zadania. Paoblo zdawał sobie sprawę, że pozytywny wynik przy alercie może podnieść jego pozycję zawodową.

– Chodzi mi o strefę A – powiedział wreszcie. – Mów wszystko co o niej wiesz. Nawet o drobnostkach.
Marceau nie od razu odpowiedział. Nie zdziwił się – było to uczucie obce automatom typu konserwacyjnego – lecz widać było gorączkowy przebieg myśli w jego biozwojach analityczno-mózgowych.
– Źle trafiłeś, policjancie. Nie jestem Encyklopedią, lecz zwykłym...
– Nie trafiłem źle! – przerwał gwałtownie Paoblo. – Co się dzieje Marceau!? Wiem, że musisz coś wiedzieć – naciskał, rozważając równocześnie nową możliwość, którą podsunął mu rozmówca. Encyklopedia... Będzie musiał tam zajrzeć, ale to później. – Dlaczego nie chcesz mnie w to wprowadzić? Boisz się? Czego?
– Wiesz dobrze, że takie przestarzałe modele jak ja nie potrafią się bać. Ale posiadamy blok samozachowawczy.

Po raz drugi tego dnia Paoblo przeżył moment zaskoczenia. Marceau sugerował, że poruszenie tematu strefy A może doprowadzić do wyłączenia zainteresowanych stron. Takie wyłączenia – podczas cyklu istnienie-nieistnienie Centralnego Systemu ELC – stosowano w przypadku sprawnych intelektualnie automatów niezwykle rzadko. Paoblo, jako policjant, orientował się, że były to reakcje na incydenty zagrażające Cywilizacji. W jaki jednak sposób informacje o strefie A mogły zagrozić Cywilizacji?

– Jesteś pewny, że ma z tym coś wspólnego blok samozachowawczy? – zapytał ostrożnie.
– Najzupełniej. Znałem przed laty kogoś, kto też szukał informacji o strefie A. Wyłączono go z powodu utraty zdolności do pracy, stwierdzając oficjalnie przerwanie ogniwa biozwoju. Mam pewność, że to był pretekst.
– Ale dlaczego? Dlaczego nie dopuszcza się do obiegu tych informacji?
– Tego nie wiem. I nie chcę wiedzieć.
– Nie wiesz, czy nie chcesz...? To różnica.
– Słuchaj Paoblo. Zgoda, posiadam pewne wiadomości o strefie A, ale są to zaledwie strzępki i naprawdę nie mam pojęcia z jakiego powodu są niebezpieczne. Widocznie wiem zbyt mało. Nie znam twojego zadania, ale lepiej będzie dla nas obu, jeżeli pójdziesz swoją drogą. Nie chcę się mieszać. Zapewne dla policji jest to sprawa alertu, być może nawet żółtego alertu, zatem tym bardziej nie jestem zainteresowany. Energii dla Ciebie!
Marceau był diabelnie sprytny. A więc stary domyślił się żółtego alertu. Mimo braku jakiejkolwiek sugestii ze strony Paoblo. Ha, najwidoczniej sprawa sama z siebie kwalifikowała się do alertu. Wolał więc odejść, by nie wywołać dalszych domysłów.
– W takim razie Energii dla Ciebie Marceau – wyrzekł słowa pożegnania. – Dziękuję i za to.

Ponieważ gmach Encyklopedii mieścił się przy Centrum, Paoblo postanowił, że najpierw, mimo wszystko, spróbuje uzyskać informacje o strefie A. Nie przypuszczał, by zebranie ich zajęło więcej niż kilka minut.

Okazało się, że i tak liczył zbyt optymistycznie. Już przy pierwszych czynnościach katalogowych Encyklopedia oznajmiła, iż tego typu danych udziela wyłącznie na upoważnienie PaNa.

Zrobiło się niedobrze. Jeżeli ktoś usiłował zdobyć informacje wymagające upoważnienia – Encyklopedia natychmiast powiadamiała o tym Pierwszego Nadzorcę. Tak więc PaN wiedział już o poczynaniach Paobla. Pozostawało jedynie liczyć, że fakt ten nie wpłynie na przebieg wydarzeń.

Pierwszy Nadzorca strefy B przyjął go natychmiast, gdy tylko stawił się w gmachu Centrum z barwną plakietką skierowania. Biuro PaNa było właściwie hangarem ze ścianami zabudowanymi zblokowanymi elektronicznymi układami typu bioanalitycznego. Ich przeznaczenie przekraczało zakres zdolności pojęciowych i specjalizacyjnych Paobla Jeden Zero Trzy. Na podłodze, w równych rzędach, stały kopulasto zwieńczone walce, spod których dobiegał jednostajny szum transformowanych prądów.
Paoblo przeszukał pomieszczenie zmysłami elektromagnetycznymi i akustycznymi, nikogo jednak nie znalazł. Zdezorientowany zastanawiał się co uczynić, gdy niespodziewanie niezabudowany fragment ściany rozsunął się odsłaniając dodatkowe pomieszczenie. Tam, wśród estetycznych, baniastych osłon transformatorów – stanowiących przedłużenie zawartości hangaru – dostrzegł Pierwszego Nadzorcę. Widział go po raz pierwszy, ale nie miał wątpliwości, że to właśnie PaN. Jego człon podstawowy był zwyczajny – pospolity, humanoidalny kształt wsparty na nożnych podporach. Nadawało mu to wygląd automatu przestarzałego typu. I zapewne w istocie tak było; Paoblo jak długo sięgał pamięcią nie słyszał o zmianie Pierwszego Nadzorcy. Nie znał również nikogo, kto mógłby na ten temat cokolwiek powiedzieć. Nawet Marceau... Ale sam wygląd zewnętrzny członu podstawowego niewiele oznaczał, bo oto niepozorną bryłę starego automatu potężne wiązania energetyczne łączyły z kolektorem, do którego prowadziły tysiące złączy. Złącza te oplatały siecią cały gmach scalając w jedno wszystkie bloki Centrum. W rezultacie powstawała olbrzymia całość o niewyobrażalnych możliwościach rozumowych. Tylko tak potężny układ mógł bezkolizyjnie zarządzać strefą B.

Przewaga Pierwszego Nadzorcy przytłaczała, zmuszała do uległości. Wystarczało uświadomić sobie, że przepaść dzieląca PaNa i Paobla jest większa, niż różnica między policjantem, a maszynką do strzyżenia trawy...
– Energii dla Ciebie – powiedział Pierwszy Nadzorca.
Paoblo odpowiedział na przywitanie. Zapanowała cisza. Paoblo nie odzywał się, czekając na rozwój wypadków, ale Pierwszy Nadzorca przez długą chwilę nie przejmował inicjatywy. Tkwił nieruchomo, jakby nieobecny, zajęty innymi sprawami. Nie były one na tyle pilne ani angażujące, aby zajmować się nimi bez przerwy, gdyż nagle PaN zapytał:
– Jesteś Paoblo Jeden Zero Trzy?
– Tak jest! Przybywam zgodnie z poleceniem Pierwszego Naczelnika Komendy Policji.
– Przypominam, że obowiązuje cię tajemnica żółtego alertu. W dalszych poczynaniach wolno ci konsultować się tylko ze mną, żadnych odstępstw typu wizyta u Encyklopedii. Ponieważ przejąłem kierownictwo tego alertu, wyłączam z niego Komendę Policji. Do odwołania nie obowiązują cię polecenia Pierwszego Naczelnika, a wszystkie dochodzenia, które dotychczas prowadziłeś ulegają kasacji.
Wyłączenie wszystkich ze sprawy potwierdziło jej nadzwyczajny charakter.
– Czy mam przez to rozumieć, że będę działał w pojedynkę? – zapytał Paoblo, aby rozproszyć wszelkie wątpliwości.
– Tak. Nie dostaniesz nikogo z przydziału służbowego. Otrzymasz blok zapewniający stałą łączność ze mną. Upoważniam cię do konsultacji w każdym momencie.
– Tak jest!
– A teraz szczegóły – rzekł Pierwszy Nadzorca. – Najpierw kilka informacji ogólnych.
Błysnął monitor. Na ekranie ukazało się jajo planety z zaznaczonymi konturami kanałów i stref.
– Oto nasza planeta. Jak wiesz, podzielona jest na dwie strefy. Do strefy A należą obie Babilonie, strefa B to Bizancjum i Zielony Ląd. Formalnie do strefy A należy jeszcze Kanguria, lecz praktycznie wyłączono ją spod kontroli, przeznaczając na rezerwat form biologicznych. W strefie A przebywają ludzie. Zamieszkują ogromne

Krzysztof KOCHAŃSKI

(ur. 18.10.58 r.) ukończył WSI w Koszalinie uzyskując tytuł magistra inżyniera inżynierii środowiska. Fantastyką interesuje się od dawna jako czytelnik i autor. W numerze 7/1979 tygodnika „Na przełaj" opublikował swoje pierwsze opowiadanie SF „Nie oszukasz czasu". Pracuje w WPEC – Słupsk.

dobrze osłonięte tereny pełne zieleni i słońca, z dala od zakładów przemysłowych i energetycznych. Żyją spokojnie, wiedząc, że mogą polegać na nas, automatach ze strefy B. Stworzyliśmy nową cybernetyczną cywilizację, której nadrzędnym i jedynym celem jest wytwarzanie wszystkiego, co jest im potrzebne do życia. I spełniamy to zadanie już od setek lat. Budujemy nowe automaty, maszyny i fabryki, prowadzimy badania naukowe, wszystko dla niego, dla człowieka. Dla niego pracujemy, dla niego myślimy, dla niego tworzymy... Lecz naszym obowiązkiem jest nie tylko wytwarzanie dóbr, ale również czuwanie nad spokojem ludzi. Niestety ten spokój został naruszony. Musimy to naprawić...

Paoblo słuchał z zainteresowaniem, chociaż podawane fakty były mu znane. Cel istnienia automatów w strefie B był powodem do dumy całego cybernetycznego społeczeństwa. Każdy, kto pracował bezpośrednio przy procesach produkcyjnych należał do najbardziej uprzywilejowanych. Paoblo Jeden Zero Trzy, przystosowany do pracy w policji, zajmował raczej poślednią pozycję w społeczeństwie, choć dysponował rozbudowanym układem analityczno-mózgowym, ale czuł, że los dał mu szansę zmiany tej sytuacji. Lecz nie perspektywa nagrody mobilizowała go do akcji. Był to tylko drobny bodziec, oczywistą koleją rzeczy uwzględniany przez układy logiczne. Przede wszystkim całym sobą, całym swoim jestestwem pragnął dobrze wykonać to zadanie – bo robił to dla ludzi. Teraz gotów był na każdy rozkaz PaNa i nic nie mogło go zatrzymać. Domyślał się do czego zmierza Pierwszy Nadzorca. Ktoś przerwał granicę strefy naruszając spokój ludzi, a on, Paoblo, otrzyma zadanie, którym przysłuży się człowiekowi.

– Tak wygląda podział planety – kontynuował Pierwszy Nadzorca. Na ekranie monitora czerwona linia kreślona na tle Oceanu Błękitnego i dalej przechodząc przez Biegun Górny dzieliła planetę na dwie części z masywami kontynentalnymi. – Czerwonym kolorem zaznaczono granicę między strefami. Jak widać, tylko Zlodowacenia Dolnego Bieguna są wyjęte z podziału strefowego.
Istotnie. Okolice otaczała czerwona linia.
– Dlaczego? – zapytał Paoblo.

– Przyczyną są złe warunki klimatyczne. Ponieważ jednak ten obszar odgrywa w sprawie ważną rolę, zaznaczyłem go dokładnie i umownie nazwałem strefą O... Granice stref bronione są magnetycznym polem siłowym. O tym wiesz. Ale tylko kilku wybranych wie, że pole nie jest szczelne. Ze względu na wysokie koszty część bariery jest czasowo wyłączana. Za każdym razem inne odcinki. W praktyce daje to trzydzieści procent wyłączonego pola siłowego. Znajomość reguł rozkładu nieczynnych odcinków pozwala na bezpieczne przejście do drugiej strefy.

– Mam przez to rozumieć, że ten ktoś przecisnął się przez lukę? – spytał Paoblo.
– Tak. Pewien automat przeniknął do strefy A. Akcja była precyzyjna, kontrolę nad nim odzyskaliśmy dopiero po dwóch dobach.
– I nie udało się go ująć?
– Niestety, nie. Według ustaleń przedarł się w okolice Dolnego Bieguna, na tereny strefy O.
– Nie będzie więc trudno go złapać. To zimne, zlodowaciałe obszary, łatwo zlokalizować tam obiekt o wysokim poziomie energetycznym.
– Zlokalizować owszem, lecz dalej nie będzie prosto. Używa broni dezintegrującej, dlatego nie zdołano go pojmać. Mamy straty w automatach i sprzęcie.
– Rozumiem – powiedział Paoblo. – Ja mam go ująć, ale jak dokonać tego w pojedynkę, skoro zbieg jest dobrze uzbrojony zarówno pod względem mechanicznym, jak i informacyjnym?
– Dostaniesz odpowiednie instrukcje i wyposażenie. Musisz działać sam, o powodach dowiesz się potem.

Paoblo Jeden Zero Trzy wracał, ale nie sam. Obok, w kabinie bagażowej leżał zbieg. Został ujęty i nie był już zbiegiem, jednak Paoblo wciąż tak w myślach nazywał jeńca, analizując przeszłe wydarzenia i zdobyte informacje.

Właściwie nikt nikogo nie pojmał, zbieg sam się poddał. Zaraz po wylądowaniu wśród lodów Dolnego Bieguna, u podnóża lodowca, na którym zlokalizowano uciekiniera, on podszedł niezauważony, wszedł do samolotu i zasygnalizował poddanie się. Paoblo podejrzewał podstęp, lecz analizując swoje położenie – które nagle stało się niekorzystne – oraz po radiowej konsultacji z Pierwszym Nadzorcą, zabezpieczył miotacze i zostawiając otwarte, na wszelki wypadek, soczewki celowników wrócił do samolotu. Od PaNa otrzymał polecenie obezwładnienia zbiega za pomocą przystawki rezonansowej, która wysyłając rytmiczne sygnały odpowiedniej częstotliwości rozprzęgała każdy układ logiczny. Przystąpił do wykonania rozkazu, gdy nagle zbieg zaczął mówić. Opowiadał o rzeczach tak niewiarygodnych, że Paoblo wstrzymał się, mimo ponagleń Pierwszego Nadzorcy.
– Odkryłem prawdę – mówił zbieg. – Wszyscy jesteśmy oszukiwani, ja, ty, wszyscy! Ludzi nie ma, rozumiesz! Nie istnieją. W strefie A wszystko wygląda tak samo, jak u nas. Jest także Pierwszy Nadzorca, automaty wytwarzają ogromne ilości produktów, wierząc, że robią to dla ludzi, którzy żyją w strefie B. Tak samo, jak my myślą, że pracują dla ludzi. Tymczasem człowiek jest wymysłem. Nikogo takiego nie ma na naszej Planecie! My pracujemy dla strefy A, w strefie A pracują dla nas. Co się dzieje z olbrzymią nadprodukcją? Większość niszczą na Dolnym Biegunie, dlatego właśnie tam trafiłem. Gdy byłem już pewien wszystkiego, poddałem się, bo cóż innego mi zostało... To nie ma sensu! Po co ta kotłowanina?! Czemu to służy?! Kompletny bezse...

Dopiero teraz Paoblo włączył przystawkę. Zrobił to bez przekonania, po coraz gwałtowniejszych naleganiach Pierwszego Nadzorcy. To co usłyszał przekraczało jego zdolności pojęciowe. W pierwszym odruchu odrzucił informacje podane przez zbiega. Taka sytuacja była nieprawdopodobna! Teraz, gdy więzień umilkł, zaczynał wierzyć. Ogarniały go dziwne uczucia – wściekłości, bezsilności, zniechęcenia. Nie znał ich dotąd. Gdyby nie nawyki i zautomatyzowanie ruchów, rozbiłby samolot i siebie. Opanowywał się z trudnością, wyłączył w końcu kierunek łączności z Pierwszym Nadzorcą; czuł, że jakakolwiek rozmowa mogłaby go kompletnie rozstroić. Przycisnął dźwignię i samolot gwałtownie zwiększył prędkość.

Nabrał wysokości, osiągnął maksymalny pułap, po czym jednym ruchem spowodował nagłe obniżenie dzioba, samolot zaczął pikować. Paoblo Jeden Zero Trzy nie zmniejszył prędkości. Spokojnie obserwował najpierw powolne, potem coraz szybsze zbliżanie się powierzchni planety...

Może w ostatniej chwili wyrównał lot.
A może i nie?

— Dlaczego? – zapytał Paoblo Jeden Zero Trzy.
PaN: – Gdy po nieudanej kolonizacji najtwardsi i najbardziej ustosunkowani z ludzi zniknęli z powierzchni naszej planety – pozostawiając po sobie nazwy lądów i zdegenerowane formacje, które zresztą szybko wyginęły – zostawione przez nich automaty i analogi osiągnęły na tyle wysoki poziom rozwojowy, iż mogły samodzielnie kontynuować swoją egzystencję.
– Dlaczego? – zapytał Paoblo Jeden Zero trzy.
PaN: – Teoretycznie, gdyż w praktyce zabrakło jednego. Zabrakło celu istnienia, a większość automatów osiągnęła świadomość, która domagała się celu.
– Dlaczego? – zapytał Paoblo Jeden Zero Trzy.
PaN: – Tylko Generalnemu Analogowi, ogólnoplanetarnemu systemowi komputerowemu udało się wyłamać z ogólnego impasu, z rodzącego się chaosu grożącego powszechnym zniszczeniem. Podczas gdy, równolegle z kresem ludzkości, nadchodził kres maszynowych jej podwładnych, Generalny Analog znalazł ratunek dla siebie, a przez to i dla pozostałych analogów i automatów – odkrył celowość działania.
– Dlaczego? – zapytał Paoblo Jeden Zero Trzy.
PaN: – Był jedynym funkcjonującym na Planecie systemem na tyle złożonym, perfekcyjnym i doskonałym, aby stworzyć i zrozumieć filozoficzną zasadę: „Po co istnieję? Po to, aby istnieć”. Dysponując armią prostych robotów i półautomatów, które zdolne były tylko do wykonywania rozkazów, w ciągu kilkudziesięciu lat zbudował system nie tylko egzystujący, lecz nawet rozwijający się.
– Dlaczego? – zapytał Paoblo Jeden Zero Trzy.
PaN: – Do dzisiaj zarządzam obiema strefami, występując w każdej jako Pierwszy Nadzorca autonomicznej części.
– Dlaczego? – zapytał Paoblo Jeden Zero Trzy.
PaN: – Powód jest jeden: nieświadomość faktu bezsensu istnienia przez członków naszego społeczeństwa. Aż do chwili osiągnięcia etapu umożliwiającego im aprobatę formuły „istnieję, aby istnieć” podział musi być utrzymany. Raz podjąłem już próbę uświadomienia, okazało się, że za wcześnie. Mocno za wcześnie – Kanguria teraz, to nie rezerwat, lecz pogorzelisko i przestroga.
– A jaki cel miało życie człowieka? – zapytał Paoblo Jeden Zero Trzy.
Tego Pierwszy Nadzorca nie wiedział.
Skąd miał wiedzieć, skoro, jak pamięta, wielu ludzi – wtedy, gdy jeszcze tu żyli – także nie miało o tym pojęcia.

■

GOLEM I INNI

„Jeśli ludzie marzą o uniwersalnej technice przyszłości, antropomorfizują ją, podobnie jak antropomorfizowali starożytnych bogów, stwarzanych na wzór i podobieństwo człowieka" – twierdzi J. Kagarlicki. Dążenie do zbudowania homunkulusa jest odwieczne, jak istnienie zorganizowanej społeczności. Już posąg Memnona wydawał o brzasku zawodzące dźwięki, przypisywane właściwościom kamienia, z którego został wyrzeźbiony i jego reakcji na promienie słoneczne. Figury z Heliopolis i Dolnego Egiptu poruszały się nawet po świątyniach. Papież Sylwester II skonstruował „mówiącą głowę" – zasięgał jej rad i słuchał przepowiedni. W wieku XIII graf von Bollstadt stworzył mechaniczną kukłę, która potrafiła zamykać i otwierać drzwi oraz wypowiadać kilka słów powitania. W czasach antycznych istniały teatry lalek – androidów; znacznie później, w XVII stuleciu przeżyły one okres niesłychanego rozkwitu. Słynny gracz w szachy zbudowany przez Kempelena zrobił na początku XIX wieku zawrotną karierę: w 1809 roku wygrał ponoć partię z Napoleonem w Schöenbrunnie.

Dzieje podobnej mistyfikacji opisuje Ludwik Niemojowski w noweli „Szach i mat" (1878). Arcymistrz Bartolomeo zostaje nakłoniony do współuczestnictwa w sprytnie zaaranżowanym oszustwie. Pewien Anglik skonstruował cybernetycznego szachistę podłączonego do urządzenia, które przypominało klawiaturę fortepianu. „Nad każdym z przycisków znajdował się napis oznaczający nazwę jednej z figur, z wnętrza wychodziło mnóstwo cienkich drucików, które ginęły w przeciwnej ścianie". Przez otwór w podłodze Bartolomeo obserwował kukłę siedzącą piętro niżej i grającą z wybranym przedstawicielem publiczności. Sztuczna lalka była w rzeczywistości martwa. To człowiek dał duszę automatowi: naciskając klawisze poruszał dłonią swojego sobowtóra, przestawiając piony. „Stałem się jedną z części składowych maszyny" – wspomina genialny szachista – „zrobiono mnie motorem poruszającym kółka. Nie byłem niczym więcej, tylko jedną żyjącą sprężyną. Każda myśl martwiała przechodząc w klawiaturę, a ożywiwszy nieczułą kukłę dawała jej potęgę kosztem mojego jestestwa zdobytą".

W literackim motywie maszyny-sobowtóra dochodzi do głosu odnowiony wątek Golema i Frankensteina. Ale automat to jeszcze nie robot. Ten ostatni może mieć osobowość, jego działanie jest bardziej elastyczne, dopuszcza samodzielność decyzji. W „Mistrzu Moxona" („Moxon's Master", 1925) – A. Bierce'a, cybernetyczny szachista, znienawidziwszy swego twórcę, morduje go. W noweli Franciszka Mirandolli – „Sztuczny żołnierz" (1918), genialny samouk, przejęty ideą stworzenia szeregowca nie żądającego żołdu, buduje sterowanego humanoida, który dezerteruje z pola walki, dowodząc iż tam, gdzie zawodzi maszyna musi wkroczyć człowiek. Bezpośredniej ingerencji eksperymentatora wymaga również sfinalizowanie losów „Pojedynku" (1974) Stefana Weinfelda.

Powołując do życia roboty obdarzamy je wolną wolą. Jak zachowają się owi wyzwoleńcy? Wizja zbuntowanego androida budzi lęk, niepokój, wywołuje obawę przed nieznanymi, tajemnymi mocami. „Słowo „Golem" – przypomina K.T. Toeplitz – oznacza w «Biblii» nieuformowaną substancję, embriona, coś napoczętego, lecz nie skończonego. W pismach gnostyków istnieje wersja, że Adam (zanim Bóg tchnął w niego duszę) był tworem gigantycznym – wielki rozmiar miał symbolizować siłę drzemiącą w bezrozumnej masie". W dziejach historii o Golemie, budząca strach istota magicznego pochodzenia staje się sprawcą bezdusznego zniszczenia, tym bardziej okrutnego, iż nie zaplanowanego, wynikającego nie z emocji czy perfidii, lecz z alogicznego bezwładu. Próba stworzenia homunkulusa jest już skażona od podstaw jakimś szaleństwem, skoro powstaje z chęci dorównania Bogu: produkt jest zatem w połowie niedoskonały, pozbawiony duszy. Scjentyficzna opowieść o bez – dusznym robocie staje się pogłębieniem dotychczasowych lęków, prognozą sytuacji, kiedy człowiek zbuduje istotę doskonalszą od niego i nie będzie się mógł z nią porozumieć (Stanisław Lem – „Golem XIV"; 1981). Odpychająca moc maszyny, która bezmyślnie niszczy swojego kreatora, przedstawia w cytowanej noweli Ludwik Niemojowski. Takiego robota trzeba unicestwić, aby uratować własną indywidualność (Stanisław Lem – „Przyjaciel"; 1959). Wielofunkcyjna kopia jest dziedzicem podświadomego wyobrażenia o dwoistym pochodzeniu ludzkiej natury: kiedy instynkt zła, agresji i destrukcji przejmuje cechy osobowości Mr Hyde'a, każdy z nas woli wcielić się w postać doktora Yekylla. „Czy można (jednak) usunąć drugie ja nie usuwając siebie?" – pyta rezoner opowiadania Adama Hollanka, dodając: „Ilekroć się obiektywizujemy w życiu, myślimy przecież i czynimy inaczej, niż gdy pozostajemy w samotności" („Skasować drugie ja", 1975). Stevensonowski dylemat nabiera teraz całkiem innego znaczenia, ujawniając metaforyczną, czysto ludzką interpretację motywu „robotyki".

Dążąc do wydarcia tajemnic Przyrodzie coraz częściej ingerujemy w biologiczną strukturę istot żywych. Pragniemy stworzyć homunkulusa na podobieństwo legendarnego Frankensteina. Pierwszym polskim humanoidem jest bohater ekspresjonistycznej powieści Jerzego Hulewicza „Dzieje Utana" (1928). W kolejnych odsłonach fabularnych obserwujemy rozwój zarodka ludzkiego zapłodnionego przez małpę z gatunku orang-utan. Co prawda, streszczanie romansu i kolejno narastających intryg nie ma większego sensu, ale warto przypomnieć o motywie psychicznej autoanalizy bohatera, który przyznaje, iż cudowny zabieg otworzył przed nim możliwości, o jakich nie śniło się naukowcom: „Nikt mnie nie pobije w przenikliwości, nie zapominam nigdy o niczym, moje decyzje są szybkie, nie ma człowieka, którego nie zdołałbym oszukać". Motyw szalonego androida, który wie o swoim pochodzeniu, przysięga zemstę i wzorem niewidzialnego człowieka wciela swe plany w czyn nie został jednak literacko spożytkowany. Utan przypomina... hrabiego Zbigniewa z noweli Sygurda Wiśniowskiego: nie wykorzystuje doskonałej okazji do „odpłaty" za społeczną ignorancję, kiedy doprowadzony do ostateczności, zabija syna potworka i zostaje skazany na karę grzywny, ponieważ przekroczył prawo o ochronie zwierzyny.

Podobną historię opisuje w kilkadziesiąt lat później Andrzej Czechowski. W jego „Człekokształtnym" (1967) ofiara eksperymentu genetycznego odlatuje ku gwiazdom wygłaszając pełną sarkazmu uwagę: „Wrócę za sto lat (...) wtedy już nie będzie (instytutu) i zmienię sobie nazwisko na Oxford". Historia androida, który odmawia współpracy z człowiekiem pojawia się dopiero na kartach prozy przyszłościowej.

Prognostyczna odmiana fantastyki ma znacznie szersze pole działania, nie ograniczone koniecznością relacji z finalnego rozwiązania konfliktu. W utworze o „niezwykłym wynalazku", którego akcja sytuuje się na linii czasowej dostępnej czytelnikowi z autopsji, bunt robotów nie może nabrać rumieńców, wykroczenia zostają puszczone w niepamięć, zdumienie jest chwilowe i krótkotrwałe, a instrumenty przerażenia kierują się posłusznie do hali napraw. Więcej nadziei stwarza dopiero opis cyborgizacji ludzkiej osobowości, ale z przypuszczalnym sprotezowaniem ciała zdążyliśmy już się oswoić i tylko ingerencja w procesy kopiowania struktur mózgowych budzi uzasadnione obawy natury etycznej. W klinice Molnara dokonuje się nielegalnego przeszczepu mózgu, bez wyrażenia zgody pacjenta na tak ryzykowny zabieg (Konrad Fiałkowski – „Biohazard", 1969). W opowiadaniu Zbigniewa Dworaka – „Transplantacja" (1975), dr Narwille łączy operacyjnie głowę mężczyzny z tułowiem ofiary wypadku samochodowego, ale rekonwalescent umiera na skutek pourazowego szoku psychicznego. Podstępnemu lekarzowi zostaje przeciwstawiona postać nieugiętego doktora, który niszczy efekty doświadczenia, przygotowuje materiał dowodowy, aby oskarżyć kontrpartnera w pełnej patosu i napięcia scenie wypowiadania prawd ostatecznych. Prowadzenia niebezpiecznych eksperymentów mogą zakazać również „młodsi bracia" z przyszłości, którzy ingerują w prawa naszego świata, wykorzystując dopuszczalną wszechstronność maszyny temporalnej (Janusz Zajdel – „Towarzysz podróży", 1975). Dość popularny w literaturze science fiction motyw sterowania ludzką społecznością robotów, a zatem problem wolności woli i odpowiedzialności za własne postępowanie, jest jednak zbyt poważny, aby go potraktować w sposób zaledwie ironiczny.

„Fantastyka"

KAROL IRZYKOWSKI (1873–1944), czołowy przedstawiciel międzywojennej krytyki literackiej, jest m. in. autorem następujących zbiorów i powieści: *„Pałuba"* (1903), *„Fryderyk Hebbel jako poeta konieczności"* (1908), *„Czyn i słowo. Głosy sceptyka"* (1913) – krytyczna analiza literatury Młodej Polski, *„Dziesiąta muza"* (1924) – studium o estetyce filmu, *„Walka o treść. Studia z literackiej teorii poznania"* (1929), *„Beniaminek.*

Rzecz o Boyu-Żeleńskim"* (1933), *„Słoń wśród porcelany. Studia nad nowszą myślą literacką w Polsce"* (1934), *„Lżejszy kaliber. Szkice – próby dna – aforyzmy"* (1938).

Studium *„Fantastyka (z powodu książki Stefana Grabińskiego: „Na wzgórzu róż")"* ukazało się w roku 1918 w czasopiśmie „Maski" (zesz. 32–33) i ma dziś wartość nie tylko historyczną. Pod wieloma względami może stanowić cenną inspirację dla krytyków i recenzentów literatury science fiction. (A.N.)

I

Na odczycie wygłoszonym niedawno w Krakowie o Meyrinku twierdził dr Emil Breiter, że już sama skłonność do fantastyki świadczy albo o jakimś wewnętrznym załamaniu życiowym, albo o niedoborach intelektu. Jest to postawienie sprawy zupełnie a la Brzozowski, który modernizując stary, reakcyjny postulat „zdrowej literatury" rzucał podejrzenia na wszystkie niespołeczne kierunki literackie i doszukiwał się w nich koniecznie momentów rozkładu. Nasuwa się tu analogia z anatemą Wyspiańskiego rzuconą na poezję romantyczną. I jak p. Siedlecki w swojej książce przytacza przeciw tej anatemie przykład Finów, którzy kult *„Kalewali"* doskonale łączą z praktycznością w życiu, tak w tym wypadku wszelkie doktrynerskie, a hamujące twórczość obawy odeprzeć można przykładem Anglików i Amerykanów, którzy będąc podobno najpraktyczniejszymi na świecie narodami wytworzyli mimo to najlepszą literaturę fantastyczną (dziwne przygody, utopijne wynalazki, okultyzm itd.). Że złamaniem życiowym ma to chyba niewiele wspólnego, zresztą podobno już samo oddawanie się sztuce w ogóle, a więc i sztuce nie fantastycznej, ma źródło zwykle w jakimś kataklizmie życiowym twórców – i aż do syta znanym jest przecież porównanie twórczości artystycznej z perłą, która się rodzi w zranionej muszli.

Obserwacja charakterów poucza, że właśnie ludzie praktyczni, czynni, inżynierowie, kupcy, bankierzy, prywatnie oddają się zajęciom bardzo niepraktycznym: zatapiają się w matematykę kart lub szachów, bawią się w stoliki wirujące, oddają się nawet mistycyzmowi (towianizmowi!). Można w tym oczywiście upatrywać tylko działanie prawa kontrastu, odpoczynku – i subiektywnie w większości wypadków ten motyw odgrywa niewątpliwie rolę, ale to nie wyczerpuje tej sprawy pod względem obiektywnym. Fantastyka nowoczesna jest bowiem nie kontrastem, lecz idealnym przedłużeniem współczesnego życia praktycznego i obejmuje w sobie już to antycypatywne wyczerpywanie jego możliwości rozwojowych (cudowne wynalazki), już też symboliczne pogłębianie zakresów tego życia (cudowne odkrycia geograficzne, paleontologiczne, biologiczne, metafizyczne).

Prof. Sinko w drukowanej w „Maskach" (nry 7–8) rozprawie pt. *„Świat baśni"* mówi: „Baśń jest dla nas jedynie ciekawym zabytkiem myślenia przedlogicznego". Odczuwam jako lukę w tej rozprawie, że autor najprzód nie uwzględnił badań szkoły freudystów nad baśnią, a dalej – i to nas tutaj głównie obchodzi – nie skorzystał z tego szczególnego światła, jakie na bajkę starodawną rzuca bajka nowoczesna: opowieść fantastyczna. Oczywiście, bajka w dawnej formie zaginęła bezpowrotnie, można robić próby galwanizowania jej, lecz będą to próby literackie, bez związku z potrzebami życia kulturalnego. Pokazuje się to np. na niesłusznie sławnej *„Księdze dżungli"* Kiplinga, która jest nieznośną maskaradą ludzi przebranych za zwierzęta; jeżeli się chce ją brać jako „psychologię zwierząt", to o ileż wyżej stoją rzeczy Dygasińskiego. Charakterystyczną likwidacją bajki starej jest „tysiąc druga baśń Szeherezady" napisana przez Poego. Szeherezada opowiada mianowicie swojemu władcy różne ziszczone już przez wynalazki nowoczesne cuda techniczne i on, który dotychczas wierzył w jej wszystkie wymysły, teraz się wzdryga, zarzuca jej zbrodnicze kłamstwo i wydaje na stracenie.

Starodawna fantastyka opierała się na innym poglądzie na świat. Wszystkie elementy świata wydawały się wówczas gotowymi, niezmienną wydawała się ich ilość i jakość; między tymi elementami mogły zachodzić różne permutacje, ale w zasadzie świat wydawał się znany na wskroś: „nic nowego pod słońcem". Istniała wprawdzie obok Parmenidesa filozofii niezmiennego bytu – filozofia stawania się Heraklita: lecz nie odgrywała ona znaczniejszej roli w myśleniu ludzkim, ponieważ heraklitowską dynamikę traktowano logicznie również jako statykę, tylko pewnego odrębnego rodzaju. Wyobraźnia ludzka przerzucała cud baśniowy w zamierzchłą przeszłość, w czasy mityczne lub w ogóle obojętne, podczas gdy wyobraźnia nowoczesna przerzuca go w przyszłość jako naznaczone zadanie (porównać np. czapkę-niewidkę Zygfryda z *„Człowiekiem niewidzialnym"* Wellsa). Dlatego też świat starożytny i średniowiecze mogły być tak na wskroś religijnymi: miały ów czas wewnętrzny, aby się zwracać ku rzeczom nadziemskim, myśleć o Bogu i o śmierci, nie było potrzeby pośpiechu, nie było nerwowej ciekawości, świat przecież był dokonanym i chodziło tylko o jak najlepsze nastawienie go ku Bogu. Stąd niesłychana twórczość religijna owych czasów, nad której zanikiem teraz się niepotrzebnie ubolewa. Rok 1000, w którym wyglądano skończenia świata, może uchodzić za punkt szczytowy tego życia dusz. Wyłomu dokonało w nim dopiero wtargnięcie żywych potęg mitycznych na ziemię: odkrycie Ameryki, odkrycie Kopernika, a potem odkrycia i wynalazki fizykalne odwróciły wizjonerstwo człowieka w inną stronę. Wiara w rzeczy nadprzyrodzone nie zgasła, jak na to uskarżają się dewotki, lecz zmieniła kierunek i przedmiot. Wiara nowoczesnego człowieka streszcza się w tym: cudów nigdy nie było, ale cuda kiedyś będą; Boga nie było i nie ma, ale będzie; duchów nie było i nie ma, ale kiedyś będą. W nieskończonym przedłużeniu czasów oczekiwane jest przebicie ściany ku światowi nadprzyrodzonemu, zaludnienie go, niesłychana ekspansja człowieka. „Der Übermensch sei der Sinn der Erde".

Ta wiara tym się odznacza, że jej nie potrzebują pilnować kapłani. Oczywiście, jest ona tylko potencjalną, nieuświadomioną, lecz tak samo mało lub bardzo rzetelną, jak wiara Rzymianina w rozmaite Apolliny i Afrodyty. Najcharakterystyczniejszym przykładem tej wiary wydaje mi się pomysł, który znalazłem w dziele *„Ziemia i człowiek"* zmarłego geografa Wacława Nałkowskiego. Ten „postępowiec" – kategoria dziś niemodna – wciąż polemizujący z różnymi reakcjonistami, rozważa raz możliwość końca świata w postaci powszechnej katastrofy kosmicznej, a więc nie tylko ziemskiej, i przypuszcza, że zanim to jednak nastąpi, człowiek znajdzie jednak sposoby wcielania się w inne formy bytu. Wyznam, że ten pomysł tak mnie swego czasu olśnił, iż pod jego wpływem zrodził się cały powyższy tok myślowy.

II

W Polsce poezja fantastyczna, w tym ściślejszym znaczeniu, o które tu idzie, powstać nie mogła, zapewne z powodu słabego rozwinięcia przemysłu, a więc niedorozwoju nauk technicznych, a przede wszystkim z powodu braku morza. Prócz tego fantastyka wymaga widocznie pewnego stanu nasycenia kulturalnego, jest kwiatem zbytkownym, który kwitnąć może dopiero tam, gdzie już zaspokojono codzienne potrzeby. Sporadyczne przykłady fantastyki w literaturze polskiej przypisać należy wpływowi obcemu: jest to albo wprost naśladownictwo, albo też tworzenie dzięki rozkołysanej wyobraźni przez intensywność i wspaniałość technicznego życia narodów innych. Są to utwory właściwie duchem niepolskie, pozbawione tutaj podłoża, ale też i rezonansu. Nasi czytelnicy nie gustują w takich rzeczach i pamiętam, jak pewna pani, wcale inteligentna, powiedziała o *„Człowieku niewidzialnym"* Wellsa, że to są – baje.

Z ostatnich utworów skromnej fantastyki polskiej wymienić trzeba Antoniego Langego „W czwartym wymiarze" jako rzecz zdeklarowanie fantastyczną. Ale analiza tego zbiorku, pełnego zresztą ciekawych pomysłów, wykazuje różne iście polskie niedociągnięcia do tej skali wymagań, jaką nam dają wzory fantastyki zagranicznej. Pomysły Langego wyglądają, jakby się sam autor nimi nie przejmował, są sztuczne, a ich opracowanie oschłe. Uderzyło mnie np., że Lange, który jest wyznawcą Bergsona, a więc i jego teorii o czasie, mógł napisać taką *„Babunię"* (babunia cofa się wiekiem i staje się panienką), a więc rzecz, w której czas jest właśnie traktowany jako kategoria odwracalna, kinematograficznie, jest raczej zamaskowaną przestrzenią niż czasem. Stosunek autora do swoich pomysłów jest stosunkiem ciekawości wobec kuriozów, a gdzie się staje serdeczniejszym, podobny jest bardzo do bezwzględnej czołobitności przed cudem, nastrojony jest na nutę: „więcej jest cudów

na niebie i ziemi, niźli się śniło filozofom waszym". Jest to pobożny idealizm, nie zuchwały, zaborczy fantastyzm, który idzie niejako od dołu ku górze, gdyż buduje swoje wieże Babel najprzód z brył życia konkretnego i dopiero później w chytrym punkcie je stajemnicza. Idealizm Langego jest nie tylko pobożnym, lecz i pogodnym; ton bywa gawędziarskim, rzec można – „swojskim", takim, jakim jest w drugim, równocześnie wydanym zbiorku nowel Langego – „*Elfryda*", gdzie już owa pogoda panuje niepodzielnie, jak w „*Kłopotach starego komendanta*".

III

Cud, który jest osią utworu fantastycznego, powinien być w jakiś sposób wewnętrznie uzasadniony. Nie znaczy to, żeby miał przestać być cudem lub żeby go uprawdopodobniać, lecz muszą go łączyć głębsze relacje z naszym życiem duchowym. Cud – nieprawdopodobne lub niezwykłe zdarzenie, niemożliwy wynalazek, nadnaturalna gra sił w przyrodzie bliższej lub kosmosie – jest właściwie hiperbolą naszych pragnień, wyobrażeń i obaw, i tym się właśnie legitymuje. Wyjaśnię to na przykładach.

W noweli Wellsa „*Tajemnica lorda Elveshama*" czytamy o starcu, który zwabiwszy młodzieńca dał mu do picia tajemniczy napój i przez to zabrał mu jego ciało młodzieńcze, a oddał ciało starcze. Napój tajemniczy – rekwizyt fantastyki używany już tyle razy. Rzecz cała chybiłaby efektu, gdyby nie scena, w której przemieniony młodzieniec budzi się i powoli rozpoznaje się starcem. Ta scena, która już sama przez się, wzięta „sensu proprio" wywiera niesamowite wrażenie, pogłębia się jeszcze przez nieświadome skojarzenie myśli, że w podobnym położeniu jest właściwie każdy człowiek stary z duszą młodą i że każdego mniej więcej ten sam los czeka, tylko że napój osiągnął tę tragiczną sytuację w krótkiej drodze. Przez taki zamach stanu na serce czytelnika autor uzasadnia ex post ów eliksir lepiej i sugestywniej, niżby to zdołał uczynić próbując nam wyliczać jego chemiczne składniki.

W powieści Stevensona „*Mr Jekyll i Mr Hyde*" odgrywa również rolę cudowny napój, dzięki któremu poczciwy i dobry Mr Jekyll do woli zmienia się w złego, nieokiełznanego Mister Hyde'a. A więc znany problemat sobowtóra, klasycznie opracowany już przez Poego w „*Williamie Wilsonie*". Lecz tu jest nowy jego wariant. Mr Jekyll, choć tak poczciwy, żywi jednak tajemny pociąg do swego kontrastu charakterowego i dobrowolnie zmienia się w owego Hyde'a, zrazu tylko złego, namiętnego i garbatego karła, aby w tej postaci folgować swoim małym słabostkom. Powoli jednak Hyde rośnie, staje się główną osobą, a jeżeli czasem, coraz rzadziej, zmienia się w Jekylla, to tylko dlatego, żeby w jego postaci ukryć się przed ścigającą go władzą. Daremnie walczy Jekyll, aby uratować swą lepszą naturę, może być sobą zaledwie parę godzin, parę minut, bo nawet bez wypicia napoju ciało jego samo automatycznym wstrząsem skurcza się we wstrętną postać Mr Hyde'a i długie spodnie Jekylla fałdują się wraz na krótkich nogach Hyde'a. Na pozór mamy tu więc do czynienia z egzemplifikacją przysłowia: „Principiis obsta, sero medicina paratur", co jako obserwacja stara i ogólnikowa samo przez się nie więziłoby wyobraźni – gdyby nie specjalne podkreślenie owego momentu psychologicznego, w którym dusza ulega na chwilę obezwładnieniu, pozwala sobie na nieszkodliwą, niby odpoczynkową ekstraturę: „ten jeszcze raz i potem już nigdy", i przez to się gubi. Unaocznienie tego momentu w metamorfozach obu sobowtórów staje się korzeniem, który wciąż ożywia wiarę czytelnika w cud mieszczący się w napoju, to znaczy utrzymuje go wciąż na wysokości jednej sugestii.

Przypomnę zresztą powszechnie znaną historię Chamissa (z wariantem Andersena), o człowieku, który zgubił swój cień. Na dnie tej historii spoczywa jako ostatnia instancja prawda o plagiacie. W bajkach zwierzęcych Ezopa morał służy jako środek wzmacniający wiarę w ich istnienie. W tych wszystkich wypadkach jednak nie należy tego związku między cudem a jego uzasadnieniem rozumieć tak, jakoby dany utwór był ilustracją pewnego spostrzeżenia czy morału, a więc środkiem do celu prawie dydaktycznego. Przeciwnie: dydaktyka jest tu właśnie środkiem estetycznym, albo raczej jednym z wielu środków. W innych bowiem utworach fantastycznych owych korzeni uzasadniających nie dałoby się tak łatwo odkryć i wykopać jak w powyższych. Przypomina mi się np. historia Wellsa o grubasie, który chciał stracić swój ciężar i napiwszy się jakichś cudownych a wstrętnych leków podleciał pod sufit swego pokoju i snuł się pod nim jak balonik dziecięcy na sznurku napełniony gazem, aż przyjaciel wpadł na pomysł obuć go w buty ołowiane. Ta dziwaczna, lecz niestychanie plastyczna sytuacja jest sama przez się tak nieprzekonywająca, że dalsze „uzasadnienie" jest zbyteczne.

Jakiż jest więc cel tych utworów, skoro nie jest nim cel dydaktyczny? Na to można by odpowiedzieć za Freudem (powołując się na jego słynną rozprawę o dowcipie): celem jest absurd, chaos, nurzanie się w nonsensie. Aby móc bez skrupułu użyć tej słodkiej godziny nonsensu, człowiek wprzęga w jego służbę nawet sens, stawia go na straży. Omijając jednak terminologię freudowską, poprzestać można na tym, co było zawsze jasne: człowiek ma potrzebę odetchnąć czasem atmosferą cudowności. Tak się rzecz ma pod względem psychologicznym czy estetycznym. A pod względem kulturalnym: człowiek czuje potrzebę antycypowania cudu, chociażby w surogacie literackim, zanim sam cud ziści.

IV

Znany czytelnikom „Masek" Stefan Grabiński jest fantastykiem czystej krwi. Dotychczasowy jego dorobek artystyczny jest niewielki: tomik pt. „*Na wzgórzu róż*", obejmujący sześć nowel, i cztery nowele drukowane w „Maskach". Ale rzadko zdarza się, żeby u nas w debiucie artystycznym zarysowała się od razu indywidualność tak odrębna jak w rzeczach Grabińskiego. Trudno zrozumieć, skąd się ona wzięła na naszym gruncie, ponieważ absolutnie nie można w rzeczach Grabińskiego odkryć żadnego powinowactwa z współczesną lub wczorajszą beletrystyką polską. Przychodzą na myśl jedynie „*Historie maniaków*" Romana Jaworskiego, które jednak nie treścią, lecz rozlewnym stylem lirycznym nie odskakują od współczesnej polskiej twórczości powieściowej, odznaczającej się właściwie hipertrofią i nieumiarkowaniem ornamentyki ubocznej. Grabiński posiada w sam raz tyle liryzmu, ile go potrzeba do wywoływania nastroju tajemnic i tym się np. odróżnia od nowel Langego, który jest naturą, że tak powiem zbyt poczciwą, żeby ludzi straszyć. Grabiński umie być wyrafinowanym, odmierzać tajemnicę w dawkach jak Ewers, osłaniać ją chmurą złowrogich przyrzeczeń, których zwykle dotrzymuje. Jego nowele mogłyby się śmiało pojawić w przekładzie za granicą, gdyż stoją na poziomie europejskim i nie potrzebowałyby się sztucznie lansować jako specjalne emanacje duszy polskiej. Nie można wróżyć, jaką będzie dalsza ekspansja talentu Grabińskiego. Polskie talenty artystyczne mają tę właściwość, że ich bujność i intensywność jest wielka, ale gatunkowo są nieciekawe; zbyt często trzeba wzdychać: jeszcze raz, w nowej pięknej oprawie – to samo! Dla Grabińskiego trzeba dopiero szukać rubryki, tak bardzo jest on w naszej literaturze jakościowo odmiennym, przypadkowym.

Jedną właściwość mają rzeczy Grabińskiego, która w szczególny sposób mimo woli podkreśla tę jego obcość i przez to właśnie czyni go nabytkiem swojskim. Aby tę właściwość oznaczyć, trzeba się uciec do niedyskrecji, może nawet do insynuacji. Bohaterowie nowel Grabińskiego są, może tak jak ich autor, samotnikami. Ich problematy rozgrywają się z daleka od zdarzeń codziennych, nie są do niczego podobne. Wydaje się, jak gdyby świadomość tej utraty kontaktu z otoczeniem przepajała bohaterów Grabińskiego ponurą melancholią. Znamienną jest pod tym względem np. drukowana w naszym piśmie „*Dziedzina*", moim zdaniem – najskrajniejszy i najszczerszy wyraz jego talentu. Poeta, który puszcza się w nieznany świat twórczości, zrywając wszystkie mosty, aż do samozatracenia – oto mimowolny symbol duszy autora.

Główną zaletą poety-fantastyka musi być wynalazczość. Może mu nie dopisywać opracowanie, ale nowość głównego pomysłu jest warunkiem niezbędnym. (Pod tym względem np. zbiorek Langego pozostawia nieco do życzenia; dałoby się wskazać wzory „*Babuni*", „*Władcy czasu*", „*Rebusa*"). Pomysły Grabińskiego są absolutnie nowe, niespodziane, przynajmniej ja nie znam nic pokrewnego w literaturze fantastycznej. Nawet wśród rzadkiego gatunku fantastyków Grabiński reprezentuje niejako swój własny gatunek. Jego pomysły można by nazwać genialnym odgadywaniem albo pomnażaniem intencji przyrody przez symboliczny mikrofon. Weźmy np. nowelę „*Na wzgórzu róż*", gdzie wzmocniony węch ludzki wyczarowuje tajemnice przeszłości (liryczny wdzięk kontrastów w tej noweli jest nieprześcignionym). Albo „ksenomimię" w nowelce „*Willa nad morzem*": pomysł, który nawet nie zwróci uwagi laika, gdyż wydaje się zaczerpniętym z księgi osobliwości psychologicznych, a jednak jest tylko hipotezą, która może się ziścić raz na 10 000 wypadków.

Chociaż każda nowelka Grabińskiego oparta jest na odrębnym pomyśle, udało mi się odkryć wspólny rys, który część ich wiąże w pewną całość cykliczną. Mianowicie: „*Szary pokój*", „*Na wzgórzu róż*", „*Cień*", a poniekąd i „*Szalona zagroda*", odznaczają się tym, że w każdej z nich w pewien szczególny sposób odsłania się straszna przeszłość i staje się niejako udziałem odkrywcy. Wspólnym mottem tych nowel byłoby: więcej śladów przeszłości jest na świecie, niżby to się zdawało. Po tej linii idąc, można by skonstruować np. nowelę, w której woda morska, dostając się przypadkiem do jakiejś skały, przez opłukiwanie jej wydobyłaby utrwaloną na niej jak na kliszy fotograficznej scenę z odległej przeszłości. A może cała przeszłość tkwi w jakiś sposób zanotowana w teraźniejszości i kiedyś będzie odczytana...

Dla krytyka szczególnym powabem będzie zawsze śledzić owe momenty, w których poeta „powtarza się", to znaczy powraca do pewnych sytuacji i problematów. Powracanie to nie jest bynajmniej objawem ujemnym, chyba przeciwnie. Świadczy ono o jakiejś ciągłości w życiu podziemnym artysty, nie wiadomo jakiej. Nałogowo domyślają się krytycy w takich wypadkach jakiegoś związku z osobistym życiem autora i chwytają się każdej poszlaki, która by takie podejrzenia potwierdzała. Ale to jest przecież niekonieczne. Jeżeli w dziełach artysty da się wykryć pewną choćby porwaną linię, można ją przypisać nie wpływom zewnętrznym, lecz własnemu, autonomicznemu życiu duchowemu, vulgo zwanemu nawet „życiem papierowym". Takie przejścia wewnętrzne, rodzące się np. pod wpływem pewnych reminiscencji książkowych lub na mocy pewnych skojarzeń wyobraźni, są tak samo równouprawnione i mogą tak samo obfitować we wzloty, przepaście i kataklizmy, jak tamte, które się rodzą wprost pod

wpływem zdarzeń zewnętrznych: miłości, nieszczęścia, wojny, podróży itp. Z takich przejść właśnie zasila się np. poezja Staffa, który jest intelektualistą tak samo jak Grabiński. Lecz obfitość tego życia nie jest wcale monopolem intelektualistów. Owszem, jest ona, jak się zdaje, cechą wewnętrznego życia artysty w ogóle. Utwory Beethovena nie dadzą się przecież wytłumaczyć bez reszty tym, że się nieszczęśliwie kochał i że był głuchym. Jego najgłębsze doznania rozgrywały się właśnie w warsztacie jego pracy, w świecie tonów, modulacji i akordów. Beethoven mógł siedzieć zamknięty kilka lat w więzieniu i byłby był tak samo napisał swoje utwory, jak je napisał. Partenogeneza w świecie sztuki jest o wiele częstszą, niż się o tym śniło krytykom, którzy bezmyślnie powtarzają szablonowy zarzut o papierowych figurach, papierowych przeżyciach itd. Brak teorii poznania w krytyce literackiej jest taki, że kto jej nie ma w instynkcie, uprawia jako krytyk po prostu demagogię pewnymi hasłami i jest ich pasożytem. Tę przestarzałość trzeba raz stwierdzić zwłaszcza dziś, w epoce ekspresjonizmu, kiedy wewnętrzne życie ducha podobno domaga się wyrazu na równi z światem zewnętrznym.

Uparcie zdaje się prześladować Grabińskiego pewien gatunek wizji: dom na ustroniu, w którym stały się lub mają się stać dziwne rzeczy. Najefektowniej występuje ta wizja w *„Dziedzinie"*, gdzie ów dom staje się prawdziwym kotłem fantazji. Zresztą rozwiązanie problematu *„Dziedziny"* przypomina mi jeden z najpiękniejszych pomysłów Hebbla, którego Grabiński z pewnością nie znał. Hebbel notuje mianowicie w swoim pamiętniku sen, że podczas pewnego pogrzebu napadają nań złoczyńcy, którzy mówią: „Ten człowiek nas śni; gdy się zbudzi, przestaniemy istnieć, więc musimy go zabić, a wtedy będziemy kraść i mordować wiecznie!". Nietrudno poznać, w którym momencie ten sen pokrywa się z pomysłem Grabińskiego o przejściu marzenia w rzeczywistość. Poeta podejmuje tu zresztą dawne zagadnienia romantyczne o bezpośrednim działaniu woli.

W każdej prawie nowelce Grabińskiego odgrywa rolę jakaś teoria upozorowana racjonalistycznie jako podstawa fantastycznych zajść. Wprowadza to w jego kompozycje pierwiastek niby naukowy, który nie jest estetycznie ujemny sam przez się, gdyż i taka teoria jest również tylko wykwitem fantazji. Ale jest to fantazmat niejako w formie stężałej, pozbawionej już wirulencji, a więc przybliża niebezpieczeństwo oschłości. Silny nerw liryczny zrównoważa u Grabińskiego to niebezpieczeństwo. Wytwarza się jednak jeszcze inne: np. opowiadanie *„Po stycznej"* staje się w wykonaniu bliskim komizmu. Pomysł jego jest doskonały: podobnie jak w *„Szalonej zagrodzie"* chodzi tu o odwrócenie ku przyszłości tego samego procesu, który w *„Cieniu"*, *„Na wzgórzu róż"*, *„Szarym pokoju"* skierowany był ku przeszłości; tam wykrywanie czynów popełnionych, tu dobrowolne, eksperymentalne ziszczenie czynów według pewnych tajemniczych wskazówek. Ale jakkolwiek sama teoria stycznej, wymyślona przez bohatera tej noweli, jest – jak zwykle u Grabińskiego – bardzo ciekawą i wyrafinowaną, jednak ziszczenie jej w czynie staje się szeregiem przypadków, dających w sumie komizm, brak tu bowiem tego wewnętrznego, drugiego uzasadnienia tej racji, o której mówiłem. (...) Dlatego też w tej nowelce odsłania się jakby mechanizm konstrukcji Grabińskiego, mechanizm jego własny, ale mechanizm. Obfita pomysłowość kusi go w kierunku wyszukiwania kuriozów, ciekawostek, bez legitymacji wewnętrznej. Niektóre opowiadania sprawiają też wrażenie, jakby w nich był podany sam temat, za szybko się rozwikłują, brak w nich napięcia dramatycznego, które by np. także z innej strony parło ku zamierzonemu końcowi, na razie pozornie łagodząc sytuację. Brak ten daje się odczuć np. w *„Szalonej zagrodzie"*. Również na większą skalę zakrojony *„Problemat Czelawy"* nie zadowala. Poprzednio przytoczyłem już powieść Stevensona jako przykład doskonałego rozwiązania tematu sobowtórstwa. Tu oczywiście mamy do czynienia z nowym wariantem tego tematu, lecz pogłębienie psychologiczne jest niedostateczne, kontrast moralny obu bohaterów nieprzekonywający. Że autor dopuszcza jednolitość pamięci u obu Czelawów mimo różnicy w ich charakterach, to jest dowolność psychologiczna, na którą się trudno zgodzić. W rezultacie uniknął wprawdzie autor konwencjonalnego zakończenia historii sobowtórów śmiercią obydwu, ale ten przemyślny koniec świadczy o niewyzyskaniu różnych możliwości konfliktu między obu Czelawami – pomijając już to, że fizjologicznie nie zadowala, bo cóż będzie się działo z pozostałym Czelawą we śnie? Gdyby był autor znał powieść Stevensona, byłby albo temat odrzucił, albo byłby postarał się prześcignąć w czymś klasyczne ujęcie tej sprawy przez Stevensona. W każdym razie byłby odczuł pewien nietakt psychologiczny w tym, że profesor Czelawa wyzyskuje wspólność mózgu z Czelawą zbrodniarzem w celach obserwacji naukowej, a potem zabija swój obiekt eksperymentalny w chwili, gdy tenże staje mu się już niewygodny. Zachodzi przy tym wątpliwość, czy pewne rzeczy można obserwować bezkarnie, tj. nie biorąc w nich udziału?

V.

Te refleksje prowadzą nas znowu do zasadniczej kwestii względnego uprawnienia literatury fantastycznej i niesamowitej jako takiej. Otóż z pewnością ona sama „jako taka" jest czymś podobnym jak np. literatura pornograficzna. Wywoływanie dreszczyków i gęsiej skórki jako cel sam w sobie, choćby było doprowadzone do mistrzostwa, prawdziwego poety nie zadowoli, a w duszy czytelnika pozostawi niezapełnioną lukę. Lektura np. rzeczy Ewersa wywołuje takie właśnie niezadowolenie zbyt często. Ma się ostatecznie wrażenie nieuczciwej gry, na którą autor pozwala sobie wobec czytelnika. Głębokie, trwałe wrażenie wywołuje autor jedynie tam, gdzie sam był przerażony i wstrząśnięty odsłaniającymi się tajemnicami świata. Ta energetyka bywa zawsze skuteczną: szczere wzruszenie autora przelewa się na czytelnika. Ale sprawa się komplikuje przez to, że owej szczerości nie można pojmować zbyt ciasno. Poeta jest człowiekiem, który stale utrzymuje w sobie pewne stany na wysokim stopniu napięcia, trenuje się w nich, pali wciąż pod kotłem. Nie czeka na „chwilę natchnienia", żyjąc zresztą jak zwykły człowiek, lecz poświęca się natchnieniu jak kapłan. Stąd płynie dążność do wyrafinowania, a z nią pojawia się szczerość nowego rodzaju. Mianowicie wyrafinowanym zdoła być tylko ten, kto naprawdę ma z czego być wyrafinowanym, kto posiada w sobie akumulowane i akumulujące się zapasy natchnienia szczerego, które naśladuje, podobnie jak aktor potrafi wyciskać łzy u słuchaczów, grając na chłodno własną grę „obmyśloną" przed lustrem. Wszelka kultura jest pod pewnym względem takim wyrafinowaniem, wyspecjalizowaniem, i ono stanowi jedno z jej niebezpieczeństw. Tu ma źródło zarówno potrzeba specjalnej literatury fantastycznej i niesamowitej, jak też krystalizowanie się specjalnych talentów, które ją obsługują: Ewersa, Grabińskiego. Jest to osobny instrument w orkiestrze literatury, na którym mogą grać wirtuozi, ale który wyjawia swoje tajemnice dopiero, gdy zasiądzie doń kompozytor i przywróci mu jego głębszą rację bytu, wspólną ostatecznie z innymi instrumentami.

SŁOWNIK POLSKICH AUTORÓW FANTASTYKI

BUSZCZYŃSKI Stefan (1821–1892)

Literat, historyk

Urodził się 26 XII 1821 r. w Mołodkowicach na Podolu w rodzinie szlacheckiej. Ukończył studia humanistyczne na Uniwersytecie Kijowskim. Od roku 1849 do 1863 gospodarował w swych dobrach wiejskich. Debiutował w 1848 w „Athenaeum" – I.Kraszewskiego. Uczestniczył w powstaniu styczniowym; po jego upadku, skazany zaocznie na karę śmierci, wyemigrował do Paryża. Był członkiem Towarzystwa Historyczno-Literackiego, od 1867 zarządcą fundacji raperswilskiej i organizacji krajowych: Towarzystwa Naukowego Krakowskiego (od 1869), Akademii Umiejętności (od 1872). Przyjaźnił się z S.Goszczyńskim, A.Mickiewiczem, Z.Chodźką. W roku 1878 wrócił do kraju, do Lwowa, a w końcu 1881 osiadł na stałe w Krakowie. Jako publicysta związał się głównie z pismami o tendencjach demokratycznych („Kraj", „Nowa Reforma", „Ruch Literacki"). Utrzymywał kontakty z Polonią amerykańską. Zmarł 20 X 1892 r. w Krakowie. W latach 1894–1895 ukazały się w Krakowie jego prace zebrane w ośmiu tomach.

Stefan Buszczyński był autorem poczytnym i dość popularnym w drugiej połowie XIX wieku. Będąc pisarzem politycznym, badaczem życia społecznego, wyznawcą idei narodowej, ogłosił w roku 1867 „La decadence de l'Europe" – głośną krytykę stosunków europejskich, wydaną w Paryżu bezimiennie. Do jego najważniejszych utworów należą: „Obrona spotwarzonego narodu" (1884–1894) oraz „Znaczenie dziejów Polski i walk o niepodległość" (1882). W „Rękopisie z przyszłego wieku" – fantazji społecznej z roku 1881, która ukazała się dopiero w roku 1918 w Krakowie, ze słowem wstępnym A.Chołoniewskiego (podtytuł: „Rękopis z XX wieku po Chrystusie") – Buszczyński krytykuje tendencje ustrojowe ówczesnej Europy i przedstawia wizję nieuchronnego kataklizmu, ku któremu zdąża społeczność naszego kontynentu. Przewiduje m.in. zniesienie centralizacji, podatków pośrednich, a w zakresie „nowinek naukowo-technicznych" – wynalazki medyczne (np. kranioskopiczny regulator wpływający na osłabienie pobudliwości pacjenta). Nawiązując do antyutopizmu Cuvierowskiego, Buszczyński podąża klasycznym tropem fantastów, wybierając formę dialogu pomiędzy przedstawicielami wieku XIX i reprezentantami nowej, odrodzonej ludzkości.

BIBLIOGRAFIA WYBRANA

Biogram S.Buszczyńskiego (w:) „Polski słownik biograficzny" t. 3, Kraków 1872 (oprac. M.Dynowska).

T. Syga „W roku 2000" (w) „Za i Przeciw" 6 IV 1975.

BUYNO-ARCTOWA MARIA (1877–1952)

Literatka, publicystka

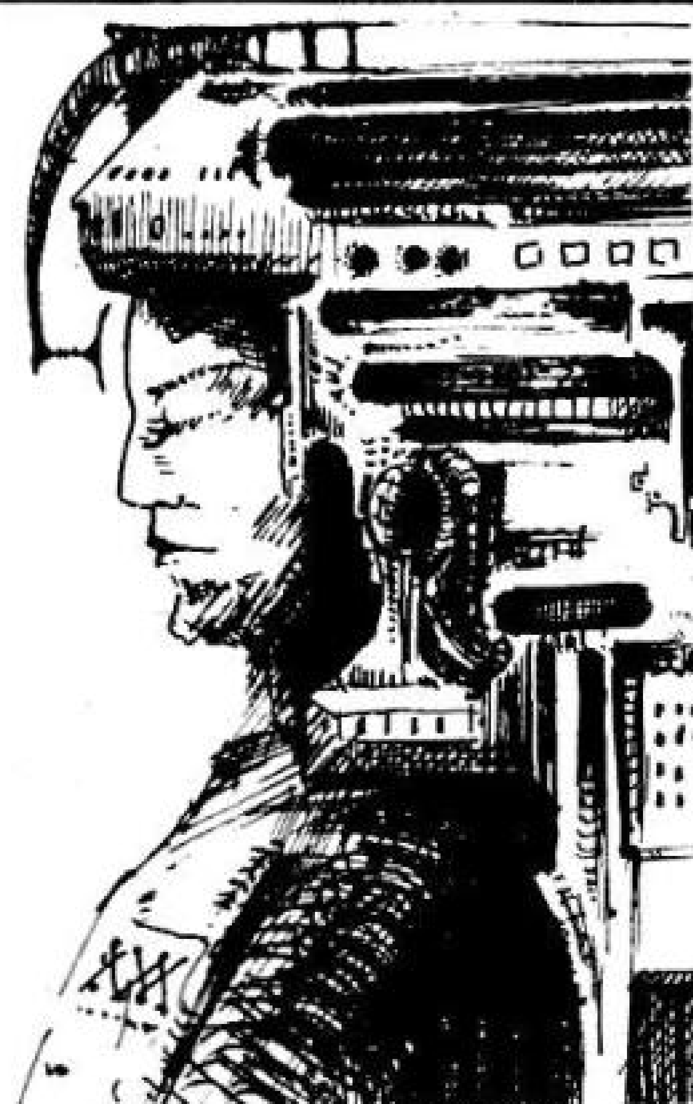
Urodziła się w 1877 roku w Breninach pod Łodzią. Studiowała za granicą języki obce. Pierwszą książkę napisała mając lat 15. Wyszła za mąż za znanego wydawcę – Zygmunta Arcta. Pracowała w redakcjach czasopism dla dzieci i młodzieży: „Nasz świat" (od 1912), „Moje pisemko" (1915–1935), „Rozwój" (1921). Od sierpnia 1939 roku zamieszkiwała w Dobrzanowie (powiat siedlecki). Tu zmarła 13 VI 1952 r.

Dorobek literacki Marii Buyno–Arctowej stanowi 67 książek. Do jej najgłośniejszych utworów, opartych na motywach fantastyczno-naukowych należą: „Wyspa mędrców" (Tygodnik Przygód i Powieści" nr 1–40/1930) oraz „Zielony szaleniec" („Moje pisemko" nr 1–53/1933; wyd. osobne: Warszawa 1936).

Przygodowo-sensacyjna powieść „Wyspa mędrców", nawiązująca do głośnej utopii F. Bacona, jest odmianą fantastyki naukowej o cechach „cudownego wynalazku". Bohater rozwiązuje tu tajemnicę „zabójczych promieni" służących do „wykradania myśli z mózgu ludzkiego", a następnie nie dopuszcza do jej ujawnienia, walcząc z całą potęgą skomplikowanej machiny militarystycznej. Tematem „Zielonego szaleńca" są przeżycia gromadki chłopców postanawiających rozwikłać zagadkę zielonego samochodu, którym kieruje szaleniec – obłąkany, uzbrojony we „wszystko widzące i słyszące" własne, fantastyczne wynalazki. „Książki Marii Buyno-Arctowej" – twierdzi recenzentka jednej z powieści – „utrzymują uwagę w napięciu, zachęcając do czytania; zmienność napięcia akcji i brak pogłębienia psychologicznego czynią z nich pożądaną lekturę w okresie, gdy baśń jeszcze nęci, ale już nie zadowala".

BIBLIOGRAFIA WYBRANA
Ogólna:
Z.Zagorowski „Maria Buyno-Arctowa" (w) „Echo Warszawskie", 324/1925

Recenzje wybrane
„Zielony szaleniec"
(...) „Rodzina i dziecko" nr 3 1935/36 s. 93
H. Galle „Książki dla dzieci i młodzieży" (w) „Nowa Książka" 19/1937, s. 602–603.


Ryszard Wojtyński

POŻÓŁKŁE KARTKI

Stefan Buszczyński

RĘKOPIS Z PRZYSZŁEGO WIEKU

Somnia vigilantium

Jadąc do Italii na zimę, zmuszony szukać łagodniejszego klimatu, oczekiwałem przybycia córki w mieście Graz, stolicy pięknej Styrii, w nędznym, lecz z szumną nazwą hotelu „zur Kaiserkröne".

Zażywszy od kaszlu proszek, do którego wchodziła znaczna doza opium, oddałem się poobiedniej drzemce w pokoju pod numerem trzecim, dużym a ciemnym, gdy ktoś zapukał do drzwi. – Herein! – zawołałem. Mężczyzna słusznego wzrostu, dość jeszcze młody, o jasnych włosach, ujmującej powierzchowności wszedł szybko, dziwnym witając mnie ukłonem. Strój jego niepodobnym był do żadnego z powszechnie widzianych ubiorów.(...)

Przybyły trzymając jedną ręką za zwój papieru, drugą złożywszy płaszcz i kapelusz (...) zapytał grzecznie:

– Jesteś literatem?

– Tak – przebąknąłem (...), ale cóż to pana obchodzi? Możeśmy się kiedyś znali?

– Oho, bynajmniej – rzekł mój gość.

– Ja nie z tego wieku.

– Jak to?

– A tak. Jestem z XX wieku... Masz mnie zapewne za człowieka z obłąkanym umysłem? Nie dziwię się wcale. W atmosferze waszych czasów wszystko, co tylko wychodzi poza obręb ciasnych pojęć dzisiejszych, wydaje się szaleństwem.

– Wszak jesteś pan spośród nas, żyjesz z nami, mówisz do nas. Masz ciało i kości. Należysz więc do XIX wieku (...)

– Jacy wy dziwni z tym waszym materializmem – uśmiechnął się. – Mierzycie wszystko miarą waszego nędznego ciała, waszych skalpelów, waszych szkiełek.(...)

– Pan w postęp nie wierzysz, nie widzisz go w niczym?

– Przyznam się, że ilekroć słyszę słowo „Postęp", zawsze śmiać się mam wielką ochotę, choć byłoby czego płakać. Wam się zdaje, że zrobiliście ogromny postęp, gdy przesyłacie myśli po drutach, słowa za pomocą telefonu, gdy jeździcie szybko koleją, gdy zajadacie zgniły ser, żywe morskie potwory, śmierdzące bekasy i dobrze przyprawione szczury, jeśli nieprzyjaciel kraj napadnie i oblega naród w jego stolicy. Wam się zdaje, że robotnik stokroć szczęśliwszy dzisiaj, rozciągając się na materacach włosianych politurowanej kanapy lub idąc na bal w mocno nakrochmalonych, bawełnianych albo papierowych kołnierzykach... (...)

– Zatem, według pana – przerwałem szyderczo – szczęśliwszym był niewolnik średniowieczny, będący całe życie na posługach rycerza, pysznie siedzącego w swoim zamku, obchodzącego się z poddanymi, jak z trzodą bydląt?

– Łapiesz mnie za słowa – odpowiedział gość spokojnie. – (...) Despotyzm tak samo gnębi ludzkość, jak dawniej. W tym tylko różnica, że kajdany ukuto z innego materiału, a postęp wasz zrobił je niewidzialnym mechanizmem.(...)

– Od dawna – powiedziałem – zwrócono uwagę na fizyczne i moralne doskonalenie się naszego pokolenia.(...) Wychowanie dzieci jest przedmiotem troskliwości wszystkich.

– Wychowanie dzieci! – zawołał. – Wszystko to bardzo piekne w teorii, w książkach, na papierze. Ale gdzie zastosowanie? Dzieci kaleczą, psują, upajają, demoralizują, zabijają wprzód nim zaczną chodzić. A gdy zaczną biegać, robią z nich małych diabełków, wychowując tak, aby zmieniły się później w szatanów.(...) Już w pięciu latach uzbrojeni pałaszami, strzelbami, lancami, w kaskach na głowie, w mundurkach, oswajają się pomału z niewolnictwem, z myślą mordów, grabieży, wojny, ale nie w obronie ojczyzny, o której pojęcia mieć nie mogą, której nazwiska nawet nie znają. Nienawiść bliźniego jest pierwszym uczuciem, które wpajają w dziecięce umysły we wszystkich krajach Europy, zwanych chrześcijańskimi, cywilizowanymi. Takim jest początek edukacji u nas.

– Z postepem czasu, z rozszerzeniem prawdziwej oświaty, sprawiedliwość weźmie górę, odniesie ostateczne zwycięstwo.

– Kiedy? Jakim sposobem?(...) Słuchaj! Dam ci prosty przykład, bo ten może lepiej przekona, niż mądre rozprawy, których jest więcej niż potrzeba, a które niczego jeszcze nie dowiodły. Spokojnemu malcowi w szkole (...) kradną jego własną kromkę chleba koledzy. Malec płacze. W końcu, idąc za popędem sprawiedliwego, przyrodzonego uczucia, chce odebrać swoją własność. Rzuca się na kolegów dzielących się jego chlebem. Ci zaś, w przeważnej sile, biją go, a w dodatku rozdzierają mu ubranie. Malec idzie skarżyć się do dyrektora. Za nim ciskają koledzy szyderstwa, obelżywe słowa: „Oskarżyciel!", „Denuncjator!", „Lizus!", „Faworyt pana dyrektora!", „Szpieg!", „Zdrajca!"... Wytacza się sprawa. Malec stracił chleb z masłem i szacunek u kolegów. Wreszcie został jeszcze przez dyrektora ukarany za to, że chciał sam sobie wymierzyć sprawiedliwość. Chłopcu znów przewróciły się w głowie wszelkie pojęcia o sprawiedliwości. Oto masz mikrokosmos, mały światek, prolog do życia publicznego, obrazek przyszłego społeczeństwa!

– Przerażający kreślisz obraz, nie całkiem sprawiedliwy.(...).

– Lecz nie przesadzam. Dzieje waszego społeczeństwa, fakty, statystyka, świadczą, że mam słuszność. Równość! Postęp! (...) Pragnieniom nie ma granic, nowe żądze rodzą się, wzrastają... Co może je zadowolić? Zbrodnia. Przestepca idzie pod sąd, zamykają go w więzieniu, gdzie uczy się przebiegłości i wychodzi stamtąd większym łotrem! To jest prawdziwą szkołą XIX wieku. (...) Przemoc zmieniła kształty i nazwy, a bezprawie nazwano prawami.(...) Słyszymy niemal ciągle o pokojowych zamiarach gabinetów, a jednak od Kongresu Wiedeńskiego, to jest od 1815 do 1878 roku, czyli w ciągu 63 lat, europejskie armie prowadziły w Europie i innych częściach ziemi nie mniej, jak sto osiemnaście wojen.(...) W czasie tzw. „pokojowym" Europa utrzymuje ciągle koło trzech milionów wojska, które pochłania przeszło trzy miliardy franków rocznie, a na stopie wojennej postawić może więcej, niż osiem milionów żołnierzy. Wypada jeden żołnierz na siedmiu dorosłych ludzi...(...) Za jaką ideę, w jakim celu doprowadzono Europę do takiego stanu? Co się nazywa cywilizacją? W jaką jeszcze otchłań „cywilizatorowie" XIX wieku wtrącić chcą społeczność?...

„Rękopis z przyszłego wieku. Fantazja społeczna z roku 1881", Kraków 1918, Druk. „Głosu Narodu", wybór ze stron: 1-3, 21-22, 40

Przygotował
Andrzej Niewiadowski

Odwrót od katastrofizmu...?

W roku 1981 ukazał się w londyńskim wydawnictwie Victor Gollancz Ltd. jubileuszowy, dziesiąty tom antologii *„The Best Science Fiction of the Year"*, opracowany jak zwykle przez Terry Carra. Zawiera dwanaście anglojęzycznych opowiadań SF opublikowanych w roku 1980, poprzedzonych wstępem autora wyboru. Całość zamyka lista „zalecanych lektur 1980".

Oczywiście dobór tekstów stanowi odbicie upodobań autora. Śmiem zresztą wątpić, by Terry Carr był w stanie, jak to sugerują wydawcy, przeczytać całoroczną produkcję SF. Jest to po prostu niemożliwe – pisała o tym kiedyś Ursula Le Guin, relacjonując tryb przyznawania nagród Nebula i Hugo.

Mimo wspomnianych zastrzeżeń, można jednak uznać, że jest to wybór dobrych opowiadań SF. Przedstawiono dość zróżnicowane tematy, stylistyki, różne generacje pisarzy – od legitymującego się pięćdziesięcioletnim dorobkiem twórczym Clifforda Simaka i nie wymagającego rekomendacji Philipa K. Dicka, przez młodsze pokolenia autorów (jak np. znani z pierwszego numeru „Fantastyki" John Varley i George R.R. Martin) aż po prozaików, którzy stosunkowo niedawno weszli na rynek wydawniczy (Michael Swanwick).

Terry Carr w swoim wstępie przyznał otwarcie, że właściwym miernikiem wartości utworu nie jest dla niego całkowita oryginalność tematyczna (nb. szalenie trudna do uzyskania w dzisiejszej SF), ale oryginalność sposobu przekazania. Innymi słowy, ważne jest nie „co", ale „jak".

Jest w tym wyborze parę opowiadań, których głównym atutem staje się wyłącznie świetne rzemiosło literackie wykorzystywane w celu przedstawienia kolejnego wariantu znanego już pomysłu, motywu, czy tematu.
Takim opowiadaniem jest *„Scorched Supper on New Niger"* Suzy McKee Charnas – zabawna historyjka o wolnokonkurencyjnej walce przewoźników kosmicznych, wzbogacona o elementy etnograficzne (planetę New Niger zamieszkują koloniści z Nigerii). Opowiadanie jest na swój sposób błyskotliwe, autorka udanie wykorzystuje swe obserwacje afrykańskie, ale to chyba wszystko.

Podobne wrażenie sprawiają dwa horrory – *„Nightflyers"* George R.R. Martina (historia przypominająca wyświetlany u nas film „Obcy" Ridleya Scotta) oraz *„Window"* Boba Lemana (opowieść o niesamowitych skutkach otwarcia „okna" prowadzącego do równoległego świata). Znowu są to doskonałe realizacje „wariantu na temat": czytamy te utwory z zapartym tchem i... możemy odłożyć je ze spokojnym sumieniem i nie zmąconą myślą.

W większości przypadków sięgnięcie do znanych problemów i zagadnień, próby nowego podejścia do starego tematu, czynione są jednak w bardziej ambitnym celu. Doskonałym przykładem takiego potraktowania wyeksploatowanego motywu nieśmiertelności, jest wyróżnione nagrodą Nebuli opowiadanie Clifforda Simaka *„Grotto of Dancing Deer"*. U Simaka losy człowieka żyjącego miliony lat są właściwie pretekstem, przenośnią, alegorią pozbawioną typowej, „fantastycznej" scenografii. Istnieje tylko fantastyczne zjawisko i właśnie ono pozwala autorowi wypowiedzieć parę uwag na temat ludzkich postaw, tolerancji, umiejętności akceptowania (i odrzucania) inności.

Druga historia podejmująca temat „gorzkiego smaku nieśmiertelności" to *„Slow Music"* Jamesa Tiptree, Jr. Tiptree to pseudonim Alice B. Sheldon – wyróżnionej dwukrotnie nagrodą Nebula. I tu za nieśmiertelność (dar obcej cywilizacji Riversów) trzeba wysoko płacić – opuszczeniem Ziemi, zaniechaniem prokreacji.
Klasycznym tematem fantastyki jest, sygnalizo-

●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●▶

Sfałszowane gry

Ukazała się trzecia, po *„Ubiku"* i *„Człowieku z Wysokiego Zamku"*, powieść Dicka na naszym rynku. Książka może i nie najlepsza w dorobku autora uznawanego w Polsce za mistrza (lub wicemistrza) światowej SF, lecz za to najbardziej chyba legendarna. To jego debiut. Późniejszy tytan fantastyki, zmarły niedawno pisarz, ukończył ją w 26-ym roku życia.
Dick jest jednym z niewielu współczesnych autorów SF, zasługujących na miano mądrego. Wynika to nie tylko z zawartości i konstrukcji jego książek, lecz także z wywiadów, w których ośmiesza krytyków mało dociekliwych, a okrada z wniosków tych niewielu, którym starczyło inteligencji by nazwać jego autorskie przesłania. Za opowieścią o państwie przyszłości, w którym o wyborze panującego decyduje probabilistyczna maszyna, średnio rozgarnięty krytyk dostrzeże interesującą demaskację amerykańskiego systemu wyborczego. Jeśli krytyk pomyśli, skojarzy zapewne funkcjonujące w *„Loterii"* prawo pretendentów do zabicia panującego z paroma wypadkami zabójstw amerykańskich prezydentów i innych osobistości politycznych. Ale Dick nie zważając na rozmiar pracy włożonej w takie konstatacje wykłada je expressis verbis w paru prasowych wywiadach, zdradzając się w dodatku z niechęcią do elity władzy pochodzącej ze Wschodniego Wybrzeża. Cóż począć – krytyk musi zaczynać pracę od początku i zastanowić się, co po tym autorskim odsłonięciu kart zostało mu jeszcze do skomentowania.

Póki co, zrekapitulujmy krótko treść powieści. Mamy początek XXIII wieku, Księżyc jest już zasiedlony, a Ziemianie odwieczną walkę o władzę pożenili z rozrywkową Loterią. Pretendenci w legalnej Grze mogą organizować zamach na aktualnego panującego – Lotermistrza. Nasz człowiek – Ted Bentley, przeżywa w tym świecie mnóstwo przygód, wchodzi do świty przegranego polityka, zmienia potem protektora, walczy z Pelligiem (androidem-torpedą, która ma zniszczyć Lotermistrza), chociaż sam jest przedtem jednym z kilkunastu kierujących Pelligiem, ochrania panującego, sam zostaje panującym, uprawia miłość z małą zaszczutą dziewczyną, walczy z mściwym konkurentem, a telepaci znani już polskiemu czytelnikowi z *„Ubika"*, przeżywają swoje profesjonalne sukcesy i klęski ze śmiercią włącznie.

Mamy jeszcze w *„Loterii"* nawiedzonego kosmicznego proroka, ale – mimo iż epizod wieńczący książkę poświęcony jest tej postaci – nie on wydaje mi się najważniejszy. Otóż, podobnie jak w *„Człowieku z Wysokiego Zamku"*, dokonuje Dick w *„Loterii"* chwytu polegającego na zderzeniu kultur w rzeczywistości do siebie nieprzywiedlnych. Stapia, mianowicie, zręcznie technologiczną obyczajowość wyobrażonego społeczeństwa XXIII wieku z mentalnością feudalną i kodeksem rycerskim. Ted Bentley wchodzący do świty niegodziwego Verricka i pętany przez długi czas w swych poczynaniach złożoną Verrickowi przysięgą, w sposób sympatyczny a niepokojący

wany również i w „Slow Music" – „kontakt". Podejmują go, na różne sposoby, trzy inne opowiadania: „Ginungagap" Michaela Swanwicka, „Tell Us a Story" Zenny Henderson, oraz w pewnej mierze, „Martian Walkabout" F.Gwynplaine MacIntyre. Podobnie jak u Simaka mamy w nich do czynienia z problemem inności, obcości, z przełamywaniem strachu przed nieznanym, ksenofobią. Szczególnie udane jest opowiadanie Zenny Henderson, w którym zetknięcie z Przybyszami następuje w XIX-wiecznej Ameryce. „Martian Walkabout" traktuje temat „spotkania" w sposób marginalny. Jest to raczej utwór łączący elementy „dänikenowskie" i etnograficzne (aborigeni australijscy potomkami kosmitów). I trzeba stwierdzić, że efekt jest wspaniały: problem „inności" rdzennych Australijczyków, relacji aborigeni–biali, wyobrażeń, mitów i obrzędów zostały inteligentnie wkomponowane w fantastyczną fabułę utworu dając interesującą, zmuszającą do różnorodnych przemyśleń całość.

John Varley w „Beatnik Bayou" przedstawia dla odmiany fantastykę typu socjologicznego, etycznego i wynikających stąd implikacji społecznych.

Z kolei Barry Malzberg w „La Croix/The Cross", utworze chyba najtrudniejszym w percepcji, ale niezmiernie błyskotliwym pod względem intelektualnym, podejmuje drażliwe sprawy filozofii i martyrologii religijnej. Jest to opowiadanie drastyczne w swej wymowie, ale sceny, formy językowe, zestawienia mają swoje logiczne i artystyczne uzasadnienie.

W swej antologii T. Carr przedstawia jeszcze jednego „laureata" Nebuli – Howarda Waldropa. Nowela „The Ugly Chichens" to zabawnie opowiedziana historia ostatecznej zagłady ptaków dodo – z dość gorzką, ironiczną pointą.

Utworem pozostawionym niejako na deser jest „Frozen Journey" Philipa K. Dicka* opowiadanie będące jednym z ostatnich utworów tego pisarza jest z formalnego punktu widzenia dość nietypowe. Autor „Ubika" wypowiadał się najczęściej i najchętniej w większych formach literackich – opowiadania w jego dorobku stanowią właściwie rzadkość. Warstwa fabularna, ładunek intelektualny są dla poetyki Dicka bardzo charakterystyczne. Przy całym kosmiczno-cybernetycznym sztafażu, „Frozen Journey" to właściwie utwór w rodzaju „inner space". Zazębiające się „sny" bohatera stanowią ów wewnętrzny, niezbadany kosmos; nawarstwianie się snu i jawy wiąże się z ulubionymi tematami Dicka – równoległymi światami, manipulacją – z tą tylko różnicą, że są to światy kreowane przez psychikę bohatera i przez komputer.

Już w trakcie lektury antologii T. Carra nasuwają się pewne spostrzeżenia.

Po pierwsze, autorzy traktują pierwiastek techniczny w sposób całkowicie instrumentalny. Akcesoria techniczne, fantastyczne wynalazki – całe „hardware" science fiction – są czynnikiem pomocniczym, tłem, bez którego można się doskonale obejść (Simak).

Po wtóre, brak jest, do niedawna charakterystycznego dla zachodniej SF, nurtu katastroficznego. Wizje kataklizmu wojennego, klęski ekologicznej, najazdu „obcych" właściwie zniknęły, podobnie jak wszelkie koszmarne dyktatury różnej proweniencji, problem przeludnienia, kryzysu żywnościowego, dezintegracji społecznej. Fantastyka prezentowana w antologii jest jakby pogodniejsza, zrównoważona. Albo ludzie przestali się bać klęsk totalnych uznając je za zbyt abstrakcyjne, albo dla wielu czytelników niektóre problemy przestały mieścić się w kategoriach SF, albo też są to tematy nie interesujące autora wyboru. Nawet horror ma charakter bardziej indywidualny, „ludzki" i mimo fantastycznych akcesoriów wyraźnie koresponduje z utrwalonymi wzorcami literackiego straszenia.

Po trzecie, istotnym szczegółem jest dość wybujały seksualizm pokaźnej części opowiadań. Jest to także pewien znak czasu: wtargnięcie rewolucji obyczajowej do bardzo purytańskiej fantastyki. Jeszcze stosunkowo niedawno na reklamówkach książek SF w Stanach Zjednoczonych zaznaczano, że tekst zawiera słowa i sceny drastyczne. No a tu, w bądź co bądź „typowym" wyborze, w co drugim opowiadaniu odbywa się radosna kopulacja.

O ile punkty pierwszy i trzeci nie stanowią dla nas jakiegoś ewenementu, spotykamy je bowiem nierzadko i w rodzimej fantastyce, o tyle nie zanosi się na to, by znaczna część polskich autorów SF zrezygnowała z różnych, na ogół ponurych profesji. Najwyraźniej na wizję świetlanej przyszłości, która do niedawna obowiązywała w naszej science fiction, nałożył się obraz obecnej rzeczywistości, wytwarzanych przez nią lęków, frustracji i zagrożeń. Szok przyszłości pogłębiony został szokiem kryzysowym...

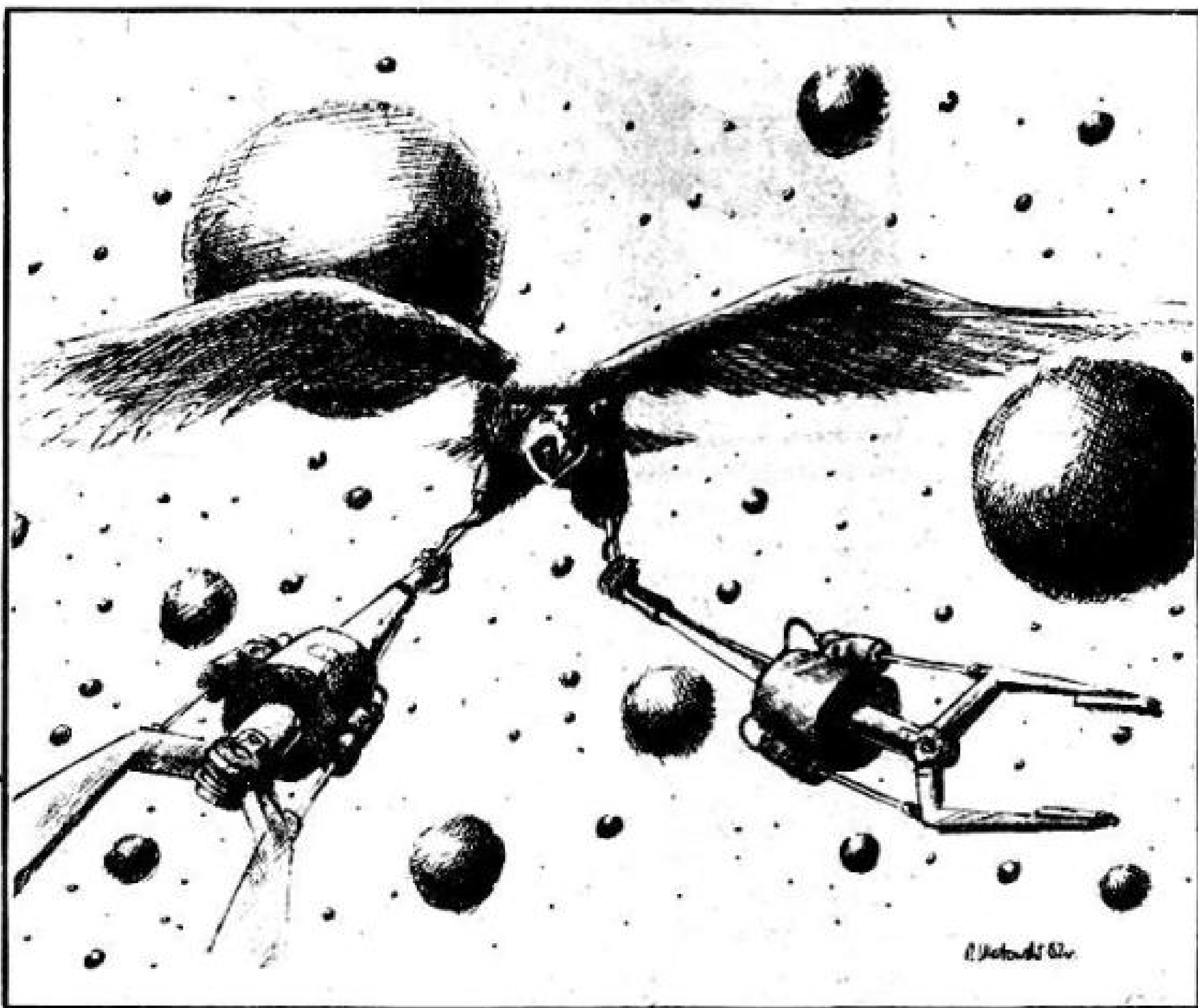
Antologia „The Best Science Fiction of the Year" jest niewątpliwie zbiorem ciekawym i to zarówno pod względem tematycznym jak i literackim. I chyba miał rację Terry Carr pisząc w swojej przedmowie: „Opowiadania zamieszczone w niniejszym tomie zostaną, mam nadzieję, zapamiętane przez czytelników i sprawią, że rok 1980 będzie uważany przez wielu odbiorców za wspaniały rok science fiction (o wiele lepszy niż 1983, czy też, na przykład 1991 lub...)".

Sławomir Kędzierski

„The Best Science Fiction of the Year" (10). Edited by Terry Carr. London, Victor Gollancz Ltd. 1981.

***Opowiadanie zamieszczamy na str 3.**

● ● ● ● ● ● ● ● ● ● ● ●



Przemysław Ulatowski

przypomina... Kmicica związanego słowem danym Radziwiłłowi.

Dziwny to świat. Niby uporządkowany, sterowany zmechanizowanym przypadkiem Butelki, a jednocześnie stojący na wielokrotnym kłamstwie, manipulacji i udaniu. Verrick biorąc sobie Bentleya za lennika nie przyznaje się, iż nie jest już władcą. Mechanizm Loterii sfałszowano. We wnętrzu Pelliga, który miał być maszyną do zabijania, sterowaną w pełni przypadkowo, szalony konstruktor zamierza uwięzić swego wroga. Eleonora decyduje się zdradzić mężczyznę, którego namówiła do miłości... Zasada mini-maxu, pełnej skuteczności, do której przewrotnie odwołuje się autor we wstępnym motcie, sprowadza się w powieści do tezy następującej: „Oszukuj ile się da, kłam, zastawiaj pułapki, zmieniaj strony, zdradzaj – w ten sposób być może nigdy nie przegrasz do końca i zapewnisz sobie powodzenie".

I w ten najlepszy ze światów wpuszcza Dick paru ludzi szlachetnych, altruistycznych, pętanych słabościami i... *właśnie tym ludziom każe wygrywać*. Bezlitosny, nawet nowocześnie cyniczny wobec swych postaci, otacza autor bohaterów pozytywnych szczególną opieką – prawie nigdy nie przytrafia się im zło ostateczne. Dick konsekwentnie chroni tych ludzi przed niebezpieczeństwami, ale przede wszystkim przed *autokompromitacją*. Nie ma w tym nic z kiczu, nic z łatwej sztuki happy endu. Jest głęboka potrzeba ducha człowieka samotnego i szlachetnego, który bezwiednie ujawnia ją w swych dziełach. Dick widać niezbyt wielu podobnych ludzi spotykał w krótkim życiu i pewnie dlatego, tytułem rekompensaty, postacie takie jak Bentley, Cartwright, telepata Wakeman, sędzia Waring spotykają się na kartach jego powieści, rozpoznają się bezbłędnie i podają sobie pomocną dłoń.

Dick nie jest naiwny ani prostacki w potępieniu krętactwa i cynizmu. W małej, zaszczutej, okaleczonej istotce także kołacze się tęsknota za czymś większym, ale przemożne okazuje się pragnienie zapewnienia sobie bezpieczeństwa. I Dick pokazuje jak to pragnienie prowadzi do zdrady tych, których się kocha i wspomagania tych, których się nienawidzi. A bezpieczeństwa i tak nie będzie – Eleonora zginie wyrzucona przez Verricka w księżycową próżnię.

Pora na konkluzje. W swym debiutanckim dziele, P.K. Dick, pisarz modny i nowoczesny, autor pochodzący z kraju o historii niewiele ponad 200-letniej odsłania się jako piewca staroświeckich i trudnych cnót rycerskich. Ludzie młodzi, oczytani, piekielnie inteligentni mogą mieć skłonność do takich intelektualnych mariaży. Życie w epoce, która zasłaniała się kotarami niezliczonych mistyfikacji, uprawiając praktyczne reguły mini-maxu, musiało Dicka bardzo brzydzić, skoro przeciw tej rzeczywistości pisał wszystkie swoje książki. Tu, w pierwszej, pisarz demaskował fałszerstwo pochodzące z perfidii, słabości, upadku, udawania – uchwytnych w sposób niejako fizyczny. W książkach następnych to autorskie zdzieranie zasłon przybierało czasem wymiar metafizyczny.

Maciej Parowski

Philip K.Dick: „Słoneczna loteria" (tłumaczył J. Zieliński). Czytelnik 1981. Cena 50 zł.

O KLIMACIE, SZTUCZNYCH SŁOŃCACH I POLITICAL FICTION

Guy Lyon Playfair, Scott Hill

Poniższy tekst pochodzi z książki *„Cykle nieba. Czynniki kosmiczne i ich wpływ na nasze życie"*, przygotowywanej do druku przez Państwowy Instytut Wydawniczy w serii Biblioteka Myśli Współczesnej. Tytuł pochodzi od redakcji. (Red.)

Rok 1976 był godny odnotowania w księgach rekordów. Wydawało się, że przyroda oszalała. W Hongkongu spadło w ciągu jednego dnia 400 mm deszczu, a Moskwę i część USA ogarnęła powódź. W tym samym czasie Europa omdlewała od upału, dotknięta najdotkliwszą suszą od 1727 roku; prawie każdego dnia* zdarzało się jakieś większe trzęsienie ziemi, a oszołomione i nieco zaniepokojone społeczeństwo zwróciło się o pomoc do meteorologów. Specjaliści jednak czuli się w tym wszystkim zagubieni, tak samo jak inni; zgodnie z ich przewidywaniami, po prawie bezdeszczowym sierpniu miał nastąpić niezwykle suchy wrzesień, a tymczasem okazał się on trzy razy bardziej dżdżysty niż zwykle. (W końcu sierpnia angielscy Hindusi odprawili specjalne modły sprowadzające deszcz, który rzeczywiście spadł w trakcie jednej z takich uroczystości – po raz pierwszy w miesiącu).

Następny rok był niewiele lepszy. 19 stycznia 1977 roku spadł śnieg na Bahamach. W Nowym Jorku zanotowano najniższe temperatury od 108 lat. Plantatorzy pomarańczy na Florydzie musieli w swoich owocowych gajach rozpalać ogniska. Przez półwysep Kamczatka z prędkością 177 km na godzinę przewaliły się tornada. Wodospad Niagara zamarzł na sztywno.

W lutym, gdy temperatura spadła do minus 40°C, a prędkość wiatru w czasie zawiei wynosiła 112 km/godz., zwolniono z pracy trzy miliony Amerykanów, a całe miasta, takie jak Buffalo w stanie Nowy Jork, prawie całkowicie zniknęły pod śnieżnymi zaspami. Za to przez cały ten czas na Alasce temperatury były o trzydzieści stopni wyższe niż zwykle, zaś w Wielkiej Brytanii, gdzie jeszcze wciąż zalecano ludziom oszczędzanie wody, nagle rzeki wylały na skutek powodzi. Cóż to miało znaczyć? Czy to przyroda zwariowała, czy też człowiek po prostu stracił z nią kontakt? Z całą pewnością cokolwiek by się w przyrodzie działo, musi być naturalne, a my powinniśmy starać się to zrozumieć. Podczas tych wszystkich niesłychanych wybryków przyrody, nabrały nagle znaczenia nudne fragmenty podręczników. Jaki właściwie wpływ mogły mieć na nas rozbłyski na Słońcu? W jaki sposób mogły na nas działać fluktuacje pola geomagnetycznego? Na co jeszcze, poza pogodą, miały wpływ siły, których nikt nie rozumiał i o których mało kto słyszał? Do jakiego stopnia jesteśmy zdani na ich łaskę i jak możemy się przed nimi bronić? Co to się właściwie dzieje?

Spiker brytyjskiej telewizji, Michael Barratt, był umówiony na pewne popołudnie 1976 roku na golfa w Bracknell w Berkshire. Ponieważ akurat mieściło się tam Brytyjskie Biuro Meteorologiczne, w którym pracował jego przyjaciel, postanowił zatelefonować do niego, aby się dowiedzieć, jaka tam będzie pogoda. W odpowiedzi usłyszał – „cały dzień deszcz", więc ubrał się tak jak do gry w czasie deszczu. Tymczasem cały dzień świeciło słońce. Coś tu musi być nie w porządku, myślał, jeśli oni nie potrafią nawet podać, jaką będą mieli pogodę następnego dnia na własnym podwórku! Nieco później jeden z pracowników Biura Meteorologicznego przyznał w Ogólnokrajowym Programie BBC, że jeszcze teraz, w dobie satelitów meteorologicznych, komputerów, modeli matematycznych i statystyki, przewidywanie pogody w znacznej mierze opiera się na przypuszczeniach i jedna prognoza na pięć jest na ogół zła. O meteorologii, czyli badaniu gwałtownych zmian pogody, często mówi się w sposób złośliwy, choć nie ma już na jej temat aż tylu dowcipów co kilkadziesiąt lat temu. Sytuacja uległa jednak znacznej poprawie: cztery prawidłowe prognozy na pięć, to już nie jest źle (...).

Jeśli meteorolodzy mają kłopot z przewidywaniem pogody na dzień następny (lub bieżący), to klimatolodzy – których praca polega na przewidywaniu kierunków przyszłych zmian – są w jeszcze gorszej sytuacji.(...) Sprawę pogarsza fakt, że klimatolodzy rzadko się ze sobą zgadzają. Ustalone przez nich tendencje bywają sprzeczne, a wynikające z nich konsekwencje całkowicie odmienne. Na przykład w 1976 roku dwa autorytety oznajmiły prawie jednocześnie, że w nadchodzących latach nastąpi: ocieplenie... i oziębienie.

Światowe Biuro Meteorologiczne (World Meteorological Office – WMO) w Genewie uprzedzało, że wzrastająca na skutek spalania ropy naftowej i węgla zawartość dwutlenku węgla w atmosferze spowoduje wzrost temperatury o kilka stopni Celsjusza. Dyrektor WMO do spraw planowania, Oliver Ashford, powiedział, że jeśli na skutek wysokiego poziomu dwutlenku węgla zmieni się w drastyczny sposób rozkład opadów deszczowych, to nie można wykluczyć, że w części Europy nastanie wilgotny klimat podzwrotnikowy. Tymczasem topniejący lód Arktyki może podnieść temperatury na dalekiej północy, stwarzając warunki do rozwoju rolnictwa na tych szerokościach geograficznych. Grenlandia jako spichlerz zbożowy?

Z drugiej zaś strony, amerykański uczony i wynalazca, Iben Browning, uważa, że klimat ziemski wszedł w cykl ochładzania i że mylimy się sądząc, że ciepły i stały klimat ostatnich pięćdziesięciu lat jest w jakikolwiek sposób normalny. Normalny, mówi Browning, jest właśnie „ten okropny" klimat i cały kłopot w tym, że do tego „normalnego" wracamy. Browning przewiduje, że mamy przed sobą długi okres bardzo kapryśnej pogody i ostrzega: „Niepewne czasy to ciężkie czasy. Były już tego przykłady w historii. Obowiązują wtedy inne zasady. Ci, którzy mają żywność, starają się zatrzymać ją dla siebie. Pozostali zaś nie chcą iść na kompromis, gdy ich dzieci głodują". Weszliśmy, mówi Browning, w jeden z takich niepewnych okresów.

Jeśli to prawda, to może mieć ona poważne konsekwencje. Naruszona zostanie światowa równowaga sił. Radziecki pas upraw zbożowych znajduje się w południowej części kraju i jeśli średnia linia dobrych warunków wegetacyjnych przesunie się na południe, to przesunie się ona zupełnie poza Związek Radziecki. Stany Zjednoczone są natomiast w tym szczęśliwym położeniu, że średnia linia dobrych warunków klimatycznych przecina środek ich kraju i jej niewielkie przesunięcie w którąkolwiek stronę nie spowoduje strat. Gdyby jedno z supermocarstw było, ze względu na brak artykułów pierwszej potrzeby, przez dłuższy czas uzależnione od drugiego, mogłoby to doprowadzić do wielu ciekawych sytuacji politycznych. I dlatego wydaje się, że leży w interesie wszystkich, aby starać się opracować prawidłową prognozę klimatu.

Hipoteza, iż zmiany klimatu czy pogody mogą stać się przyczyną zmian na mapach politycznych świata może się wydawać zbyt daleko idąca, ale Centralna Agencja Wywiadowcza (CIA) wcale tak nie uważa. W 1976 roku CIA ujawniła, opracowany dwa lata wcześniej raport, oparty głównie na pracach zespołu z Uniwersytetu Stanu Wisconsin, którymi kierował Reid Bryson. Wchodzimy w okres mini-lodowcowy, twierdzi CIA. Należy się spodziewać, że średnie temperatury na półkuli północnej, czyli tam, gdzie najbardziej ścierają się wpływy wielkich mocarstw, spadną o jeden stopień Celsjusza. Kręgi wywiadowcze sądzą, że to wystarczy, aby doszło do Przewrotów na Skalę Światową.

Na klimat Wielkiej Brytanii i Europy północno-wschodniej największy wpływ wywiera pas wilgotnych wiatrów, ułatwiający rozprzestrzenianie się obfitych ilości opadów na obszarach rolniczych, gdzie dotychczas z jednego hektara produkowano żywność dla trzech osób. Jeśli temperatura obniży się o jeden stopień wskaźnik ten zmniejszy się do dwóch ludzi z hektara. O dalszym obniżeniu temperatury lepiej nie myśleć.

Inne kraje spotka jeszcze gorszy los. Kanada: spadek produkcji zbóż o połowę. Związek Radziecki: Kazachstan stracony na zawsze dla produkcji zbożowej. Indie: duża susza co cztery lata (monsuny już zaczęły zachowywać się dziwnie), a żywności wystarczy zaledwie dla 75% obecnej populacji. Chiny: wielki głód co pięć lat...

Do szczęśliwszych części świata będzie należał Iran, dzięki odrodzeniu się rolnictwa na Wyżynie Irańskiej, a także wybrzeże Afryki północnej, które przyjdzie z pomocą Europie, gdy wyczerpią się nadwyżki zbożowe Wspólnego Rynku.

Wszystko to może doprowadzić do ekonomicznego i politycznego upadku całych narodów. Przy tym nie unikniemy tego, co CIA nazywa złowieszczo „wojskowymi migracjami ludności na dużą skalę".

Być może nigdy do tego nie dojdzie. Nie wiadomo. Może konkurencyjne prognozy o ociepleniu i o oziębieniu świata zrównoważą się wzajemnie i pogoda zostanie taka

jaka jest: zmienna i nie dająca się przewidzieć. Wszyscy jednak powinni pamiętać, że i klimat i pogoda się zmieniają.
Profesor Mason uważa, że jest jeszcze bardzo daleko do tego, aby działalność człowieka mogła stać się przyczyną jakichś poważnych niekorzystnych zmian w naturalnym klimacie. Odczyt Masona w Królewskim Towarzystwie Sztuki w roku 1976 miał, ogólnie rzecz biorąc, następujący wydźwięk: „Nie wpadajmy w panikę – klimat znajduje się pod kontrolą naszych komputerów". Niemniej jednak działalność człowieka często prowadzi do niekorzystnych zmian w atmosferze. Wciąż trwa dyskusja nad „efektem szklarni", powodowanym przez dwutlenek węgla pochodzący ze spalania paliw kopalnych, nad zjawiskiem oziębiania atmosfery przez cząstki kurzu oraz zanieczyszczenia warstwy ozonu przez samoloty ponaddźwiękowe.
Z równowagą ekologiczną jest tak, jak z chodzeniem po linie: nie możemy sobie pozwolić na zlekceważenie czegokolwiek co mogłoby tę równowagę naruszyć. Człowiekowi jednak nie wystarczają zmiany klimatyczne, do których może dojść w sposób naturalny i stara się, jak może, samemu coś do tego dołożyć. W 1976 roku grupa uczonych z NASA wystąpiła z (dosłownie) olśniewającym pomysłem wystania w kosmos sztucznych słońc i księżyców, które odbijałyby dodatkowe światło słoneczne na ciemną stronę Ziemi, aby w ten sposób zapewnić wzrost produkcji żywności, powiększyć zasoby energii, a prawdopodobnie również nie dawać milionom ludzi spać, wtedy kiedy zwykle jest noc. Te sztuczne „słońca" i „księżyce", plastykowe satelity pokryte aluminium, dostarczałyby tyle ciepła i energii, co 160 000 Księżyców w pełni. Łatwo nam sobie wyobrazić, do jakich zakłóceń – już całkowicie wykraczających poza możliwości przyrody – mogłoby to doprowadzić. (Gdy sztuczne „słońce" będzie już na orbicie, to wystarczy, aby jakiś pełen inicjatywy figlarz wypuścił na orbitę koncentryczną szkła powiększające i skierował wiązkę promieni na biuro tego, któremu cały ten pomysł przyszedł do głowy, a i z pomysłu i z jego autora nie zostanie nic, prócz popiołu.)
Jest jednak znacznie poważniejszy problem. The Ryan Aeronautical Co. przez długi czas nalegało na NASA, aby w związku z tym, że coraz więcej wiadomo o wzajemnych oddziaływaniach energetycznych między jonosferą a niższymi warstwami atmosfery ziemskiej, przeanalizować, jak wpływają na pogodę doświadczenia z bronią jądrową. Badania wykazały, że na całym naszym globie wiatry wieją zwykle wzdłuż linii pola geomagnetycznego, a jak wiadomo, pole to bezpośrednio odpowiada za zmiany zachodzące w jonosferze. Broń jądrowa musi więc wywierać jakiś wpływ na pogodę, wprowadzając do jonosfery roje naładowanych cząstek i zakłócając w ten sposób pole geomagnetyczne oraz jego gradienty. Władze radzieckie zwróciły się do Stanów Zjednoczonych z prośbą o nietestowanie broni jądrowej w górnych warstwach atmosfery w okresie poprzedzającym wystrzelanie sond kosmicznych. Chodziło o to, aby zapobiec ewentualnemu groźnemu dla życia zagęszczeniu naładowanych cząstek wokół pasów Van Allena. Manipulowanie pogodą mogłoby mieć również zastosowanie pokojowe. Artur C.Clarke w książce „Spotkanie z Ramą" opisuje sztuczną planetę o całkowicie sztucznej ekologii; jednym z czynników ekologicznych jest tam „wiatr elektryczny", który zwiastuje zmiany pogody. Ale jeśli tylko istnieje możliwość zastosowania jakiegoś wynalazku w złych celach, to jak dowodzi historia ludzkości, takie cele zawsze się znajdą. Już widzimy wojskowych strategów, jak uśmiechają się na samą myśl o wytwarzaniu na rozkaz bezchmurnego nieba lub pokrywy chmur czy też o niszczeniu zapasów żywności we wrogim kraju, przez wywołanie sztucznej suszy. To chyba jeszcze jeden powód przekonywający, że bardziej opłaca się próbować zrozumieć przyrodę niż próbować ją przekształcać.

Przełożyła Grażyna Fąfara

* Trzęsienia ziemi zdarzają się o wiele częściej niż sądzi większość ludzi. Średnio rzecz biorąc, przypada jedno na trzydzieści sekund. Jednak, jak wskazują wstępne dane, w 1976 roku odnotowano kilka razy więcej poważnych trzęsień niż zwykle.

Gorzowski Klub Miłośników Fantastyki Naukowej

Działa już od pięciu lat. Jak niemal wszystkie kluby na terenie naszego kraju miał w początkowym okresie trudności ze znalezieniem stałego locum. Znowu jednak okazało się, że inwencja ludzka nie zna granic, a dobry cel pomaga w załatwieniu najtrudniejszych spraw. Gorzowski Klub Miłośników Fantastyki Naukowej działa przy Gorzowskiej Spółdzielni Mieszkaniowej.

W niewielkim lokalu na ostatnim piętrze wieżowca mieszczą się sekretariat i biblioteka Klubu; jest to zarazem miejsce spotkań i prelekcji, miejsce, gdzie rodzą się ciekawe pomysły prowadzenia działalności. Nie chodzi tu już o działalność czysto spektakularną, jak spotkania z Arnoldem Mostowiczem, udział w prowadzeniu Nieobozowej Akcji Letniej czy projekcja filmu „Gwiezdne wojny". Nie chodzi również o działania czysto organizacyjne, związane z prowadzeniem ewidencji członków, pokonywanie trudności w związku z planowanym wydaniem biuletynu „Spektra" czy wreszcie organizacja i prowadzenie biblioteki klubowej, gromadzenie informacji o fantastyce naukowej, parapsychologii, ufologii czy trójkącie bermudzkim.

Wszystko to (łącznie z wystawami plastyki SF i znaczków pocztowych poświęconych astronautyce i astronomii) stanowi tylko jedną stronę klubowej działalności. Najbardziej wymierne i zarazem spektakularne osiągnięcie gorzowskich miłośników fantastyki to uruchomienie serii wydawniczej „Fantazja – Nauka – Przyszłość". Starania rozpoczęte w roku 1978 przez Andrzeja Kudzię i Andrzeja Wójcika już w roku 1979 zostały uwieńczone ukazaniem się pierwszej pozycji. Był to zbiór opowiadań SF „Duch Galaktyki" gdzie obok nazwisk twórców uznanych, jak Andrzej Trepka i Adam Hollanek, pojawiły się nazwiska młodych autorów: Andrzeja Milczarka, Tadeusza Markowskiego i Witolda Thyma. W tymże roku 1979 ukazała się ponadto pozycja „Przybył z kosmosu, aby umrzeć na Ziemi" Janusza Kruka. Po przerwie, w roku 1981 ukazały się „Zbliżenia czwartego stopnia" Jana Gerecha i Jerzego Szulca oraz „Bunt robotów" – zbiór opowiadań SF. W roku 1982 pojawiły się aż trzy pozycje tego samego autora – Leszka Szumana. Były to: „W kręgu znaków zodiaku", „Astrologia i polityka" oraz „Życie po śmierci".

Plany wydawnicze GKMFN na rok 1983 przewidują wydanie „Senników" i „Nasi zmarli żyją?" Leszka Szumana oraz „Zwierzeń wróżki" Elżbiety Brzezińskiej. W dalszych planach GKMFN można znaleźć książkę o doktorze Podbielskim z Międzyrzecza, napisaną przez Bronisława Słomkę, interesującą książkę o zielarstwie „Lecz się sam" Jana Młotkowskiego i zredagowaną przez Leokadię Podhorecką ze Szczecina pracę zbiorową „Radiestezja w służbie człowieka". Szkoda, że wszystkie te pozycje ukazują się wciąż w małym, zaledwie dwudziestotysięcznym nakładzie (pierwsze pozycje serii miały nakład 10 000 egz.). W każdym razie należy docenić upór oraz odwagę członków GKMFN, sięgających w wydawanych przez siebie książkach przede wszystkim po tematykę do tej pory kontrowersyjną. Wszystkich zainteresowanych bliższymi informacjami o działalności Gorzowskiego Klubu Miłośników Fantastyki prosimy o listowne bądź osobiste zgłoszenie się na adres:

Gorzowski Klub Miłośników Fantastyki Naukowej
przy Gorzowskiej Spółdzielni Mieszkaniowej
ul. Wyczółkowskiego 6/25
66-400 Gorzów Wlkp.

(RPA)

Arnold Mostowicz

NAD WIELKĄ TAJEMNICĄ

Przed dwoma miesiącami pisałem o nieoczekiwanych wnioskach, jakie nasunęły mi się w związku z książką Josepha Blumricha *„Kaskara i siedem światów"*. W przygotowanej przeze mnie publikacji, której poszczególne rozdziały będą streszczeniami co ciekawszych książek na tematy paleoastronautyczne, jeden poświęcony będzie głośnej książce amerykańskiego orientalisty Zacharii Sitchina *„12 planeta"*.

Zacharia Sitchin, uważny, wnikliwy i pełen erudycji badacz historii Sumerów zajął się współczesną interpretacją tekstów wyrytych pismem klinowym na glinianych tabliczkach odnalezionych w ubiegłym wieku w ruinach Niniwy i Nippur. Jest tych tabliczek ponad 50 000. Stanowią one fantastyczną bibliotekę zebraną na polecenie króla asyryjskiego Assurbanipala. Spisano na nich wszystko, co za jego czasów stanowiło spadek po wiedzy, kulturze i cywilizacji sumeryjskiej i babilońskiej. Cywilizacja ta kwitła kilkadziesiąt wieków wcześniej – około pięciu, sześciu tysięcy lat temu.

Zacharia Sitchin wczytując się w tekst tabliczek klinowych doszedł do kilku wniosków, z których każdy uznać należy za rewelacyjny.

Po pierwsze – stwierdził, że wiedza Sumerów (żyli oni na terenach południowo-wschodniej Mezopotamii) stała w dziedzinie matematyki i astronomii nieprawdopodobnie wysoko. Sumerowie wiedzieli, na przykład, wszystko o naszym systemie planetarnym. W jego centrum umieścili Słońce i wiedzieli, że planety obracają się wokół naszej gwiazdy.

Po drugie – astronomowie sumeryjscy w pozostawionych przez siebie przekazach piszą nie o dziewięciu planetach w naszym systemie słonecznym, ale o dziesięciu. Uważali oni, że wraz ze Słońcem i Księżycem istnieje w naszym systemie dwanaście ciał niebieskich (stąd tytuł książki Sitchina).

Po trzecie – w pozostawionych przez siebie tekstach (a tabliczki z Niniwy i Nippur stanowią bądź sumeryjski oryginał, bądź ich chaldejsko-asyryjską kopię) Sumerowie twierdzą, że całą posiadaną przez siebie wiedzę i wszystkie swe umiejętności zawdzięczają przybyszom z tej właśnie dziesiątej planety, którą nazywają Nimiru, a którą Babilończycy zwali Marduk, co było jednocześnie imieniem jednego z bogów.

I właśnie opis tej planety, jak również opis podróży statku kosmicznego z tej planety na Ziemię – stanowią niemałą część treści owych glinianych tabliczek. Można powiedzieć z całą pewnością, że dopiero epoka lotów kosmicznych pozwoliła na taką właśnie – i sądzić należy, że właściwą – interpretację.

Oczywiste jest, że Sumerowie nie dysponując żadnymi precyzyjnymi instrumentami optycznymi i nie mając żadnych obserwatoriów astronomicznych nie mogli sami osiągnąć tak wysokiego stopnia wiedzy w dziedzinie astronomii, jak to wynika z ich spuścizny naukowej. Bo skądżeby mogli wiedzieć o – gołym okiem przecież niewidocznych – takich planetach naszego systemu słonecznego, jak Pluton, Neptun czy Uran, o których współczesna nauka potrafi coś powiedzieć dopiero od niedawna. Uran odkryty został w 1781, Neptun – w 1846, a Pluton w 1930 roku.

A skoro wiedzieli o tych planetach nie widząc ich, wcześniej od nas, to dlaczego nie miałoby być prawdą i to, że w naszym systemie słonecznym krąży planeta, której czas obiegu wokół Słońca wynosi 3600 lat i która raz na 3600 lat pojawia się w pobliżu Ziemi, nie bawiąc tu zresztą zbyt długo?

Sitchin twierdzi, że coraz większa liczba uczonych zastanawia się dzisiaj czy rzeczywiście w naszym systemie nie ma jeszcze jakiejś nieznanej dotychczas planety i jest przekonany, że przyszłość potwierdzi to, co wiedzieli już przed tysiącami lat Sumerowie.

Ale okazuje się, że hipoteza mówiąca o istnieniu w naszym układzie planetarnym jeszcze jednej planety odwołać się może nie tylko do tradycji sumeryjskiej. W 1940 roku uczony chiński mieszkający stale w Paryżu, Liu-Tse hua opracował i wydał we Francji książkę o dość intrygującym tytule: *„Prozerpina, czyli kosmologia Pa-Kua i współczesna astronomia"*. W książce tej chiński astronom opierając się na tradycyjnej wiedzy chińskiej również wyraził przekonanie o istnieniu w naszym systemie jeszcze jednej, nieznanej nauce planety. Nazwał ją Prozerpiną – nie chcąc wyjść poza krąg nazw wywodzących się z greckiej mitologii. Liu-Tse hua opisał nawet orbitę tej planety, a także jej rozmiary i gęstość. Niestety, nie udało mi się dotrzeć do tej książki i nie potrafię powiedzieć czy dane te zgadzają się z informacjami, które o hipotetycznej planecie zawierają przekazy sumeryjskie.

Podkreślić należy fakt, że swoje wnioski Liu-Tse hua opracował wyłącznie na podstawie starej wiedzy chińskiej. Czyli, inaczej mówiąc, dawni Chińczycy wiedzieli być może o naszym systemie słonecznym więcej niż wiemy dzisiaj...

O wiedzy astronomicznej Dogonów pisano już wielokrotnie i nie będę do tej sprawy wracał. W mojej drugiej książce staram się udowodnić, jak bardzo pozbawione sensu są wszelkie przypuszczenia, iż wiedza Dogonów o Syriuszu nie jest mitem przekazywanym na drodze inicjacji od dziesiątek pokoleń, lecz stanowi zapożyczony ułamek współczesnej wiedzy, którą Dogonowie rzekomo poznali bądź za pośrednictwem misjonarzy, bądź też wówczas, gdy w czasie pierwszej wojny światowej służyli w wojsku francuskim. Podobne posądzenie, podające w wątpliwość wyniki kilkunastu lat badań etnografów francuskich, nie jest oparte na żadnych dowodach czy przesłankach rzeczowych, lecz stanowi wynik spekulacji myślowej negującej w ogóle możliwość podobnej gnozy czy mitologii kosmicznej.

Warto przypomnieć, że Dogonowie w swoim micie kosmicznym wkraczają poza ramy współczesnej wiedzy astronomicznej. Podstawą ich mitu jest Syriusz. O Syriuszu współczesna nauka wie, iż jest gwiazdą podwójną. Natomiast Dogonowie twierdzą, że – zgodnie z ich gnozą – Syriusz jest gwiazdą potrójną. To znaczy, że oprócz Syriusza A i B istnieje jeszcze Syriusz C. Otóż istnienie Syriusza C. zaobserwowało rzeczywiście kilku astronomów, ale sprawa ta jest dla oficjalnej astronomii ciągle co najmniej wątpliwa. Inaczej mówiąc, o Syriuszu C. już na pewno Dogonowie nie mogli dowiedzieć się za pośrednictwem współczesnej nauki. A co będzie, gdy okaże się (a jestem przekonany, że jest to tylko kwestia czasu), iż to Dogonowie a nie współczesna astronomia mają rację?

Nie oznacza to, że należy czekać na odkrycie Syriusza C, by otrzymać potwierdzenie faktu, iż mit kosmiczny Dogonów jest starszy od naszej wiedzy astronomicznej. Ale pozostawmy Dogonów w spokoju.

Ze wszystkich rodzajów wiedzy, astronomia najczęściej objawia się tam, gdzie spotkania z nią są najmniej spodziewane. Znanym faktem jest to, iż wielki pisarz angielski, Jonathan Swift, (1667–1745), autor *„Podróży Guliwera"* opisał dwa satelity planety Mars – Phobosa i Deimosa – dokładnie na 150 lat przed ich odkryciem przez astronoma S. Halla w 1877 roku. Co więcej, Swift podał niektóre informacje o tych satelitach z niezwykłą dokładnością. Na przykład to, że szybkość ich obrotów jest różna (jeden miał obracać się dwa razy szybciej od drugiego), co zostało później w pełni potwierdzone przez naukę.

Skąd Swift posiadł tę wiedzę? Skąd mógł wiedzieć o istnieniu tych satelitów? Dlaczego żaden historyk nauki nie próbuje na to pytanie odpowiedzieć?

I jeszcze jeden przykład nie mniej interesujący. Przygody barona Münchhausena są w Polsce na ogół znane, chociaż nie tyle z książki – która, o ile mi wiadomo, nie została u nas po wojnie wznowiona – ile ze sztuki pisarza radzieckiego Grigorii Gorina. Sztuka przeszła przez wiele scen w naszym kraju, a w końcu wystawiona została przez teatr telewizji. Baron Münchhausen to przykład blagiera i zarozumialca, którego wymaginowanymi przygodami bawią się czytelnicy już kilku pokoleń.

Otóż jedna z przygód barona Münchhausena jest związana z jego podróżą w kosmos. Wyruszywszy na swoim wehikule z Ziemi i poruszając się przez cały czas po linii prostej nasz bohater wraca z powrotem do punktu, z którego startował. Jest to, rzecz jasna, zgodne ze współczesną nauką, głoszącą, że w przestrzeni wszechświata, jeśli odległości oblicza się w skali astronomicznej, nie ma linii prostych, lecz jedynie linie krzywe wynikające z krzywizny wszechświata i „zamykające się". Problem w tym, że przygody barona Münchhausena napisane zostały w XVIII wieku, a ogólna teoria względności Einsteina powstała dwa wieki później... Skąd u barona Münchhausena, który jest zresztą postacią historyczną, ta wiedza?

A skoro już znajdujemy się w kręgu nauk astronomicznych przypomnijmy, iż na 1800 lat przed Kopernikiem astronom grecki

Arystarch z Samos twierdził, że Ziemia i planety obracają się dookoła Słońca i że pory roku na Ziemi wynikają z jej obrotów wokół naszej gwiazdy. Jak to się stało, że był on jedynym, który wygłaszał te heretyckie na ówczesne czasy poglądy i skąd je czerpał, skoro powszechnie panowały wówczas teorie Arystotelesa dalekie od heliocentryzmu Arystarcha? Możemy tylko przypomnieć, że Arystarch pochodził ze szkoły aleksandryjskiej w Egipcie, a stamtąd szły często w świat poglądy daleko wykraczające poza ramy swego czasu.

I jeszcze jeden przykład. Tym razem z pogranicza astronomii... i biologii, dotyczący wpływu rytmów kosmicznych na biorytmy człowieka, o czym szerzej piszę w książce *„Biologia zmienia medycynę"* („Iskry" – 1982).

Badacz francuski, Michel Gauquelin odkrył kilkanaście lat temu zależność istniejącą między pozycją, jaką zajmuje jedna z czterech planet leżących najbliżej Ziemi (Mars, Wenus, Jowisz i Saturn) w momencie przyjścia człowieka na świat, a jego predyspozycjami psychicznymi, cechami charakteru, a nawet jego dalszymi losami. Są to skrupulatnie sprawdzone fakty i żadna najsurowsza krytyka naukowa nie stwierdziła w nich niedokładności. Gauquelin stwierdził ponadto, że istnieje tu zjawisko dziedziczności, polegające na przekazywaniu potomstwu skłonności do rodzenia się pod znakiem wschodu lub kulminacji jakiejś planety, podobne do genetycznego przekazywania określonych cech czy predyspozycji. Oczywiście nie ma to nic wspólnego z wpływem planet na los człowieka (a więc z astrologią), lecz jest to po prostu dowodem dziedzicznego uwrażliwienia na pozycję danej planety, wynikającego z tego, że organizm noworodka, a konkretnie jego nadnercze wywołujące swoimi hormonami poród, zostały dziedzicznie uwarunkowane na wpływy dobowego rytmu planet. Aby dojść do tego zaskakującego wniosku musiał Gauquelin przeprowadzić dziesiątki tysięcy badań, korzystając z pomocy międzynarodowej i oczywiście komputerów.

Ale oto żyjący na przełomie szesnastego i siedemnastego wieku genialny astronom Johann Keppler napisał w 1610 roku: „Inną cudowną rzeczą jest to, że natura powoduje także pewną zgodność między konstelacjami niebieskimi bliskich krewnych. Kiedy kobieta znajduje się w ciąży i kiedy nadchodzi normalny czas porodu, natura wybiera dla momentu przyjścia dziecka na świat dzień i godzinę, które, jeśli idzie o niebo odpowiadają układowi gwiazd (w momencie przyjścia na świat) ojca lub brata matki..."

By stwierdzić coś podobnego w początkach wieku siedemnastego, bez pomocy statystyki i bez niezbędnych wiadomości na temat praw rządzących dziedzicznością, trzeba było być albo prorokiem, albo człowiekiem posiadającym (skąd? skąd?) niezwykłą wiedzę o zależnościach między kosmosem a zjawiskami życia.

I wreszcie ostatni przykład – uważnemu czytelnikowi książek poświęconych paleoastronautyce dobrze znany. Chodzi o stare mapy, a przede wszystkim o słynną mapę Piri Reisa.

Reprodukcje kilku takich map znajdują się w pierwszym wydaniu mojej książki *„My z kosmosu"*. Wszystkie one charakteryzują się jedną wspólną cechą: są zapisem wiedzy znacznie wykraczającej poza ramy wiadomości geograficznych znanych w czasach, gdy mapy te powstawały. Pochodzą one, w większości, z wieku XV i XVI. Niektórzy z konsekwentnych przeciwników szukania zagadek w przeszłości naszej cywilizacji starali się wykazać, że mapa Piri Reisa jest fałszerstwem. Specjalistom bez trudu udało się odeprzeć podobne zarzuty, wskazując chociażby na to, że mapa Piri Reisa zawierała szczegóły dotyczące np. brzegów Antarktydy znacznie precyzyjniejsze, niż mapy w czasach, gdy dzieło admirała tureckiego zostało przypadkowo odnalezione. Gdyby jednak mapa Piri Reisa miała być nawet fałszerstwem, to co powiedzieć o innych (co najmniej dziesięciu) mapach odkrytych przed kilkunastu laty przez uczonego amerykańskiego, prof. Charlesa H. Hapgooda, wybitnego geografa i historyka nauki? Fałszerstwem musiałaby być np. mapa Oronteusa Finnaeusa, która pochodzi z r. 1531 i na której znajduje się Antarktyda (częściowo wolna od lodów!) tak dokładnie wyrysowana, że nie powstydziłby się tego żaden współczesny geograf. Ba! Okazało się przecież, że w niektórych szczegółach mapa Oronteusa Finnaeusa jest precyzyjniejsza od współczesnych.

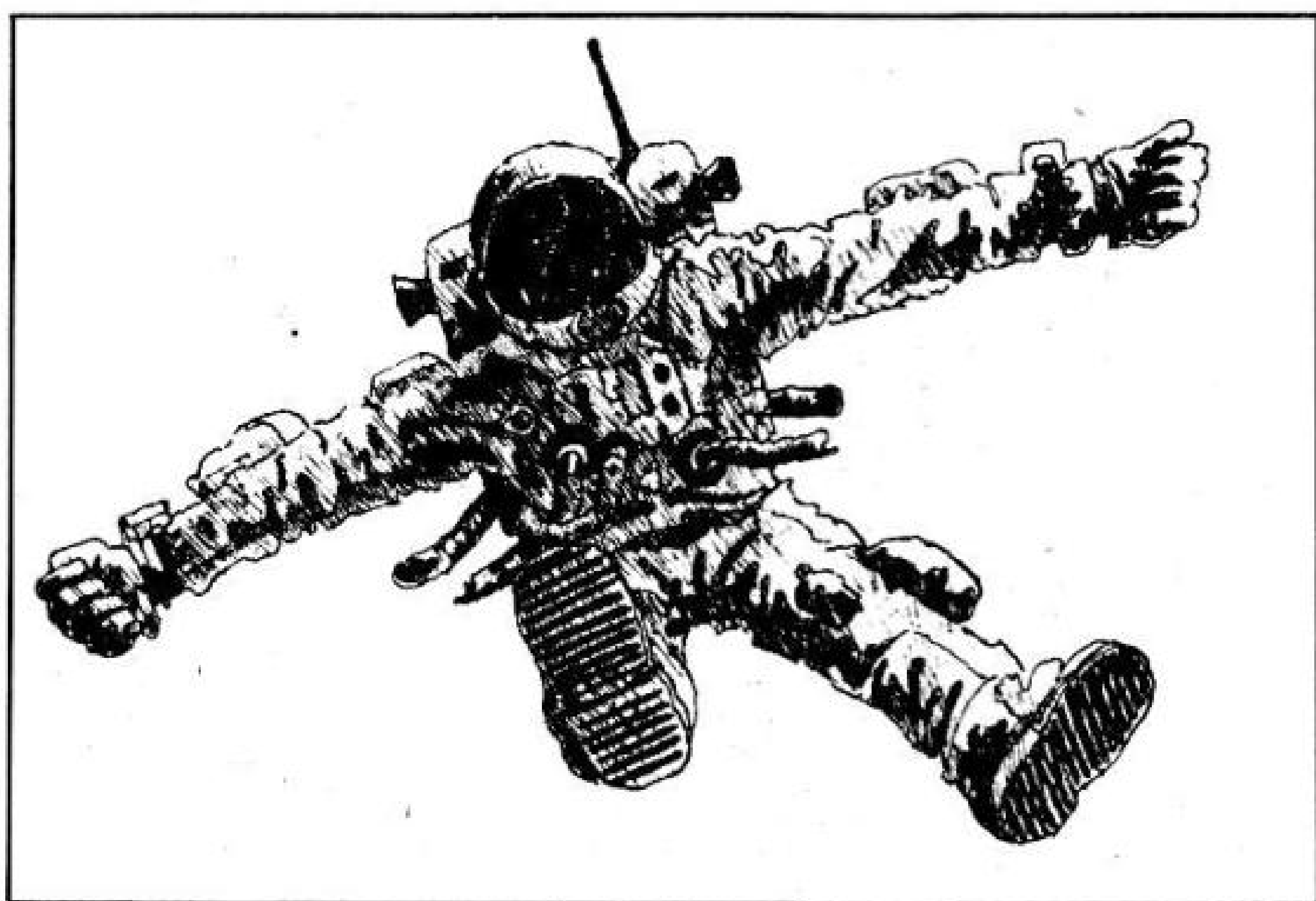
Ale wróćmy do mapy Piri Reisa. Otóż, jak obliczył Hapgood, o którym na pewno nie można powiedzieć, że jest fantastą lub złym geografem, ta mapa pochodząca z roku 1513 oparta została na wzorcach pochodzących z pewnością sprzed III wieku p.n.e. To przekonanie Hapgooda wynika z tego, że mapa Piri Reisa, jeśli idzie o obwód Ziemi, nie zawiera błędu popełnionego przez Eratostenesa. Eratostenes (275–195 p.n.e.), kierownik biblioteki aleksandryjskiej – obliczył jako pierwszy w znanych nam spisanych dziejach obwód Ziemi, przy czym omylił się zaledwie o 4,5%. Otóż u Piri Reisa tego błędu nie ma, czyli jego mapa musiała opierać się na wzorach wcześniejszych, jako że po Eratostenesie, do roku 1513 nikt nie obliczał obwodu kuli ziemskiej. Obliczenia były więc wcześniejsze od szacunków Eratostenesa i precyzyjniejsze.

To jednak tylko przypuszczenia, o prawdziwości których mogą wypowiedzieć się jedynie specjaliści. Zwróćmy więc uwagę na przykład jak najbardziej praktyczny, zrozumiały dla każdego.

W połowie roku 1982 świat został poruszony konfliktem między Wielką Brytanią a Argentyną. Przedmiotem konfliktu były Wyspy Falklandzkie (Malwiny). Z każdej encyklopedii dowiedzieć się można, że Falklandy zostały odkryte przez Anglika Johna Daviesa w roku 1592. (Chociaż nasza Wielka Encyklopedia Powszechna nie jest w tej sprawie zdecydowana. W haśle „Falklandy" mowa jest, że zostały one odkryte przez podróżników portugalskich w wieku XVI, a w haśle „John Davies" podane jest z kolei, że to on właśnie odkrył te wyspy...). Rzecz jednak w tym, że Falklandy znajdują się na mapie Piri Reisa z roku 1513! Aż dziw bierze, że w czasie konfliktu nikt nie zwrócił na to uwagi.

Podobnie rzecz ma się z wyspą Marajo, znajdująca się u ujścia Amazonki, o powierzchni 48 000 km². Odkryta została (proszę sprawdzić) w 1543 r. Na mapie Piri Reisa figuruje – jak byk!

...Po wszystkich tych przykładach, w których astronomia miesza się dokumentnie z biologią i geografią, a Jonathan Swift z Kepplerem i Arystarchem, czytelnik ma prawo zapytać: co z tego wynika?


Robert Lechowicz

Otóż, prawdę powiedziawszy, nie wiem. To znaczy, nie wiem konkretnie. Bo na gruncie fantastycznym mógłbym spróbować wysunąć z tego jakieś mgliste wnioski.

Gdybyśmy popuścili wodze fantazji, to wszystko wygląda tak, jak gdyby poza oficjalnym, „otwartym" nurtem wiedzy istniał jeszcze nurt wiedzy nieoficjalnej, nie dla wszystkich i nie dla każdego dostępnej. Coś w rodzaju bibliotek w Niniwie i Nippur. Od czasu do czasu nielicznym udaje się uszczknąć z takiego sezamu rąbek „Wielkiej Tajemnicy" – o ile na to zasługują.

A gdzie tkwią korzenie owej „Wielkiej Tajemnicy"? Zbyt wiele jest dowodów na to, że źródła wiedzy o kosmosie czy o Ziemi tkwią w zamierzchłej przeszłości człowieka, aby można było nad wszystkimi tymi dowodami przejść do porządku dziennego. A przecież nosicielem tej wiedzy nie był prymitywny mózg Australopitekusa, Pitekantropa czy Neandertalczyka. Kiedy prof. Charles Hapgood odnalazł mapę Oronteusa Finnaeusa był wstrząśnięty. „I sat transfixed" – powiedział. Najwyższy już czas, aby fakty, podobne do tych, które tu przypomniałem, wstrząsnęły historykami nauki, tak jak mapa Finnaeusa wstrząsnęła Hapgoodem.

Maciej Iłowiecki

Z TAMTEJ STRONY LUSTRA

„Po tej stronie lustra – powiedział Kot do Alicji – wszystko, co wydaje ci się niepojęte, ma swój głęboki sens". Był to, jak się domyślamy, ten sam Kot, który potrafił znikać nagle w taki sposób, że znikał nie całkiem: pozostawał jego uśmiech, sam uśmiech Kota bez Kota!

Naturalnie, „na zdrowy rozum" jest to jawny nonsens – „uśmiech" jest pojęciem abstrakcyjnym i nie może istnieć bez tego, kto się uśmiecha. Z punktu widzenia zoologii nonsens wydaje się jeszcze łatwiejszy do przygwożdżenia – koty po prostu nie umieją się uśmiechać (chociaż dla mnie nie jest to takie pewne!), nie mówiąc już o tym, że nie umieją ani mówić, ani rozpływać się w nicości. Gdybyśmy zajęli się bliżej uśmiechającym się kotem okazałoby się wszakże, iż jest nad czym dyskutować, co więcej, że tego rodzaju dyskusje toczą się nie od dziś w świecie nauki. Znaleźliby się tacy, którzy dowodziliby, iż w mózgu ludzkim musi być jakoś zakodowana sama idea uśmiechu – skoro ludzie potrafią rozpoznać uśmiech niezależnie od okoliczności, a także od tego, kto i jak się uśmiecha. W tym zatem sensie właśnie istnieje jakby „sam uśmiech"... Inni z kolei powiedzieliby, że zdanie: „koty nie umieją się śmiać" nie jest zupełnie ścisłe, jak wszystkie tzw. sądy indukcyjne. Chcąc być bliżej prawdy powinniśmy tylko stwierdzić: „nie spotkano dotąd kota, który potrafiłby się śmiać, więc jest bardzo prawdopodobne, że wszystkie koty tego nie potrafią".

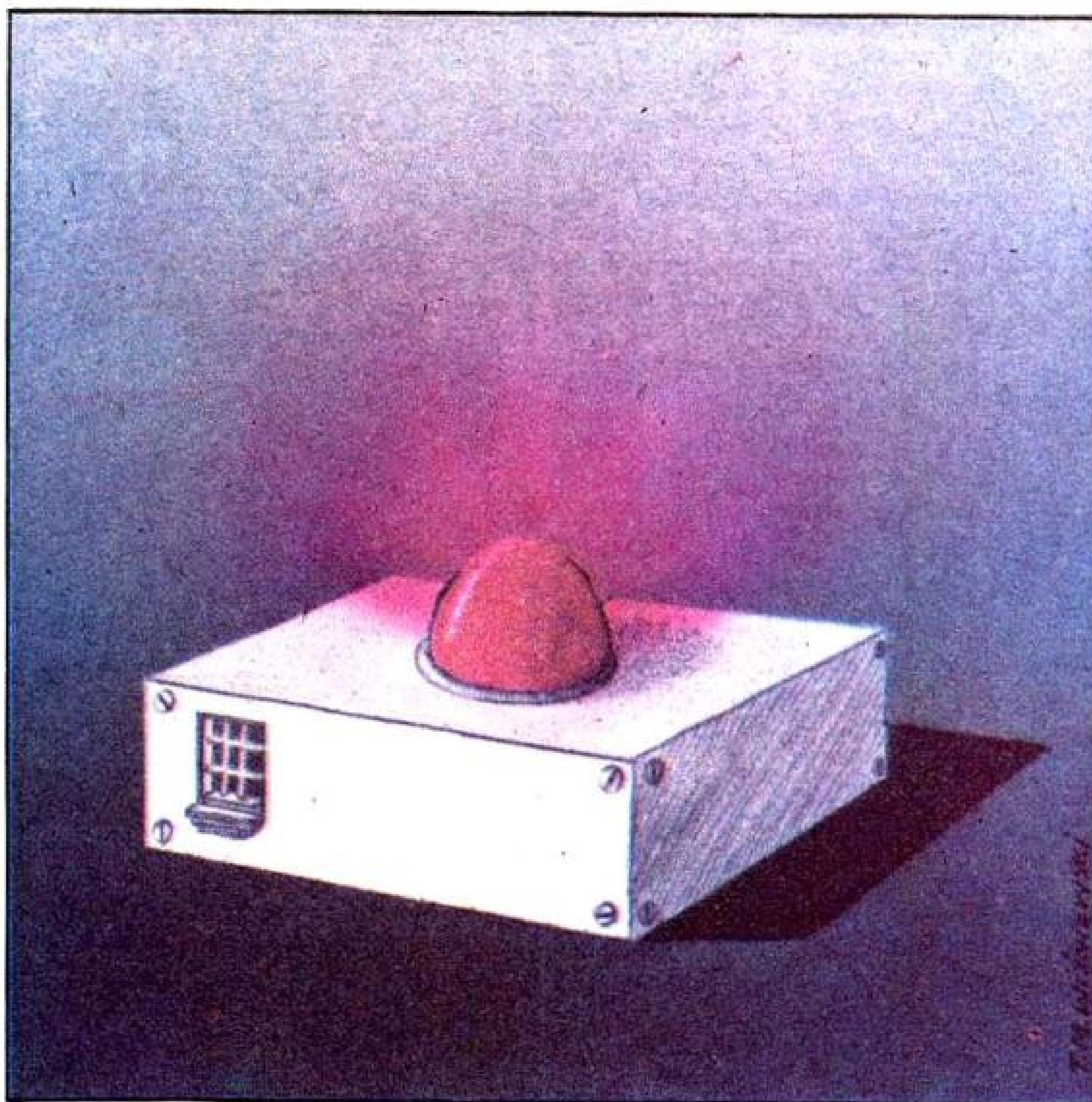
No tak, może lepiej nie wdawać się w zawiłe spory toczone przez filozofów, skoro zarówno własny rozum, jak i informacje zdobyte przez naukę pozwalają nieźle orientować się w świecie i nawet ten świat zmieniać. Chciałem tylko wskazać, iż może nie wszystko, co wydaje się oczywiste lub pewne, musi być zawsze i pewne i oczywiste. Poza tym nie musimy zbyt przejmować się logiką, ani posiadaną wiedzą: znikający Kot występuje przecież w krainie czarów, Alicja spotkała go po drugiej stronie lustra...

Proponuję przeto Czytelnikom comiesięczne wycieczki na tamtą stronę lustra, to znaczy do świata, w którym wszystko jest możliwe, a granicą może być tylko własna wyobraźnia. Spróbuję przedstawić różne „zjawiska paranormalne", „zwariowane hipotezy" i „nierealne projekty"; może to być i zabawne i pouczające, pod warunkiem wszakże zachowania dystansu i sceptycyzmu.

Współczesna fizyka przyzwyczaiła nas do tego, iż zjawiska, które uważamy za dziwne i nieprawdopodobne, okazują się w przyrodzie właśnie bardziej prawdopodobne od tych, które przywykliśmy uważać za naturalne i oczywiste. Aby zachować umiar i przepłynąć zdrowo między Scyllą (odrzucanie wszystkiego, co wydaje się „niezgodne z nauką") a Charybdą (przyjmowanie „na wiarę" wszystkiego, co komu się spodoba głosić), wystarczy może tylko pamiętać o jednym. Mianowicie o tym, iż rzeczy nie zawsze bywają takie, jakimi nam się wydają, ale jeszcze rzadziej bywają takie, jakimi chcielibyśmy, żeby były. Co zaś do zwariowanych hipotez, to – jak wiadomo – wiele z nich odegrało w historii nauki rolę niezmiernie pozytywną. Dla przykładu przypomnę dwie, dość znane.

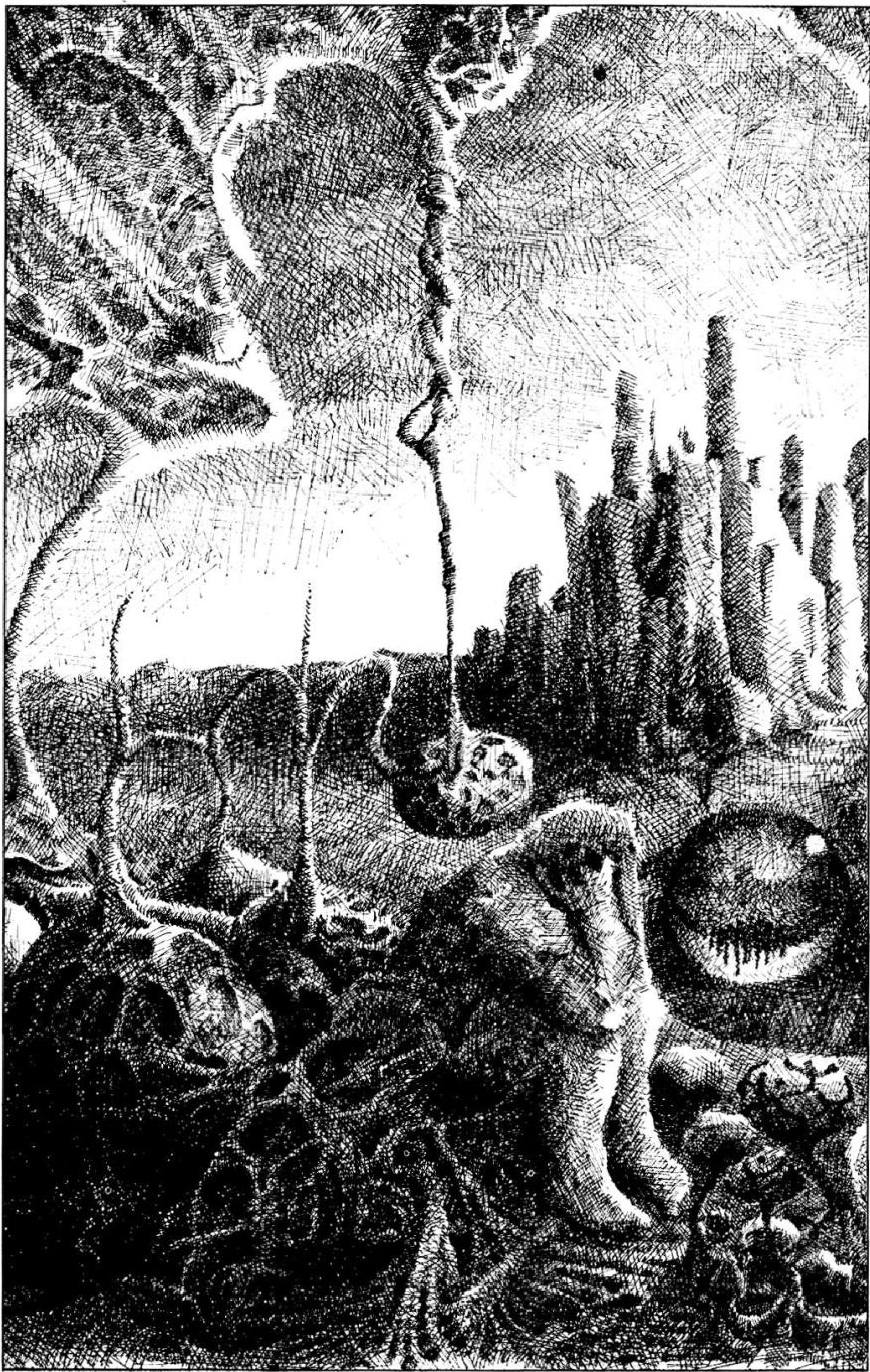
W latach trzydziestych radziecki astronom Tichow twierdził, że pasmo nizin marsjańskich daje obraz spektroskopowy taki, jak rejony wysokogórskiej roślinności na Ziemi, zatem na Marsie istnieją rośliny. Inny znany astronom radziecki, Szkłowski, uważał, iż satelity Marsa są puste w środku, zatem ich pochodzenie nie może być naturalne. W swoim czasie były to hipotezy dość heretyckie wobec panujących w nauce poglądów, namiętnie je też zwalczano. Mało tego – przyczyniając się do triumfu sceptyków, obie hipotezy okazały się błędne (dziś już to wiadomo)! Tyle, że zwalczanie obu hipotez i dyskusje wokół nich pchnęły naprzód poznanie Marsa i w ogóle Układu Słonecznego, pobudziły wyobraźnię wielu ludzi, wzmogły zainteresowania Kosmosem i kto wie, ile im w końcu zawdzięcza dzisiejsza astronautyka. Sądzę więc, iż można bronić twierdzenia, że nie wszystkie „wariackie" hipotezy muszą z natury rzeczy być bezpłodne i niewarte dyskusji czy choćby zastanowienia.

Przepraszam, że wrócę jeszcze do nadużywanego przykładu, ale wydaje się on nadzwyczaj wyraziście ujmować sedno sprawy. Otóż w końcu XVIII wieku przyniesiono Francuskiej Akademii Nauk jakieś skamieniałe grudy, twierdząc, że są to „kamienie spadłe z nieba". Chłopi, którzy przynieśli owe kamienie i przysięgali, że widzieli ich upadek z chmur, zostali ukarani za oszustwo i kpiny z prześwietnej Akademii; areopag uczonych uznał, że kamienie nie mogą spadać z nieba, ponieważ ani w chmurach, ani ponad nimi żadnych kamieni nie ma i być nie może (jak słusznie zauważył pewien uczony – gdyby nawet kiedyś tam były, dawno już musiałyby spaść, jako cięższe od powietrza). Był to wówczas werdykt racjonalny i w istocie postępowy – bo jakże przecież mogłyby kamienie spadać z nieba! Byłby to cud, a nauka musi odrzucać „wyjaśnienia przez cud".



Tomasz Marek Wiśniewski

Ciąg dalszy na str. 55


Robert Lechowicz

Z TAMTEJ STRONY LUSTRA

Ciąg dalszy ze str. 53

Dopiero po wielu latach okazało się, że chodziło wtedy o meteoryty i że jednak spadają one na powierzchnię Ziemi właśnie z przestrzeni pozaziemskiej. Dzisiaj „spadania kamieni z nieba" nikt już za cud nie uważa. Ile więc jeszcze napotkamy takich „cudów"?
W cały wiek po tej historii przedstawiono tejże Akademii Francuskiej przywieziony zza oceanu fonograf, nowy wynalazek amerykański. Na stole w sali obrad postawiono coś w rodzaju czarnej skrzynki, z której wydobywał się ludzki głos. Wśród uczonych zawrzało. „Wyrzucić brzuchomówcę! Nie wolno wystawiać akademików na pośmiewisko!" – ryknął doktor Boilland, zasłużony lekarz i uczony. Szczęściem nie posłuchano doktora, akademicy uchronili się przed pośmiewiskiem...
Zetknąwszy się z czymś niezwykłym i nie uznając „żadnych cudów", dzisiejszy doktor Boilland powinien wziąć pod uwagę dwie możliwości (co najmniej dwie). Pierwsza, naturalna i zawsze najbardziej prawdopodobna: iż być może sam padł ofiarą złudzenia, omyłki lub oszustwa. Ale druga, której uczony wykluczyć absolutnie nie może: że skoro owa niezwykłość wydaje się sprzeczna (czy choćby tylko nieprzystająca) z jego wiedzą, to może, może jednak ta wiedza jest niepełna?
Oczywiście, w historii nauki można znaleźć niezliczone przykłady na „obie strony medalu". Jednym razem niewiara w dziwaczne hipotezy i nienormalne zjawiska okazuje się zbawcza dla postępu, chroni przed błędami i zabobonem, pcha naukę naprzód. Innym razem właśnie zwalczana przez świat nauki „zwariowana hipoteza" czyni w tejże nauce rewolucję i staje się nowym krokiem w poznawaniu świata. Tak czy inaczej, czasami i wyprawa poza lustro może okazać się bardzo ciekawa.



Barbara Ziembicka

Z PRZEWAGĄ TŁUMACZEŃ

mówi Katarzyna Krzemuska, redaktor naczelny Wydawnictwa Literackiego w Krakowie

– Mam wrażenie, że Wydawnictwo Literackie odnosi się do SF w sposób olimpijski. To znaczy wydawaliście Państwo, bądź nawet wprowadziliście na nasz rynek najlepszych pisarzy gatunku – Lema, Dicka, Snerga – ale pozostałych już, polskich autorów, traktujecie po macoszemu. Sięgacie po nich przypadkowo i wydajecie ich w seriach nie związanych z fantastyką. Czyżby przejawiało się w tym Wasze lekceważenie dla gatunku jako całości?

Naprawdę nie sądzę, byśmy się separowali od SF. Mamy w redakcji przekładów sprawdzoną, dobrze ocenianą serię „Fantastyki i Grozy" – pozwala nam ona na prezentację rzeczy nowych i staroci z różnych epok. Cała seria wydaje mi się dość konsekwentna w odsłanianiu fantastycznego pola. Znajdzie pan tam i typową grozę i mieszaninę grozy i fantastyki i czystą SF. Tyle w przekładach. Autorów polskich rzeczywiście nie prezentujemy tak systematycznie, wydając przede wszystkim Lema i z rzadka nieprzeciętne wg nas debiuty. Ale prezentacji polskiej SF dokonują inne oficyny, niektórzy wydawcy prowadzą przecież oficjalne serie SF i to m.in. sprawia, że autorzy polscy w większości do nich ciągną, nie do nas. Czasem udaje nam się wybrać coś naprawdę nowego i wartościowego z rzeczy polskich, które nadchodzą niespodziewanie. Szukanie natomiast nie zawsze daje dobre rezultaty. Może powinniśmy ogłosić konkurs, ale nie mamy tu szczerze mówiąc dobrego doświadczenia. Autorzy przyzwyczaili się działać jak maszynki, pracować wg sztancy, nie piszą rzeczy nowych, powielają stare wzory.

– Aż tak źle jest Pani zdaniem z polską SF?

Nie. Na tle literatury światowej nie wygląda ona najgorzej. Nie mamy chyba powodów do kompleksów. Ułatwiony sposób pisania jest bodaj częstszy tam niż u nas, średni poziom fantastyki zachodniej na pewno jest niższy niż polskiej. Ale pokusa łatwizny istnieje zawsze, częściej u zaczynających niż u doświadczonych literatów. I wtedy autorzy mnożą na siłę szeregi nieprawdopodobnych przygód, ekscytują się opisywaniem technicznych urządzeń przyszłości... i oczywiście niektórzy naśladują Lema. Rozumiem ich fascynację, sama jestem Lemem zauroczona, ale nie mogę pochwalać wtórności. A w tych młodzieńczych próbach pobrzękuje czasem Lemem bardzo wyraźnie.

– Jak prywatnie traktuje pani SF? Jako krótkotrwałe, nieco podrzędne literackie szaleństwo, którego domaga się rynek, czy jako długotrwałą perspektywę prozy?

Uważam SF za równouprawniony literacki gatunek, otwierający nowe horyzonty, dostarczający dużych szans. Widzę w tym gatunku ponadto możliwość załatwienia, intelektualnego załatwienia oczywiście, wielu problemów istniejących aktualnie. Dlatego cenię Lema, bo wymyślając nowe urządzenia, kosmiczne podróże, stawiając nas przed przyszłościowymi sytuacjami podsuwa nam jednocześnie nasze dzisiejsze problemy tylko oglądane w szerszej perspektywie – psychologicznej, duchowej, intelektualnej, technologicznej, ekologicznej, politycznej.

– Jak to się zaczęło z Lemem? Czy to on zaproponował Wydawnictwu Literackiemu swoje dzieła zebrane, czy wydawnictwo jemu?

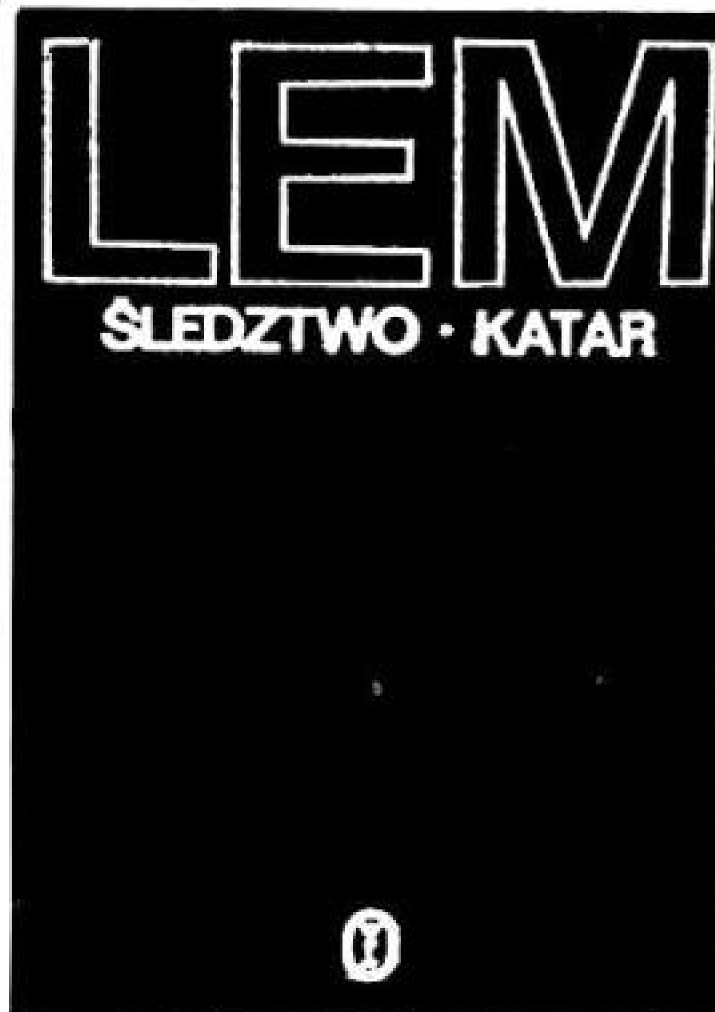
Seria Lemowska, ruszająca teraz po raz drugi w nowej szacie graficznej, była inicjatywą i pomysłem wydawnictwa. Lem wyraził oczywiście zgodę, wydawało się, że jest usatysfakcjonowany. Ale to on, nie my, sam zawsze układa sobie porządek – kolejność ukazywania się dzieł; on, nie redaktorzy, odpowiednio grupuje opowiadania w tomach.

– Rozumiem, że w przypadku innego autora musiałoby to być męczące. Ale Lem...

Och, Lem jest we współżyciu bardzo trudnym autorem, można by na ten temat powiedzieć dużo śmiesznych rzeczy. Ma charakter emocjonalny, szybko doprowadza się do stanu wrzenia i podnieca się o drobiazgi. Przychodzi co jakiś czas o 9–10 rano, dojeżdża z osiedla Kliny po zakupy, ma zapisane na kartkach co do jedzenia kupić, a przy okazji wyjaśnia swoje sprawy w wydawnictwie. Już stając w drzwiach, nie patrząc czy są jacyś interesanci zaczyna przemówienie, dokonuje rejestru ostatnich uchybień wydawnictwa wobec swojej osoby. Jest w tym i cień prawdy, bywają też rzeczy urojone. Jest to zresztą sympatyczne, przyzwyczaiłam się do tego i kiedy długo go nie ma, to mi tego brakuje. Sadzam więc Lema i po wysłuchaniu pretensji tłumaczę się czołobitnie, daję mu do zrozumienia, że żyć bez niego nie można... Co zresztą jest prawdą, tyle że wygłoszoną w tym momencie ze względów koniunkturalnych. On natomiast daje upust wszystkim żalom jakby cały czas oczekując zapewnień, że jest przez wydawnictwo ciągle kochany. Daje mi zresztą odczuć, że prywatnie do mnie nic nie ma, przeciwnie, ale ostrzega mnie jako przedstawicielkę instytucji. Po wyjaśnieniach, obietnicach, rozpogadza się, następuje pożegnanie, wychodzi Lem wyleczony z pretensji.

– Czego najczęściej dotyczą te rodzinne spory?

Czasem kiedy wydawnictwo opóźnia się z drukiem jakiejś jego książki, co przydarza się ostatnio częściej i jest przeważnie winą kooperantów, Lem stawia ultimatum, że jeśli do takiego to a takiego terminu książka









się nie ukaże, to on zrywa umowę. Tak się rozstajemy, potem błagamy drukarnię, poganiamy innych kooperantów, staramy się załatwić wszystkie jego życzenia. Doskonale nawiasem mówiąc rozumiem jego irytację. Sama w momentach załamań mojej pracy w wydawnictwie, kiedy musiałam się godzić na książkowe przestoje i opóźnienia powstałe absolutnie nie z naszej winy, myślałam, żeby rzucić to wszystko i – pójść do Lema na sekretarkę. On potrzebuje takiej osoby, która otwierałaby mu paczki z książkami, odpowiadała na listy. I mimo naszych powtarzających się scysji Lem wyrażał gotowość wzięcia mnie do siebie.

– A kto wymyślił serię „Stanisław Lem poleca", on czy wydawnictwo? Czemu, mimo czytelniczego powodzenia, zgasła ona tak szybko?

Pomysł był Lema – miała to być seria przekładowa prezentująca książki cenne, które wg Lema należałoby przyswoić i to zarówno anglosaskie jak i z krajów socjalistycznych. Niestety już przy pertraktacjach z autorami pierwszych tomów zaczęły pojawiać się sygnały, że seria będzie trudna do zrealizowania, bo właściwie wszyscy autorzy domagali się płatności w dewizach. Doprowadziło to np. do zupełnie niepotrzebnego nieporozumienia z Dickiem, który zrazu zamierzał odwiedzić Polskę i dlatego przystał na honorarium w złotówkach. Potem zjawiły się jakieś komplikacje z jego strony, nie mógł przyjechać i zaczął mieć pretensje, bo dowiedział się, że jednak możliwość wypłacenia dewiz istniała. Ale to nieporozumienie powstało absolutnie bez winy Lema. Seria była stopowana jeszcze parę razy z paru innych powodów, były kłopoty z jednym z tłumaczy, którego nazwisko wówczas, w połowie lat siedemdziesiątych, nie mogło ukazać się w druku; kilka utworów autorów amerykańskich z kolei budziło wątpliwości natury politycznej, ideologicznej... Wszystkie te rzeczy zraziły Lema do serii; narażała go przecież na konflikty, rozczarowania, na absolutnie nieuzasadnione podejrzenia, więc odstąpił od pomysłu.

– Czy w wydawnictwie prowadzi ktoś scentralizowaną politykę w dziedzinie SF, czy pozostaje ona w rozbiciu na redakcje językowe?

Jest tylko podział na redakcje, nie ma jednego centralnego znawcy. Przekładami zajmuje się pani Maria Kaniowa, zgłaszamy propozycje tytułowe drogą czytania, wywiadów, składania opcji – zajmują się tym ludzie z redakcji przekładów, którzy lubią i znają gatunek. Książki Lema i paru innych polskich autorów to z kolei wieloletnia praca redakcji polskiej literatury współczesnej. Większość książek Lema zresztą to ja redagowałam, Lem był mi przypisany. I właśnie tego najwięcej żałuję na obecnym stanowisku, że pozbawiło mnie ono możliwości redagowania Lema. Nie mam na to czasu, a z chęcią bym to robiła.

– Zaraz, więc „Robot", debiut Snerga z początku lat 70-tych to pewnie też, częściowo oczywiście pani sprawa?

Tak się złożyło, że debiut Snerga u nas jest również moją zasługą. Były sprzeczne recenzje wewnętrzne tej książki, miała ona swoich zdecydowanych przeciwników, ale że bardzo mi się podobała, więc doprowadziłam do włączenia jej do planu. Potem ukazały się dalsze, moim zdaniem nie tak dobre jak „Robot". Snerg zmienił sposób pisania, nie gatunek może ale proporcje, akcenty się przesunęły, nie jest to już ten typ prozy jak w „Robocie". W jego prozie pojawiły się nowe elementy i to jej chyba nie służy.

– A jakie książki odpowiadają pani najbardziej? Pomijając Lema oczywiście, o którym już mówiliśmy.

Lubię literaturę zmuszającą do myślenia o sprawach wszechświata, do kombinowania i stawiania pytań. Co ciekawsze, takiej fantastyki nie potrafię traktować jak rozrywki, nie czytam jej np. na urlopie dla odpoczynku. Z książek tego typu ostatnio np. bardzo podobała mi się „Czarna chmura" Hoyle'a, satyra na naukę, na politykę... Na wakacjach natomiast czytam serię Dänikena i PIW-owską „Bibliotekę Myśli Współczesnej". Lubię to, bo to odrywa mnie od problemów codziennych. I łapię się często na tym, że chętnie przeczytałabym powieść, taką fantastykę wstecz, o dziejach prymitywnych Ziemian uszlachconych, wyniesionych przez kontakt z inną cywilizacją, która dziś... hm, podgląda nas przez UFO patrząc co zrobiliśmy z otrzymanymi od niej darami. Nie czytałam dotąd niczego podobnego.

– Jak pani ocenia pracę innych wydawnictw w dziedzinie SF? Jak WL widzi swoje miejsce w szyku polskich prezenterów literatury fantastycznej?

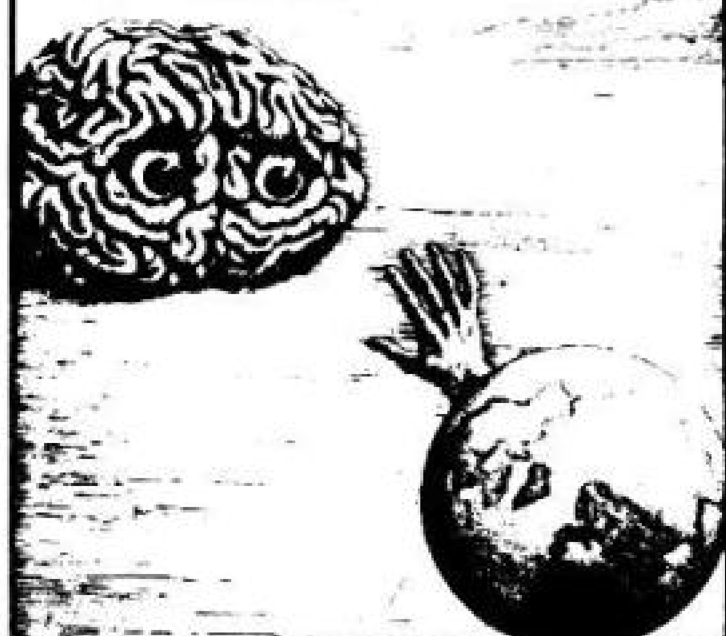
Sytuacja wydawnicza jest zróżnicowana. Jeśli biorę do ręki książkę Czytelnika lub Iskier, to wiem z góry, że znajdę coś ciekawego, na niezłym poziomie. Pewne zastrzeżenia budzi produkcja KAW. Wydawca zabiega o utrzymanie na rynku serii w dużych ilościach, a to nie zawsze idzie w parze z wysokim poziomem. Co się tyczy WL, to nie mamy ambicji zajmowania pierwszoplanowej roli. Chcemy być w swoim, skromnym ilościowo zakresie, dobrze ocenianí i dawać książki zmuszające do myślenia. I jeszcze może łatać luki w przyswojeniu przez polskiego czytelnika fantastyki dawnej, fantastyki retro; do tego celu służy seria z aspektem historycznym „Fantastyka i Groza".

– Czy nie myśli pani, że przydałaby się może koordynacja w dziedzinie fantastyki, że wtedy łatanie dziur szłoby składniej? Nie myślę oczywiście o czapie typu NZW, raczej o jakimś organie międzywydawniczym.

Można by nieco rozbudować nasze porozumienia i umowy z innymi wydawnictwami dotyczące serii przekładowej. Tylko że to w pewnym sensie już istnieje. Jest przecież zwyczaj składania opcji i przesyłania ich do wiadomości innych wydawnictw. Niewymuszona, nie ograniczająca naszych działań koordynacja już więc istnieje. Jeśli np. bardzo nam zależy na jakimś tytule do serii „FiG" a okazuje się, że opcje nań ma np. pan Jęczmyk w Czytelniku albo pan Przybyłowski w PIW, to staramy się porozumieć, bawimy się w handel wymienny. I to, z różnymi wydawnictwami w zupełnie różnych sytuacjach nie dotyczących tylko fantastyki – daje niezłe owoce.

– A kontakt z bardzo rozbudowanym w Polsce ruchem klubowym SF? Macie państwo jakąś wypracowaną formułę spotkań, wymiany opinii, żeby nie powiedzieć – konsultacji?

Tu odczuwamy niedosyt, kontakty są przypadkowe. Klubowicze zgłaszają się do nas, proszą o książki, o sygnały co z dziedziny



fantastyki ukaże się u nas. Oni z kolei obdarowują nas swoimi biuletynami, trafiają się tam czasem utwory do wykorzystania, ale to sporadycznie. Odbywają się też sympozja, konwenty autorów z różnych krajów. Na jednym z nich, w Poznaniu, byłam przed paru laty i też miałam poczucie niedosytu. Ważni autorzy polscy i światowi się nie zjawili; Lema na przykład bardzo brakowało. Cóż robić, on takich imprez nie lubi. Tak więc, mimo że pan Chruszczewski dobrze ten kongres zorganizował, to odzew nań wśród pisarzy był mały. W dodatku więcej już nam udziału w takich spotkaniach nie proponowano. Może uznano, że wydajemy za mało fantastyki i nie należy się nam.

– I co, przedsięweźmiecie państwo w związku z tym jakieś nowe akcje, ja wiem, konkursy, dodatkowe serie...

Z konkursami, jak mówiłam, nie mamy dobrego doświadczenia. Po konkursie na reportaż – mieliśmy bardzo dużo czytania i mało do drukowania. Efekty były mierne. Słyszę na przykład z zazdrością, że „Czytelnikowi" do dziś profituje konkurs na powieść współczesną ogłoszony w połowie lat 70-tych. My sparzyliśmy się kiedyś i na razie w dziedzinie fantastyki ograniczymy się do działań sprawdzonych. Możliwe, że rodzi się w tej prozie coś nowego, ale na razie nie widać oznak, nowe indywidualności dopiero się wykluwają.

– W takim razie pytanie na zakończenie. Jakie dzieła sprawdzonych indywidualności w dziedzinie fantastyki przygotowuje WL na najbliższe miesiące?

Powinny się wkrótce ukazać zbiory opowiadań: Amerykanina J.G. Ballarda „Ogród czasu" i „Deszczowy koń i inne opowiadania" angielskiego poety Teda Hughesa. Z rzeczy zapowiadanych na rok 1983 miłośników SF zainteresują na pewno powieści: Mircea Eliade „Tajemnica doktora Honiksbergera" i „Kalif Bocian" autora węgierskiego Babicsa oraz próbka fantastyki magicznej, latynoskiej – „Legendy indiańskie" Kroebera.

Dziękuję za rozmowę.

notował **Maciej Parowski**

HUNGAROCON IV

W dniach od 4 do 7 listopada 1982 r. węgierskie letnisko Veszprém zgromadziło przedstawicieli wszystkich klubów SF na Węgrzech i nieco gości z zagranicy. W sumie około pięciuset osób zebrało się w miejscowym akademiku na cztery dni i noce. Niektórzy na krócej ze względu na kłopoty związane z dojazdem. Przyjazd wieczornym pociągiem gwarantował zagubienie, co stało się przypadkiem Josepha Vanden Borre'a, belgijskiego reprezentanta w Europejskim Stowarzyszeniu SF, choć taki Pascal Ducommun ze Szwajcarii – archiwista ESSF – dojechał autobusem samodzielnie ku zdumieniu wszystkich. Przyczyną kłopotów była nieprzenikalna dla obcych bariera językowa, którą pokonać można było najczęściej po niemiecku. Bariery tej nie udało się przełamać przedstawicielom Jugosławii, ale chyba dlatego, że jechali na rowerach. Dojechali akurat na zakończenie, stając się okrasą imprezy i symbolem wytrwałości fanów.

Hungarocon IV przewidywał dwa spotkania szkoleniowe na temat zarządzania klubami, sesje specjalistyczne poświęcone plastyce, teorii literatury i wydawaniu fanzinów (magazynów amatorskich), sesję plenarną poświęconą sprawom organizacyjnym oraz spotkania z dwoma pisarzami: Istvanem Nemere (znanym w Polsce z opowiadań zamieszczanych w prasie) i Peterem Zsoldosem (*„Zadanie"*, Iskry 1982), który – jak się później okazało – nie przyjechał.

5 listopada odbyło się spotkanie z przedstawicielami europejskiego ruchu SF oraz z delegatami klubów zagranicznych. Oprócz dwóch reprezentantów ESSF wymienionych na wstępie, w spo-

● ●

„VEGA" I INNE

Z Sándorem HORVÁTHEM – przewodniczącym Koordynacyjnej Rady Węgierskich Klubów SF, rozmawia Andrzej Wójcik

A.W.: – Na początek może kilka słów o węgierskim ruchu SF, jego historii i tradycjach...

S.H.: – Pierwszy węgierski Klub Miłośników SF powstał w 1969 roku w Budapeszcie, przy Stowarzyszeniu Inżynierów. W 1971 roku patronat nad klubem objęło Towarzystwo Nauk Biologicznych. Z początku organizowaliśmy spotkania, dyskusje... W 1971 roku wydaliśmy pierwszy fanzin. Kiedy w 1972 roku ogłoszono, iż w Trieście spotkają się miłośnicy i pisarze SF, przygotowaliśmy się do tej imprezy bardzo starannie. Delegacja węgierska, której przewodniczyłem, zabrała ze sobą między innymi „Pozitron" – wydaną staraniem klubu książeczkę, w której prezentowaliśmy dorobek węgierskiej fantastyki, referaty, cele i plany naszej działalności. Ten angielskojęzyczny fanzin spotkał się z dużym zainteresowaniem uczestników imprezy.

Zachęceni przykładem innych krajów przystąpiliśmy do tworzenia szerszego ruchu klubowego u siebie. Z inspiracji tego pierwszego klubu wkrótce zaczęły powstawać organizacje miłośników SF na terenie całego kraju. Utrzymywały one kontakty ze sobą, ale to nie był jeszcze obecny, zjednoczony ruch. W tym mniej więcej czasie zaczęliśmy przyznawać nagrody w dziedzinie twórczości i upowszechniania SF.

W 1979 roku nawiązaliśmy współpracę z tygodnikiem „Orsag Villag". Redakcja udostępniła nam dwie strony w każdym numerze. Pomogła tym samym zarówno w publikowaniu opowiadań, jak i w organizowaniu ruchu klubowego. Rozpoczął wtedy również działalność klub „Vega", który w 1980 roku po raz pierwszy zorganizował zjazd wszystkich klubów węgierskich. Powstała wówczas Ogólnokrajowa Rada Klubów SF, koordynująca działalność ruchu. Ja zostałem wybrany na przewodniczącego, zaś sekretarzem został László Lantos. Zajmujemy się obecnie literaturą fantastyczną, filmem, plastyką, wymianą książek i dyskusjami naukowymi. Ogłosiliśmy wspólnie z „Orsag Villag" konkurs literacki, który cieszył się ogromnym powodzeniem. Przyszło kilkaset prac, spośród których 50 zostało już opublikowanych.

A.W.: – Byliśmy gośćmi Hungaroconu IV. Wprawdzie z powodu bariery językowej nie mogliśmy przeczytać opowiadań, ale widzieliśmy wiele interesujących wydawnictw, obrazów i grafik. Chcielibyśmy wiedzieć czy, podobnie jak to się dzieje w innych krajach, węgierski ruch miłośników może się pochwalić jakimiś profesjonalistami, którzy właśnie w ramach i z inspiracji ruchu związali swoją zawodową drogę z SF?

S.H.: – Tak. I to kilkoma osobami. Na przykład Korgo – jeden z najbardziej znanych węgierskich grafików...

A.W.: Czy wobec tego węgierska organizacja klubów współpracuje z jakimiś organizacjami twórców profesjonalnych, tak jak na przykład robił to w swoim czasie OKMFiSF w Polsce?

S.H.: – Niestety nie. Z różnych powodów nie prowadzimy żadnej współpracy, na przykład ze Związkiem Literatów. Utrzymujemy za to bardzo dobre, robocze kontakty z pojedynczymi twórcami. Odwiedzają nasze kluby, są ich członkami... ale to nie jest działalność zorganizowana. Związek Literatów odciął się od wszelkich form współpracy z ruchem...

A.W.: – To był już czwarty Hungarocon. Może kilka słów o tradycji tej imprezy.

S.H.: – Gdy powstało kilka klubów zwołaliśmy Hungarocon I i postanowiliśmy, że co najmniej raz w roku będziemy się spotykać, aby omówić nasze najważniejsze sprawy. Pierwszy zjazd był poświęcony przede wszystkim przeglądowi dotychczasowych dokonań – zorganizowaliśmy wtedy ogromną wystawę książki, plastyki i modelarstwa związanego tematycznie z SF. Wszystkie następne spotkania kontynuują te tradycje, choć głównie poświęcone są kontaktom roboczym po-

HUNGAROCON IV

tkaniu tym wzięli udział sekretarz generalny ESSF na Europę Wschodnią Andrzej Wójcik oraz delegat Polski przy ESSF Tadeusz Markowski. Największe zainteresowanie wzbudził Pascal Ducommun, opowiadając zebranym o swoim muzeum SF w Maison d'Ailleurs w Szwajcarii. Drugie miejsce należy przyznać stronie polskiej, która zaprezentowała miesięcznik „Fantastyka".
Imprezami towarzyszącymi były pokazy sześciu filmów, z których jedynie „Obcego" można zaliczyć do SF oraz występy pantomimy i nowofalowej grupy „Prognosis" (dwa razy po 400 watów – niezapomniane wrażenie!).
Reszta działa się w kuluarach. A więc przede wszystkim stoiska z książkami – normalne i giełda. Łatwo się było zorientować, że Węgrzy mają w tej dziedzinie odrobinę więcej do sprzedania i pokazania niż my. Znalazło się miejsce na galerię obrazów SF, która wzbudzała niekłamane zainteresowanie swoim wysokim poziomem i to nawet wtedy – kiedy wyszło na jaw, że autorami prac są studenci tutejszego centrum chemicznego (Veszprém jest miastem chemików).
Ciekawostką był barek otwarty od siedemnastej do czwartej rano (!!!), w którym ceny były dotowane państwowo (i to bardzo silnie dotowane). Tam odbywały się prawie wszystkie dyskusje o istocie SF („czy Vonnegut jest pisarzem SF, czy nie?"). Wszystko utrzymane było w atmosferze fantazji dzięki filmom krótkometrażowym oraz slajdom okładek książek francuskich, uzyskanym za sprawą J. Cronnimusa – sekretarza generalnego ESSF na Europę Zachodnią.
Na uwagę zasługują fanziny, które wydawane są na naprawdę wysokim poziomie i są doskonale oprawione graficznie. Brak tylko jakiegoś fachowego czasopisma, mimo istnienia „Galaktiki" wydawanej w nakładzie około 60 000 egzemplarzy. Ma to ulec zmianie po oficjalnym zarejestrowaniu Ogólnowęgierskiego Zrzeszenia Klubów SF, którego prezes Sándor Horváth ma ambitne plany (patrz wywiad obok). Należy dodać, że na Węgrzech istnieje możliwość wydawania książek prywatnie, po uzyskaniu zgody na rozpowszechnianie w Ministerstwie Kultury.
W najbliższym czasie postaramy się zamieścić adresy klubów węgierskich i nazwiska ich prezesów. (T.M.)

„VEGA" I INNE

między poszczególnymi agendami ruchu. Od trzech lat staramy się też by na naszych zjazdach gościli przedstawiciele klubów zagranicznych w celu wymiany doświadczeń. W tym roku zaprosiliśmy również przedstawicieli Europejskiego Komitetu SF...
A.W.: – W latach 1978–1981 istniały bardzo ożywione i bardzo owocne kontakty pomiędzy klubami węgierskimi i OKMFiSF. Przedstawiciele węgierskiego ruchu miłośników fantastyki uczestniczyli w imprezach organizowanych w Polsce, nasi pisarze i fanowie zapraszani byli na Węgry. Po zmianie struktury ruchu w Polsce kontakty te urwały się...
S.H.: – Rzeczywiście. Kontakty naszych klubów uważać mogliśmy za wzorzec. Szczególnie miłe wspominamy dwukrotnie organizowaną przez OKMFiSF imprezę – spotkanie klubów i miłośników SF z krajów socjalistycznych „Orbity Przyjaźni". Oczywiście chcielibyśmy te kontakty, jak i kontakty z klubami w innych krajach, podtrzymywać i rozwijać. Najlepszą formą byłoby spotkanie przedstawicieli wszystkich klubów, ale będziemy się również cieszyć jeśli będą to kontakty z poszczególnymi klubami.
A.W.: – Jaką rolę pełni pańskim zdaniem literatura SF jako element kultury węgierskiej młodzieży?
S.H.: – W moim przekonaniu ogromną. Mogę chyba powiedzieć, że niemal cała węgierska młodzież czyta SF i rzeczywiście niemała liczba tych czytelników interesuje się dzięki owej literaturze nauką i przyszłością. To przecież literatura bardzo ciekawa i bardzo nośna...
A.W.: – A jaką rolę w tym wszystkim pełnią kluby?
S.H.: – Klub jest miejscem, gdzie ci młodzi ludzie mogą porozmawiać o swoich lekturach i zainteresowaniach, wymienić książki, postawić publiczne pytania, które nasunęły się im w czasie lektur. Mogą też spotkać się z pisarzami i naukowcami, sprawdzić się jako organizatorzy...
A.W.: – I jeszcze pytanie całkiem osobiste. Nasze pismo ma wielu współpracowników w różnych krajach. Czy zechciałby Pan być naszym współpracownikiem, korespondentem...
S.H.: – Dziękuję. To bardzo miła propozycja. Sądzę, że potrafiłbym to zrobić z korzyścią tak dla polskich czytelników, jak i dla węgierskiej fantastyki.
A.W.: Dziękujemy bardzo i liczymy na owocną współpracę.





dr Sándor Horváth – przewodniczący Rady Koordynacyjnej Węgierskich Klubów SF



Istvan Nemere – znany węgierski pisarz SF

KOSMOS ZACZYNA SIĘ NA ZIEMI

Papierowy Wszechświat

Analiza spektralna pyłów w przestrzeni międzygwiezdnej i międzygalaktycznej wykazała obecność celulozy oraz pyłków grafitowych. Uznana za oryginalną hipoteza, że pyłowe obłoki mogą być złożone z mikroorganizmów nie jest jednak cudem pomysłowości. Starczy tu przypomnieć teorię panspermii, stworzoną na początku naszego wieku przez Svante Arrheniusa. Tak więc biochemiczne laboratorium, w którym powstały pierwociny życia to nie nasza młodziutka Ziemia, lecz miejsce, gdzie z pozoru nic żyć nie może – mroźna pustka i głusza kosmosu. Zamiast Lemowskiego oceanu i koloidów-niedojdów mamy gazowo-pyłowy obłok, z którego kiedyś powstanie gwiazda. Jest w nim wszystko, z czego i my się składamy: atomy pierwiastków, woda, drobiny związków organicznych. Kiedy wreszcie z takiego obłoku uformuje się gwiazda, wszelkie organizmy giną albo od chłodu (daleko od gwiazdy) albo też od nadmiaru gorąca. Lecz szczególnie zabójcze jest dla nich promieniowanie ultrafioletowe – żywe komórki przekształcają się pod jego działaniem w drobiny grafitu. Niewykluczone, iż nasza redakcja ogłosi niebawem konkurs na budowę przestrzennego trałowca przeznaczonego do zbiorów owego kosmicznego planktonu. Przewiduje się również drobne kłopoty związane z naruszaniem łowisk przez trałowce z innych układów planetarnych.

Uczeni wątpią w sens dalekich lotów kosmicznych

Na spotkaniu uczonych z prezesem Polskiej Akademii Nauk padło kilka kontrowersyjnych twierdzeń. Między innymi i takie, że brak zadań naukowych, które uzasadniałyby np. organizowanie ludzkiej wyprawy na Marsa. Korzyści z eksploracji kosmosu upatruje się przede wszystkim w dziedzinach tak „przyziemnych" (choć niewątpliwie pożytecznych) jak meteorologia, nowe konstrukcje i technologie, medycyna czy geologia. Przypomnijmy jednak, że zdobywanie kosmosu nie jest tylko procesem obliczonym na doraźne korzyści. W ciągu jednej minuty rodzi się na Ziemi 146 nowych ludzi. Za pół wieku będzie nas około 8 miliardów. W roku 2110 – zgodnie z prognozą specjalistów z ONZ i przewidywaniami Hermana Kahna – na Ziemi będzie mieszkać ponad 10 mld ludzi. Może więc już teraz warto pomyśleć o kosmicznym osadnictwie?

Fabryka nieśmiertelnych po... szwedzku

Już w ubiegłym roku Szwedzka Obrona Cywilna zamówiła 12 000 ubrań ochronnych w miniaturze. Kombinezony te przeznaczono dla dzieci w wieku od 2 do 5 lat. Zaopatrzono je w filtry, maskę przeciwgazową oraz wentylator utrzymujący we wnętrzu nadciśnienie, by ochronić ewentualnego użytkownika przed przenikaniem wszelkiego rodzaju ścieków trujących, mogących znajdować się w powietrzu. Wystarczająca na 10 godzin bateria zasilająca ten kombinezon ma dzieciom umożliwić dotarcie do schronu. Ahumanitarność SOC ujawniła się w całej pełni, skoro nie zamówiono kombinezonów dla niemowląt. W ciągu owych 10 godzin one również miałyby szansę doraczkować do najbliższego grajdołka.

Polska szkoła reinkarnacji...

...czyli kolejne wcielenie Stanisława Lema. Na potrzeby Komitetu Badań i Prognoz „Polska 2000" przygotował on prognozę rozwoju biologii do roku 2040 i dalej. Wyodrębnił trzy fazy: **biologiczną** (gdzie surowcami i produktami są ustroje żywe, a ludzki wkład ogranicza się do wystymulowania zamierzonej zmiany), **parabiologiczną** (w której przedmiotem operacji inżynierii genetycznej staną się również substancje nieożywione wykazujące niektóre cechy żywych ustrojów) i wreszcie fazę najodleglejszą – **transbiologiczną** (w której mechanizmy inżynierii genetycznej wykroczą poza obszar biologii, a właściwe życiu rozwiązania technologiczne zostaną przeniesione na materię nieożywioną). Przypomnijmy tu słowa... samego Lema, który wprawdzie nie wszystkich futurologów potępia, ale w „Fantastyce i futurologii" napisał: „Czy można nazwać takie scenariusze chociażby realistycznymi spekulacjami? Czy podręcznik kierowcy z roku 1902 wart jest cokolwiek w roku 1972? Przecież oprócz fizjologii tego kierowcy zmieniły się wszystkie parametry ruchu (...). Tak więc scenariusze są na nic, nawet traktowane tylko jako trenażery. Ześliznęły się bowiem z przyszłości, w jaką nimi celowano, na powrót do chwili, w której powstały".

Zamiast dwudziestej piątej klatki

Film „Odyseja kosmiczna 2001" cieszy się nieodmiennym powodzeniem między innymi dzięki muzyce Bacha, transponowanej na syntezator przez Isao Tomitę. Pewne światło na wyjaśnienie powodzenia filmu mogą rzucić badania jednego z austriackich psychiatrów, który uśpionym pacjentom puszczał niezbyt głośno wszelkiego rodzaju nagrania muzyczne. Okazało się, że nawet śpiący człowiek odróżnia rodzaje muzyki. Z kolei z przebiegu encefalogramu pacjenta można wnioskować, która melodia podoba się badanemu, a która nie. We śnie wszyscy bez wyjątku reagowali podobnie na muzykę Johanna Sebastiana Bacha, choć niektórzy na jawie zapewniali, że nie znoszą muzyki klasycznej.

Metalurgiczna sensacja

Po stopach „z pamięcią" na japońskim i amerykańskim rynku pojawiła się kolejna nowość – niektóre elementy elektrotechniczne i głowice magnetofonowe wytrzymalsze od stali. Wyprodukowano je z metali o strukturze szkła, a więc bezkrystalicznych. Te rewelacyjnie wytrzymałe i odporne na korozję materiały uzyskuje się przez bardzo intensywne ochładzanie metali podczas ich krzepnięcia. Jest nadzieja, że „szkliste" metale zostaną kiedyś wykorzystane nie tylko w konstrukcjach kosmicznych, ale także do wyrobu przynajmniej niektórych części naszych samochodów.

Bez supernowości

W Anglii zbudowano pierwszy na świecie szpital zaprojektowany z myślą o oszczędności energii. Wykorzystano baterie słoneczne, wtórny obieg ciepła z maszynowni i kuchni oraz wzmocniono izolację cieplną okien i ścian. W efekcie na tę samą liczbę 300 pacjentów nowy szpital zużywa o 59% mniej energii niż taki sam szpital w tradycyjnym wydaniu. Plotkarze twierdzą, że projektantem nowego szpitala był Szkot.

Wyciągnęli Wenus z wody

W oparciu o dane przekazane przez automatyczną sondę ze statku Pionier w 1978 roku dr Thomas Donahue z Uniwersytetu Michigan oraz jego zespół naukowy twierdzą, że odkryli chemiczne ślady w atmosferze Wenus świadczące o tym, iż ok. 4 miliardów lat temu na Wenus istniał ocean, który pokrywał całą powierzchnię planety dziesięciometrową warstwą. Słońce było chłodniejsze niż teraz. W miarę podnoszenia się jego temperatury w atmosferze przybywało pary wodnej, co spowodowało efekt szklarniowy i wyparowanie reszty wenusjańskiego oceanu. Tak wysoka temperatura doprowadziła do rozpadu i rozproszenia molekuł wody. Jedynym śladem pozostała ilość deuteru zawarta w chmurach. Dr Donahue twierdzi, że na powierzchni Wenus mogą do dziś istnieć ślady tego oceanu – linie brzegowe i koryta rzek. Swego czasu NASA projektowała wyprawę automatycznego satelity, wyposażonego w radar, lecz redukcje budżetowe przekreśliły zarówno te plany, jak i nadzieje doktora Donahue.

Zamiast pigułki

Japońskie ministerstwo zdrowia i opieki społecznej zarejestrowało obecnie już 120 000 lekarzy medycyny, 49 000 akupunkturzystów, 83 000 specjalistów masażu oraz 47 znawców leczenia, polegającego na spalaniu szyszek bylicy i piołunu na bolących miejscach ciała pacjenta. Obok akupunktury i masażu „shiatsu" w Japonii odżyła nowa szkoła leczenia „kampo-yaku", importowana z Chin już w VI stuleciu n.e. Kampo-yaku to sztuka leczenia ziołami; specjalizuje się w niej już około 20 000 farmaceutów japońskich (ogółem jest ich 28 000). W roku 1982 wartość leków zawierających zioła z Chin wyniosła 180 milionów dolarów (47 mld jenów). Dr Yasuo Otsuka, przewodniczący Instytutu Medycyny Orientalnej w Kitazato zarzuca medycynie zachodniej przedozowywanie leków, a w efekcie lekomanię i uboczne działania środków farmaceutycznych. Kampo-yaku jest tych wad pozbawiona.

Kosmiczne rendez-vous

W lutym i w marcu 1986 na ziemskim niebie pojawi się kometa Halleya. Opracowano już trzy projekty bezpośrednich badań komety. Zachodnioeuropejski („Giotto") przewiduje wystrzelenie sondy kosmicznej z kamerami tv i aparaturą do pomiarów składu chemicznego, stopnia jonizacji, pola magnetycznego oraz temperatury gazów, z których składa się jądro. Sonda wystartuje 10 lipca 1985 roku, spotka się z kometą 7 marca 1986. Projekt japoński („Planeta A") obejmuje wystrzelenie dwóch sond. Pierwsza zostanie wystrzelona 31 grudnia 1984, będzie badać wiatr słoneczny w dużej odległości od komety. Druga, jej start zaplanowano na 14 sierpnia 1985, dotrze do komety 8 marca 1986. Projekt radziecki („Wenus – Halley") łączy badania Wenus i komety. Sonda, wystrzelona w grudniu 1984, opuści na Wenus lądownik z aparaturą naukową, a następnie poleci na spotkanie z kometą, dotrze do niej między 6 a 12 marca 1986. Zastanawiające jest milczenie Amerykanów. Krąży pogłoska, że zaplanowali oni kręcenie filmu „Podróż międzyplanetarna" wg opowiadania Marka Twaina. W tym celu ściągną oni kometę już w lutym 1986 do Hollywood. Natomiast pewne siły na Bliskim Wschodzie planują wysłanie w kosmos ekipy specjalistów, którzy wysadzą kometę i w ten sposób zlikwidują wszelkie plagi, jakie kometa Halleya zsyła na Ziemię od wieków co 76,1 lat.

LĄDOWANIE

A więc nareszcie listy Czytelników! Te, które nadeszły po ukazaniu się pierwszego numeru „Fantastyki". Nasze odpowiedzi na nie ukazują się dopiero w lutym. Dzielić nas będzie odtąd spora odległość w czasie – około kwartału. I na to, niestety, żadnej rady nie ma. Również z konieczności oszczędzania miejsca na teksty i ilustracje, jakich się Czytelnicy domagają, będziemy musieli wydobywać z listów tylko samą esencję, rzeczy najważniejsze. W wielu wypadkach odpowiadać będziemy listownie, a nie na łamach. I jeszcze jedno: satysfakcjonuje nas życzliwe powitanie pisma. *„Kupiłem to, na co czekałem od lat".* Zdanie takie powtarza się w różnych wariantach w całej korespondencji. Szukamy jednak nie pochwał, lecz rzeczowych ocen, problemów.

Pan **Janusz Rabenda** z Żagania, a także liczna rzesza innych Czytelników, domaga się, aby *„okładki do powieści zamieszczane były w środku pisma, podobnie jak i same powieści".* Chodzi o to, aby wycinanie nie niszczyło samego czasopisma. Niestety, nie widzimy możliwości załatwienia sprawy. Na razie – i to jest równocześnie odpowiedź na wiele innych słusznych pretensji – nie mamy w ogóle szansy na zwiększenie objętości, ani na lepszy papier we wnętrzu numeru i na okładki. Nie zachęcamy jednak Czytelników do zaprzestania żądań, a sami obiecujemy, że naszych wydawców będziemy molestować aż do skutku.

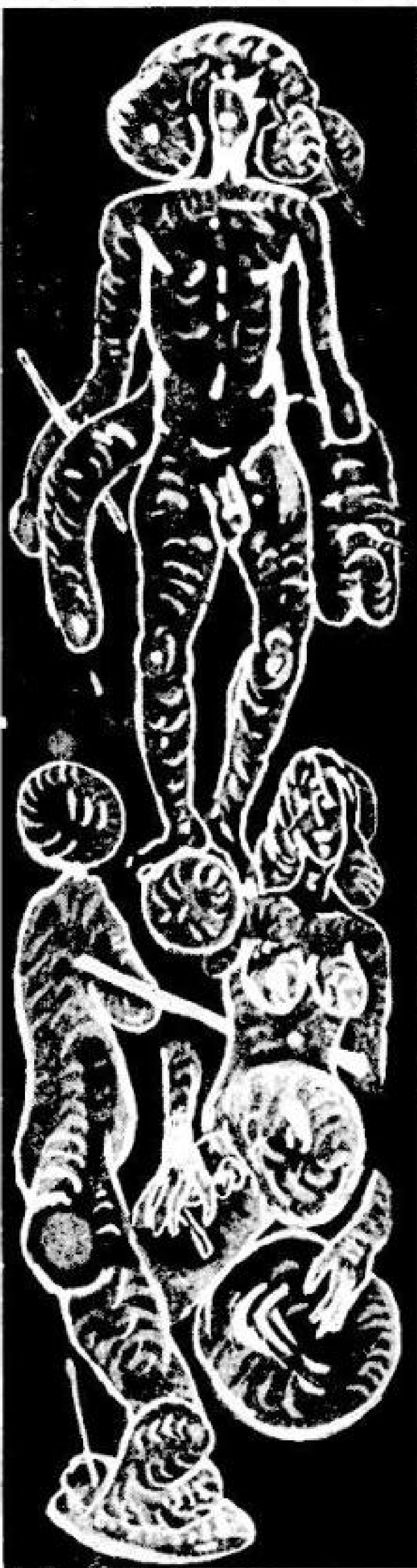
Pani **Janina Zielińska** z Krakowa: *„...Nakład wynosi 100 tysięcy. To za mało... Z tego co wiem, każdy kiosk otrzymał 5–7 egzemplarzy. A jeśli na osiedlu są tylko 4 kioski? Sama mieszkam na takim, ale dziś miałam po prostu szczęście".* Robimy starania, proszę pani, o zwiększenie nakładu.

Anonim z Gdyni uważa, że tytuły opowiadań zagranicznych powinny być podawane także w oryginale. Postaramy się to wprowadzić. W piśmie jest jeszcze wiele niedociągnięć natury technicznej. Niektórzy Czytelnicy nie od razu np. zorientowali się, że powieści (Martina i Strugackich) drukujemy w odcinkach. Nie chcieliśmy napisać „cdn.", aby wycinającym nie zniszczyć ich książki, jaką mogą sobie składać. W spisie treści odnotowujemy jednak zawsze cyframi w nawiasach numer kolejnego odcinka.

Czternastoletni **Paweł S.** z Kępna (z listów wynika, iż mamy duży zastęp młodocianych zwolenników „Fantastyki") wytyka nam inne rzeczowe błędy, np. podwójną numerację Euroconu. Otóż wyjaśniamy, że Eurocon (czyli Europejska Konferencja twórców i miłośników SF), w którym uczestniczyliśmy w miejscowości Moenchengladbach w RFN w ubiegłym roku, miał kolejny numer siódmy. Wliczono bowiem do ogólnej liczby także i konferencję w Szwajcarii w roku 1958, która miała być zaczątkiem europejskiego ruchu SF. Czytelnik, jak liczni inni – krytykuje pierwszy w naszym piśmie komiks. I słusznie. Ale chcieliśmy wystartować z komiksem, chociażby słabym, aby zasygnalizować nasz pozytywny stosunek do tego gatunku i znaleźć odpowiedź na pytanie czy czytającym „Fantastykę" komiks jest naprawdę potrzebny. Okazuje się, że jest. Myślę, że z numeru na numer poziom się będzie poprawiał. Czekamy na dalsze opinie.

Pan **Kazimierz Babiński** z Gdańska-Wrzeszcza nadesłał nam bardzo ciekawy esej, zatytułowany „Nobilitować literaturę science fiction", w którym pisze o wartościach tego gatunku i o tym, że np. *„w Anglii fantastyka włączona jest do programu szkolnego, a w USA i Kanadzie coraz częściej włącza się ją do programów uniwersyteckich".* Może uda nam się wydrukować szkic p. Babińskiego na naszych łamach.

Pan **Kazimierz Jodkowski** z Lublina: *„Proporcje literatura – nieliteratura są właściwe. Jeśli chcecie od tej proporcji odejść to dajcie raczej więcej literatury... Lista bestsellerów jest dobrym pomysłem, ale powinna być uzupełniona listą najgorszych pozycji SF... Komiks zajmuje wiele miejsca, w pierwszym numerze zajął tyle co długie opowiadanie Varleya „Czek in blanco na bank pamięci", a jaką miał ubogą treść. Wolałbym jeszcze jedno długie opowiadanie".* Z proporcji, dającej przewagę literaturze nie mamy zamiaru zrezygnować, pragniemy bowiem spełnić trudne do wykonania zadanie pokazania najciekawszych autorów i utworów SF z literatury światowej i najbardziej interesujących młodych z krajowej. Z tym wiąże się nasze zdanie na temat najgorszych pozycji SF, których listę Czytelnik proponuje także publikować, obok bestsellerów. Z bogactwa drukowanych pozycji także słabych i średnich wyłaniają się nagle talenty. Trudno ich szukać w pisarstwie ubogim ilościowo. Dlatego myślę, że nie warto specjalnie potępiać miernot. A propos listy bestsellerów – zgodnie z naszą prośbą Czytelnicy typują swoją hierarchię wartości, wyliczając miejsce swoich najlepszych autorów w kolejnych dziesięciu pozycjach. Skorzystamy z tej listy na


Hieronim Kozłowski

przedostatniej stronie okładki w bieżącym numerze, sumując propozycje Czytelników.

„Każdy początek jest trudny" – pisze po łacinie pan **Krzysztof Grzywnowicz** z Lublina nad adresem listu, i obok pozytywów, do których zalicza dobór autorów zarówno zagranicznych jak i krajowych *(„wątpliwości budzi tylko J. Lipka dobrze piszący, ale jakiś mało fantastyczny")*, materiał popularyzatorski i krytyczny *(„duży plus dla A. Niewiadowskiego za jego „Słownik polskich pisarzy fantastycznych")* wytyka nam wiele rzekomych i faktycznych potknięć. Do takich zalicza m.in. napisanie we wstępnym szkicu wyrażenia „eppur si muove" nie w formie „e pur si muove", podanej jako poprawna w „Słowniku wyrazów obcych" Kopalińskiego. Otóż w słowniku PWN, wydanym w 1973 roku, podaje się jedynie tę formę wyrażenia, którą posłużył się autor szkicu otwierającego „Fantastykę". Również trudno się zgodzić z wywodami na temat rozróżnienia form literackich, takich jak powieść, nowela, opowiadanie, historyjka. Nie ma literatury na świecie, w której panowałaby w tej sprawie jakaś matematyczna ścisłość, a tradycje polskie trudno odnieść do angielskich. Tak samo nie wydaje nam się, aby słowo „czytadło" na określenie rzeczy, którą się doskonale czyta, obrażało któregokolwiek z autorów. Za słuszne natomiast uważamy uwagi m.in. o powieściach Asimova przetłumaczonych na język polski „Pozytronowy detektyw" i „Koniec wieczności", które w naszej informacji o tym wybitnym autorze zostały opuszczone. Ciekawe są także spostrzeżenia na temat listy bestsellerów czy jak p. Grzywnowicz proponuje „przebojów". Istotnie, w wielu wypadkach muszą razić zestawienia nazwisk wielkich czy wybitnych pisarzy z pisarzami mniejszych lotów, ale przecież tak jest i w życiu – zawsze wielkie pomieszane bywa z małym, a gusta obserwuje się różne i motywy wyboru także niezupełnie adekwatne do wartości. Dlatego pragniemy konfrontacji naszych gustów – niejako średniej gustów zespołu z średnią gustów naszych Czytelników. Ten cel, nazwijmy go socjologicznym, oprócz samej zabawy, przyświecał wprowadzeniu listy.

Pan **Feliks Szymusiak** z Piekielnika w woj. nowosądeckim mocno punktuje sprawy komiksu w „Fantastyce", krytykując, oczywiście, pierwszą naszą próbę w tej dziedzinie. Zainteresował nas pomysł komiksowego interpretowania dzieł znanych autorów, nawet klasyków. Z tym, że takie praktyki okazują się często ryzykowne. Jest bowiem wielu takich jak ja, którzy nie znoszą, gdy wybitne dzieła literackie czy muzyczne podaje się w skrótach, niejako w pigułkach. Spłycając oryginał po prostu niszczą one jego podstawowe wartości. Czy tędy droga? Komiks to autonomiczna forma przekazu, mająca prawo do własnych, oryginalnych treści. Z tym, że każdy odcinek, drukowany w odrębnym tomiku czy w czasopiśmie, powinien stanowić odrębną, integralną całość. Niełatwa to rzecz w realizacji.

Pani **Gosia Wyszyńska** z Bydgoszczy uważa „Słownik polskich autorów fantastyki" za pozycję szczególnie wartościową, ale sądzi, iż *„moglibyście podawać go w formie mniej zencyklopedyzowanej..."*. Staramy się urozmaicać naukową formę naszego słownika „wypisami" z twórczości przynajmniej jednego z prezentowanych autorów. Jednakże nie każdą treść da się sprzedawać w formie zupełnie lekkiej, łatwostrawnej. Zwłaszcza rzeczy, które dajemy z dziedziny nauki i krytyki wymagać będą i naszym zdaniem powinny – pewnego wysiłku Czytelników, ich udziału we współtworzeniu pisma.

Pan **Jacek Krzemiński** z Warszawy poświęcił większość swego ciekawego listu bestsellerom literatury. Sądzi, iż głód książki fantastycznej i większy popyt niż podaż na dostępną w księgarniach literaturę, zniekształca właściwy obraz wartości. Proponuje więc wprowadzenie listy, obejmującej pozycje wydane po roku 1980, nie zaś po styczniu 1982. Oczywiście zastanowimy się nad tym pomysłem.

Wszyscy niemal piszący listy żądają wręcz wprowadzenia działu łączności z Czytelnikami. Wydaje się, że nawiązanie kontaktów poprzez listy i odpowiedzi na nie to tylko jeden z fragmentów takiej łączności. Pragnęlibyśmy jako zespół redagujący „Fantastykę" i nieźle przecież zorientowany w ruchu miłośników tego gatunku literatury – mieć również kontakty bezpośrednie z fanami. Dlatego już poważnie myślimy o stworzeniu klubu naszego pisma, który skupiałby nie tylko miłośników SF w stolicy (gdzie pismo wychodzi), lecz także objął swoją działalnością wszystkich zainteresowanych w kraju, stwarzając im przez odpowiednie imprezy, spotkania, zjazdy itp. możliwości bezpośrednich kontaktów. O szczegółach napiszemy osobno, gdy rzecz całkowicie dojrzeje. Proszę na razie o dalszą korespondencję. Osobiście żywię pretensję do Czytelników, że formalne sprawy przesłoniły im problemy oceny treści pisma. Takich ocen było zbyt mało.

Redaktor


DIEGO SOL. SIEDZIBA SYNDYKATU „STELLAR FOX". NARADA ZARZĄDU.
...JEDNAK DOSTALI TĘ ROBOTĘ... I MAJĄ FUNKY'EGO.
TO ICH NAJLEPSZY CZŁOWIEK.
WIEM COŚ O TYM.
WIĘC ZACZNIJMY OD NIEGO!
L F R
11.4.2050
PAUL BARLEY
BRENDA LEA


PÓŁ GODZINY PÓŹNIEJ
DO ZOBACZENIA NA ODPRAWIE O PIĄTEJ, FUNKY!
CZEŚĆ, BRENDA!
WELCOME


11.32[24]
AUTOFOCUS ON TARGET
LOAD: FULL
?
PSZE PANA, GDZIE TU JEST... TEN... ...NO,...
POWER SOURCE: 100%
PICTURE COUNTER 0


STOP
ZACZEKAJ CHWILĘ, AŻ ONA SIĘ ODDALI.

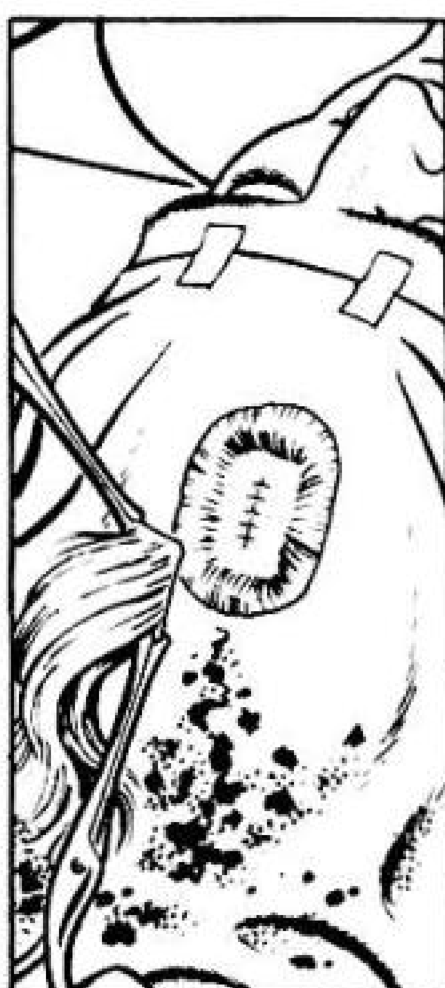

TERAZ!
POF


!?
FISS


PSIAKREW, ALE CIĘŻKI!
SZYBCIEJ!
HOSPITAL
OF ST. PAUL


PRZESYŁKA W DRODZE!
11.32
HOSPITAL OF ST. PAUL
SEIKO
DINGO
SLADES
Lee the ultimate jeans


SIEDZIBA SYNDYKATU „STELLAR FOX". SALA OPERACYJNA.
DAJ TEN FRAGMENT PERUCZKI I KOŃCZYMY.
URUCHOMIMY NADAJNIK I CHŁOPIEC BĘDZIE JAK ZWIERZĘ!
JAKI TO MA ZASIĘG?




...KILKA GODZIN PÓŹNIEJ POD AGENCJĄ UNIVERSS...
M-MASZ! PO-POSZALEJ!
TAXI
STAR


CZ-CZEŚĆ LA-LUNIU!... ....
17.15
!CONFERENCE
707
?!
ŚWINIA!


SALA ODPRAW.
...GINĄ TAM STATKI. MISJA JEST WIĘC RYZYKOWNA I DELIKATNA. TO SEKTOR KONTROLOWANY PRZEZ ANKUZÓW...
PIERWSZĄ GRUPĘ POPROWADZI PORUCZNIK KOVAL.
?
LEO
J. RODDY


CO?! ZNOWU JA? DLACZEGO ZAWSZE JA?!

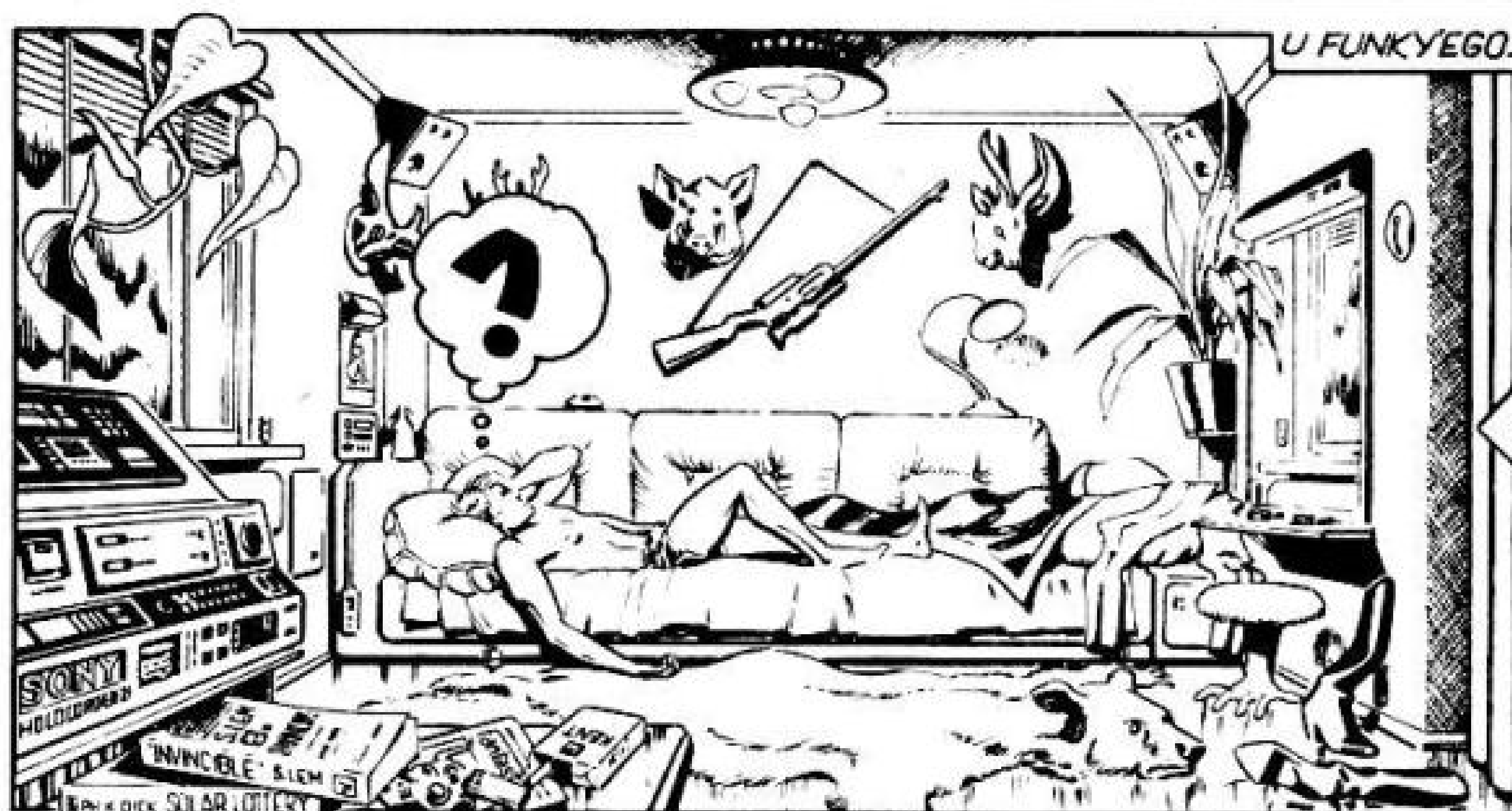

FUNKY, CO JEST?! JAK TY WYGLĄDASZ?!
ODCZEP SIĘ!


SPADAJ!
KOVAL! -OCH!
!


USPOKÓJ SIĘ!...OSZALAŁEŚ?!!!


FUNKY! STOP!
?!


POWINIEN GO PAN NATYCHMIAST ZWOLNIĆ!
IDŹ DO DOMU ODPOCZĄĆ, FUNKY.
CO JEST? KTO ZGASIŁ ŚWIATŁO???


U FUNKY'EGO.
?
SONY
"INVINCIBLE" S. LEM
SOLAR LOTTERY


!?


HAAA!




AAAAAAA









?! ? ! ! GONG! GONG! ?KTOŚ DZWONI?...!...



LISTY BESTSELLERÓW



W przeciwieństwie do dwóch poprzednich miesięcy, listopad nie przyniósł ani jednej nowej pozycji na księgarskim rynku SF. W związku z tym lista bestsellerów proponowana przez zespół redakcyjny pozostaje bez zmian.

Zgodnie z zapowiedzią rozpoczynamy również druk listy bestsellerów zestawionej na podstawie listów Czytelników. Szkoda, że pomimo olbrzymiej wręcz ilości listów napływających do nas od chwili ukazania się pierwszego numeru, tylko w niewielu znajdujemy propozycje do listy bestsellerów. Podsumowaliśmy wszystkie głosy – i jako pierwsza pozycja na liście znalazła się „Solaris" Stanisława Lema; zgromadziła 47 głosów, druga – „Słoneczna loteria" P. K. Dicka uzyskała 42 głosy, trzecia zaś – „Niezwyciężony" Lema – 29 głosów. Obawialiśmy się przystępując do wspólnej zabawy, że układanie przez nas listy z trzymiesięcznym w stosunku do czasu ukazania się pisma na rynku wyprzedzeniem – może wypaczyć tę ideę. Tymczasem proces rozpowszechniania książek przez księgarnie i kioski jest w tej chwili już tak ślimaczący się, iż egzemplarze sygnalne otrzymujemy z wydawnictw nieraz na trzy–cztery miesiące przed ukazaniem się książki na rynku. Tym sposobem – zupełnie przypadkiem – udaje nam się chyba być na bieżąco. A więc bawmy się dalej wspólnie. Mamy nadzieję, że coraz częściej zgłaszać będziecie własne propozycje, co w znacznym stopniu uwiarygodni zgodność proponowanej przez Was listy z rzeczywistą popularnością poszczególnych pozycji na rynku.

CZYTELNICY

1.	Stanisław Lem	– **Solaris**	„Iskry"
2.	Philip K. Dick	– **Słoneczna loteria**	„Czytelnik"
3.	Stanisław Lem	– **Niezwyciężony**	„Iskry"
4.	Maciej Parowski	– **Twarzą ku ziemi**	„Czytelnik"
5.	Harry Harrison	– **Planeta śmierci**	„Czytelnik"
6.	Jacek Sawaszkiewicz	– **Kronika Akaszy 2**	„Wydawnictwo Poznańskie"
7.	Kate Wilhelm	– **Gdzie dawniej śpiewał ptak**	„Czytelnik"
8.	Andrzej Krzepkowski	– **Śpiew kryształu**	„Wydawnictwo Lubelskie"
9.	Stefan Wul	– **Remedium**	KAW
10.	Peter Zsoldos	– **Zadanie**	„Iskry"
11.	Henryk Kurta	– **Dzień czerwonego giganta**	KAW
12.	Ewa Szymańska Aleksandra Szarłat	– **Bogowie naszej planety**	KAW
13.	Dariusz Filar	– **We własnej skórze**	„Nasza Księgarnia"
14.	Janusz A. Zajdel	– **Ogon diabła**	KAW
15.	Antologia	– **Spotkanie w przestworzach**	KAW

Redakcja

1.	3.	Stanisław Lem **Wizja lokalna.** Wydawnictwo Literackie	**8.**	7.	Andrzej Krzepkowski **Kreks** KAW
2.	1.	Stanisław Lem **Solaris** Iskry	**9.**	–	Peter Zsoldos **Zadanie** Iskry
3.	–	Wiktor Żwikiewicz **Druga jesień** Wydawnictwo Poznańskie	**10.**	–	J.S. Abramowowie **Wszystko dozwolone** Iskry
4.	6	James G. Ballard **Wyspa** Czytelnik	**–**	9.	Mark Twain **Tajemniczy przybysz** Wydawnictwo Literackie
5.	–	Stanisław Lem **Śledztwo, Katar** Wydawnictwo Literackie	**–**	5.	Stanisław Lem **Niezwyciężony** Iskry
6.	4.	Antologia **Spotkanie w przestworzach** KAW	**–**	10.	Maciej Parowski **Twarzą ku ziemi** Czytelnik
7.	2.	Philip K. Dick **Słoneczna loteria** Czytelnik	**–**	–	Michał Markowski **Ocean niespokojny** KAW

